

BESTSELLEROWA AUTORKA

NEW YORK TIMES

# PENNY JORDAN

*Druga  
szansa*

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**Penny Jordan**

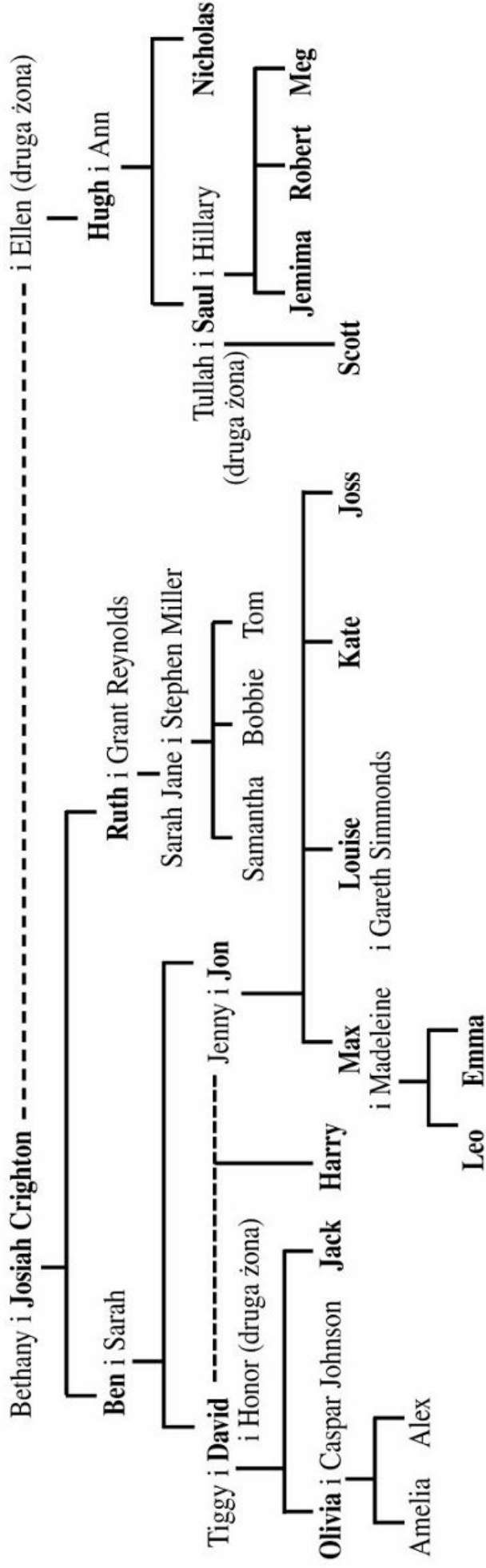
# **Druga szansa**

*Tłumaczenie:*

*Klaryssa Słowiczanka*

**RODZINA CRIGHTONÓW**

**CRIGHTONOWIE Z HASLEWICH**



**CRIGHTONOWIE Z CHESTER**



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Max Crighton z cyniczną miną obserwował gości weselnych bawiących się w salach recepcyjnych hotelu Grosvenor w Chester.

Miał trzydzieści lat, żonę, dobry zawód, dwoje zdrowych dzieci, a także powodzenie u kobiet. Zdawałoby się, że osiągnął wszystko, a przecież czuł się głęboko rozczarowany i znudzony swoim życiem.

Jego młodsza siostra z uśmiechem patrzyła na swojego dopiero co poślubionego męża. Rodziny młodych pławiły się w czułościowym nastroju. Owa sentymentalna atmosfera napawała Maxa odrazą, uroczystość wydawała mu się groteskowa, goście weselni obmierzli i sztuczni. Klan Crightonów uwielbiał jednak różnorodne zjazdy rodzinne i teraz postanowił ze stosowną pompą uczcić ślub Louise Crighton, jednej z bliźniaczych córek Jona i Jenny, z jej ukochanym Garethem Simmondsem.

Bliźniaczki!

We wszystkich pokoleniach rodziny Crightonów pojawiały się bliźniaki. Ojciec Maxa był bliźniakiem, bliźniakiem był także dziadek.

Bliźniaki!

Max był wdzięczny rodzicom, że nie musiał wyrastać w cieniu brata bliźniaka i że nikt nie zagrażał jego pozycji, ale było to bodaj jedyne, za co był im wdzięczny.

Śmieszne, myślał Max, rozglądając się po wielkiej sali hotelu, z jaką gorliwością drodzy krewni unikają jego wzroku. Nie lubili go, ale niezbyt przez to cierpiał. Niby dlaczego miałyby się przejmować, skoro nigdy nie zależało mu na sympatii innych ludzi, nigdy o nią nie zabiegał.

Nowiuteńki bentley turbo, który niedawno kupił, pozycja partnera w jednej z najbardziej szanowanych kancelarii adwokackich w Londynie, tego nie zdobył dzięki ludzkiej sympatii, nic nie zawdzięczał bliźnim. Od dzieciństwa, od chwili kiedy dziadek wyjaśnił mu znaczenie słowa adwokat, Max miał jedną ambicję w życiu, jeden cel – zostać wziętym londyńskim adwokatem.

Rodzina marzyła o podobnie świetlanej przyszłości dla jego stryja Davida, ale stryj nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Był taki moment w życiu Maxa, kiedy i on lękał się, że zawiedzie, że mimo czynionych sobie, a co ważniejsze dziadkowi, obietnic nie osiągnie upragnionego sukcesu, że ktoś ubiegnie go w wyścigu do stanowisk i pieniędzy, sprzątając sprzed nosa upragnione trofea. Na szczęście znalazł sposób, by odwrócić niesprzyjające koło fortuny. Wszystko

skończyło się pomyślnie, a on dowiódł przy okazji tym, którzy próbowali stanąć mu na drodze, jak próżne były ich wysiłki.

Zerknął w zamyśleniu na swoją żonę, Madeleine, siedzącą w drugim końcu sali w towarzystwie jego matki i siostry dziadka, czyli ciotki Ruth.

Żadna z kuzynek Maxa, podobnie jak żadna z żon jego krewniaków, być może z wyjątkiem Bobby, żony Luke'a, nie była olśniewającą pięknnością, ale nawet przy nich uroda Madeleine okazywała się szara, banalna, nijaka.

Widząc, że żona podnosi głowę i spogląda na niego zahipnotyzowana niczym królik pochwycony w światła samochodowych reflektorów, Max wykrzywił usta w cynicznym grymasie. Madeleine miała wszak swoje zalety; pochodziła z bardzo bogatej i bardzo ustosunkowanej rodziny.

- Jak to, nie chcesz naszego dziecka? - pytała drżącym, pełnym niedowierzania głosem, gdy, jak zawsze pokorna, uległa i zapatrzona w niego, przyszła z wiadomością o pierwszej ciąży, a on jednym słowem zniszczył jej radość.

- Nie rozumiesz, moja głupia żono? Po prostu nie chcę - powiedział cierpko. - Nie ożeniłem się z tobą po to, żeby płodzić kolejnych Crightonów, niech się tym zajmą moi kuzyni.

- Po co więc ożeniłeś się ze mną? - W oczach Madeleine pojawiły się łzy.

Max z rozbawieniem patrzył na zalęknioną twarz. Walka, jaka toczyła się w duszy tej wiecznie spłoszonej istoty, wydawała mu się śmieszna.

- Ożeniłem się z tobą, bo to był jedyny sposób, żeby dostać się do przyzwoitej kancelarii - odparł zgodnie z prawdą, choć była to prawda okrutna. - Dlaczego jesteś taka zaszokowana? - ironizował. - Musiałaś przecież się domyślać, że...

- Mówiłeś, że mnie kochasz.

- A ty mi uwierzyłaś? - zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu. - Naprawdę uwierzyłaś? A może tak rozpaczliwie chciałaś zdobyć męża, że wolałaś zamknąć oczy na oczywiste fakty? - ciągnął dalej swe okrutne wyznanie. - Idź na zabieg - powiedział nagle oschłym tonem, spoglądając na jej brzuch.

Maddy nie zdecydowała się jednak na aborcję. Dotąd potulna, zbuntowała się i teraz Max miał w domu dwójkę hałaśliwych, uprzykrzonych dzieciaków, od których uciekał przy każdej nadarzającej się okazji, bardzo pilnując, by nie wprowadzały zamętu w jego życie.

Wiedziony iście genialną intuicją, zrobił wszystko, co mógł, by uzależnić dziadka od Maddy, a był w swoich działaniach tak skuteczny, że Ben nie wyobrażał sobie już życia bez jej troskliwej pomocy i ciągłej obecności w Haslewich.

Max bez trudu namówił żonę, by na stałe zamieszkała w tym małym, położonym

w hrabstwie Chester miasteczku, gdzie już jego pradziad był rejentem i gdzie jego ojciec w dalszym ciągu prowadził rodzinną kancelarię notarialną. Pozbywszy się tym sposobem Maddy z Londynu, uwolniony od męczącej obecności dwojga rozwrzeszczanych dzieci, mógł wreszcie wieść w stolicy niczym nieskrępowane życie.

Liczne romanse, jakie miał w okresie małżeństwa, nigdy nie powodowały u Maxa specjalnych wyrzutów sumienia. Na kochanki wybierał z reguły klientki, których sprawy rozwodowe prowadził, kobiety bogate, przyzwyczajone przez mężów do luksusu i oczekujące od adwokata, by wywalczył dla nich, obok upragnionej swobody, odpowiednie zabezpieczenie finansowe, czyniące ową swobodę jeszcze bardziej upragnioną.

Dla tych kobiet - pięknych, zepsutych, znudzonych i szukających przygód - romans z młodym, przystojnym adwokatem był miłym urozmaiceniem i sposobem przytarcia nosa uprzykrzonym mężom, a właściwie już prawie byłym mężom.

Zważywszy na to wszystko, trudno było oczekiwać, żeby zachowywały w sekrecie swoje małe, słodkie odwety. Damy z wypiekami na twarzy zwierzały się swoim przyjaciółkom i wkrótce Max stał się jednym z najbardziej wziętych - i jednym z najdroższych - specjalistów od rozwodów w stolicy.

Małżeństwo z Maddy - a Max, żeniąc się z nią, założył, że będzie trwało tylko do momentu, gdy zdobędzie mocną pozycję w palestrze - miało jednak swoje dobre strony, bo paradoksalnie czyniło go wolnym. Mógł spokojnie romansować i zmieniać partnerki, w żaden związek nie angażując się na dłużej. On, człowiek honoru, odpowiedzialny i wyznający nienaruszalne zasady, czyż mógłby zostawić żonę i dzieci, by pójść za głosem serca? Nie, musiał trwać w małżeństwie, przedkładając dobro rodziny nad własne.

- Gdyby było więcej takich mężczyzn jak ty - szeptała mu niejedna kochanka. - Twoja żona miała wielkie szczęście.

Zgadzał się z tym bez zastrzeżeń. Madeleine miała szczęście. Gdyby on się z nią nie ożenił, na pewno zostałaby starą panną.

Ostatnio w kręgach prawniczych szeptano, że jej ojciec podobno miał zostać przewodniczącym Sądu Najwyższego, co, jeśli plotka okazałaby się prawdą, dodałoby splendoru i tak już wysokiej pozycji Maxa.

Max doskonale zdawał sobie sprawę, że rodzice Madeleine nie darzą go sympatią, ale niewiele sobie z tego robił. Niby dlaczego miał się przejmować? Skoro nie był lubiany we własnej rodzinie, skoro nawet rodzice odnosili się doń z rezerwą... On zresztą też nie żywił do nich jakichś cieplejszych uczuć. Jedyną

osobą, do której odnosił się nieco serdeczniej, był stryj David, ale nawet to uczucie nie było wolne od zawiści o względy dziadka, którego David był oczkiem w głowie. Zawiści pomieszanej z lekceważeniem, że David, utalentowany David, spoczął na laurach, zadowolając się pozycją prowincjonalnego rejenta w rodzinnym biznesie prawniczym.

Miłość - uczucie łączące i wiążące ludzi - była dla Maxa pojęciem raczej księżycowym. Owszem, kochał siebie, ale jego stosunek do innych ludzi wahał się od obojętności, przez umiarkowaną pogardę, po jawny wstręt i głęboką nienawiść.

Przy tym wszystkim winą za to, że jest powszechnie nielubiany, obarczał innych, nigdy siebie.

Zerknął na zegarek. Jeszcze pół godziny i wymknie się z przyjęcia weselnego Louise. Siostra początkowo planowała ślub w czasie Bożego Narodzenia, ale uroczystość przyspieszono ze względu na to, że ciotka Ruth i jej amerykański mąż Grant zamierzali tegoroczne święta spędzić u córki w Stanach.

Wnuczka Ruth, Bobbie, jej należący do chesterskiej gałęzi Crightonów mąż Luke i ich maleńka córeczka też zamierzali świętować Gwiazdkę za oceanem.

Bobbie od pewnego czasu obserwowała Maxa i narastała w niej szczerza niechęć do kuzyna, bo też sposób, w jaki traktował biedną Maddy, był odrażający. Olivia, stryjeczna siostra Maxa, miała rację, kiedy ze zwykłą sobie przenikliwością zauważyła przy jakiejś okazji:

- Max należy do tych facetów, którzy rozmawiając z najbardziej nawet atrakcyjną kobietą, będą oglądali się na boki w poszukiwaniu jeszcze piękniejszej.

Tak, Maddy miała pecha. Bobbie nie pojmowała, jak ta dziewczyna wytrzymuje z Maxem. Cóż, w małżeństwie trzymały ją zapewne dzieci.

Na myśl o dzieciach uśmiechnęła się i dotknęła swojego brzucha. Tydzień wcześniej lekarz potwierdził, że jest w ciąży.

- Myślę, że tym razem to będą bliźniaki - zwierzyła się mężowi, na co Luke uniósł brwi.

- Mówi ci to kobieca intuicja? - zapytał z lekką kpina.

- Cóż, ktoś musi w końcu urodzić parkę, a ja jestem w odpowiednim wieku. Kobiety po trzydziestce mają większe szanse na bliźnięta - stwierdziła Bobbie tonem eksperta.

- Po trzydziestce? Masz trzydziestkę, a to nie to samo, co po trzydziestce - poprawił żonę Luke.

- Uhm... Wiem, ale coś mi się wydaje, że ta dwójka została poczęta w dzień moich trzydziestych urodzin - mruknęła Bobbie.



Luke był jednym z czworga dzieci – miał dwie siostry i brata. Jego ojciec, Henry Crichton, i stryj, Laurence, teraz obydwaj już na emeryturze, prowadzili kancelarię notarialną w Chester, którą założył jeszcze ich dziad. Osiemdziesiąt lat mijało od chwili, gdy zwaśniony z ojcem Josiah Crichton opuścił Chester, by założyć własny notariat w Haslewich.

Chociaż dawne swary poszły już w niepamięć i młodsze pokolenie, wywodzące się z obydwu gałęzi klanu, utrzymywało serdeczne kontakty, senior Crichtonów z Haslewich ciągle żył obsesją rodzinnego współzawodnictwa.

Najpierw ulokował swoje ambicje w synu, a kiedy ten zawiódł, przeniósł je na wnuka, oczekując, że wejdzie on do palestry. Max od dzieciństwa, to podbechtywany, to przekupywany przez dziadka, wyrastał w przekonaniu, że musi ziścić jego nadzieje i pokazać wreszcie Crichtonom z Chester, że ci z Haslewich potrafili osiągnąć więcej w świecie prawniczym.

Kiedy Max oznajmił Benowi, że został adwokatem w jednej z najlepszych kancelarii w Londynie, spełnił wreszcie marzenie patriarchy rodu.

Bobbie rozglądała się po sali balowej hotelu Grosvenor, wspominając wieczór, kiedy pojawiła się tutaj po raz pierwszy, na przyjęciu z okazji osiemnastych urodzin Louise i Kate. Zaprosił ją wówczas, osobę jeszcze obcą w rodzinie, młodszy brat bliźniaczek, Joss.

Max odnosił się do niej wtedy z wielką galanterią, może nawet zbyt jej nadskakiwał jak na człowieka żonatego. Luke rzucił kąśliwy komentarz na ten temat, Bobbie mu się odcięła i tak zaczęła się jej znajomość z przyszłym mężem.

Cieszyła się teraz, że Louise zdecydowała się przyspieszyć ślub i że cała rodzina mogła wziąć udział w uroczystości. Bobbie byłaby niepokieszona, gdyby stało się inaczej, z drugiej strony tęskniła do świątecznego spotkania z rodzicami i siostrą. Wyobrażała już sobie, jak bardzo matka ucieszy się na wiadomość o ciąży. Sam chyba też. Na myśl o swojej siostrze bliźniaczce poczuła lekki niepokój.

Coś złego musiało się dziać w życiu Sam. Czuła to za sprawą magicznej więzi, która łączyła ją z siostrą i sprawiała, że były sobie tak bliskie.

W małej salce, obok balowej, bawiło się na przypadkiem urządzonym przyjęciu najmłodsze pokolenie Crichtonów.

Kto by pomyślał, że w tak krótkim czasie w rodzinie przybędzie tyle dzieci, myślała Jenny, od czasu do czasu spoglądając czule na biesiadujące maluchy.

Początek dała Olivia, bratanica jej męża, starsza z dwojga dzieci Davida, teraz dumna matka Amelii i Alex. Saul, starszy syn Hugh'a, przyrodniego brata Bena,

dochował się z pierwszego małżeństwa Jemimy, Roberta i Meg, a jego druga żona Tullah urodziła mu synka. No i byli jeszcze Leo i Emma, dzieci Maxa i Maddy.

Maddy. Jenny zerknęła na siedzącą obok synową. Ktoś, kto nie znał Maddy, mógłby pomyśleć, że jest ucieleśnieniem spokoju, ale kilka minut wcześniej Jenny zauważyła łzy w jej oczach i nie miała wątpliwości, kto je wywołał.

Lata mijały, a ona ciągle nie mogła się pogodzić z tym, że jej syn, krew z jej krwi, sprawia innym tyle bólu i cierpienia.

Tyle razy chciała z nim porozmawiać, zapytać, dlaczego jest taki okrutny. Dlaczego? Dlaczego tak postępował, co nim kierowało? Nie znajdowała odpowiedzi na swoje pytania, a Max, gdyby próbowała nakłonić go do zwierzeń, co najwyżej wzruszyłby ramionami, uśmiechnął się tym swoim drwiącym, wzgardliwym uśmieszkiem, odwrócił na pięcie i odszedł bez słowa.

Nie mogła pojąć, jak ona i Jon mogli wychować kogoś takiego jak Max, i wiedziała, że nigdy już tego nie pojmie, a przy tym, ilekroć spoglądała na Maddy i widziała, jak bardzo ona jest nieszczęśliwa w małżeństwie, tylekroć ogarniała ją rozpacz i dręczące poczucie winy.

Jenny serdecznie kochała Madeleine i nie mogła wyobrazić sobie lepszej synowej, ale miała zbyt dużo przenikliwości i była zbyt mądra, by uwierzyć, że Max szukał takiej właśnie żony.

Max karmił się agresją, wiecznym konfliktem, żył niejako wbrew światu, był zachłanny i nienasycony. Tymczasem biedna Maddy nie potrafiła, nie umiała tak żyć. Biedna Maddy!

Maddy zwiesiła głowę. Odgadywała myśli teściowej, ale nie mogła mieć pretensji do Jenny, że tak ją ocenia.

Max przyjechał do Queensmead, pięknej rezydencji dziadka, która stała się ostatnio także domem Maddy i dzieci, rano w dzień ślubu, zaledwie na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości. Spóźnił się, mimo iż zapewniał żonę, że pojawi się poprzedniego wieczoru, co na wstępie zwarzyło atmosferę i powitanie nie wypadło zbyt serdecznie. Na domiar złego Leo był w wieku, kiedy większość chłopców zaczyna być zaborcza wobec matki i o nią zazdrosna, nic więc dziwnego, że przyjął ojca fatalnie i popatrywał na niego spode łba, jak na rywala.

Maddy wiedziała doskonale, że Maxa zupełnie nie obchodzi, jak traktują go własne dzieci, i że byłby najszczęśliwszy, gdyby w ogóle nie musiał mieć z nimi do czynienia. Zresztą nigdy nie chciał ich mieć.

Jednak wobec dziadka i reszty rodziny domagał się od dzieci, by okazywały mu miłość, czego Leo nie mógł spełnić. Już zawiedziony w swoich ojcowskich

roszczeniach, rozsierdził się jeszcze bardziej, kiedy tuż przed wyjściem z domu mała Emma zaczęła wymiotować, co spowodowało dodatkowe spóźnienie. Max eksplodował, zaczął kląć, w końcu wygarnął Maddy ze zwykłym dla siebie okrucieństwem, że jest równie beznadziejną matką, jak żoną.

Maddy domyślała się prawdziwych przyczyn tego niekontrolowanego wybuchu. Chodziło o kobietę. Znała Maxa i potrafiła bezbłędnie rozpoznać oznaki. Był wściekły, że musiał wyjechać z Londynu i zostawić kochankę. To zapewne z jej powodu nie przyjechał do Haslewich poprzedniego dnia, jak wcześniej obiecywał.

Chociaż stale powtarzała sobie, że zdrady męża już nie są w stanie jej dotknąć, to jednak nie była to prawda.

Niewierność męża bolała ją, podobnie jak współczucie jego rodziny. W ich oczach widziała litość, słyszała ubolewanie w głosie. Cierpiała, patrząc na szczęśliwe związki kuzynów Maxa, a potem tłumaczyła sobie z całym stoicyzmem, na jaki było ją stać, że nie sposób przecież zazdrościć komuś tego, czego samej nigdy się nie miało. W dzieciństwie nie zaznała zbyt wiele miłości. Jej matka, osoba pochodząca ze starej szlacheckiej rodziny, uważała swoje małżeństwo za mezalians, do męża i córki odnosiła się z pełnym dystansu lekceważeniem, miała ich za gorszych od siebie. Czas wolną spędzała ze swoimi krewnymi. Ojciec zajęty karierą prawniczą też nie poświęcał Maddy szczególnej uwagi.

Rodzice chyba nawet nie zauważyli, że jedynaczka wyszła za mąż i po ślubie nie próbowali utrzymywać z nią bliższych kontaktów. Wychowana w obojętności, po przyjeździe do Haslewich Maddy po raz pierwszy w życiu znalazła dom. Wreszcie była komuś potrzebna, a serdeczność, jakiej tu zaznała, stanowiła dla niej przynajmniej częściowe antidotum na ból nieudanego małżeństwa.

Z natury pogodzona z życiem, nauczona pokornie znosić wszystko, co ono ze sobą niesie, od razu zaakceptowała nieznośny dla innych charakter Bena. Kiedy dziadek Maxa irytował się, zrzędził i rozstawiał całą rodzinę po kątach, ona z cierpliwym uśmiechem tłumaczyła, że ataki złego humoru starego satrapy biorą się po prostu z dolegliwości fizycznych.

- Jesteś świętą osobą - powtarzali bezustannie Crightonowie.

Nie, nie była święta. Była po prostu kobietą, która tęskniła za tym, by jakiś mężczyzna spojrzał na nią tak, jak Gareth Simmonds spoglądał na swoją nowo poślubioną żonę, a jej szwagierkę, Louise. Tak bardzo pragnęła dojrzeć w czyimś wzroku miłość, zachwyt, pożądanie. Kiedy poznała Maxa, wmawiała sobie desperacko, że wszystko to odnajduje w jego oczach, tymczasem nie było w nich nic poza ironią, wzdargą i kłamstwem.

Max ożenił się z nią wyłącznie z jednego powodu, co uświadamiał jej niemal każdego dnia przez wszystkie lata małżeństwa – chciał po prostu za wszelką cenę dostać się do palestry, a nigdy nie zaspokoiłby tej ambicji bez pomocy teścia.

– Dlaczego, na miłość boską, nie zostawisz go w końcu i nie rozwiedziesz się? – zapytała zniecierpliwionym głosem Louise podczas którychś świąt Bożego Narodzenia, kiedy oboje, siedząc w salonie, obserwowały, jak Max otwarcie flirtuje z młodą i piękną kobietą.

Maddy pokręciła tylko głową. Nie potrafiła wytłumaczyć Louise, dlaczego nadal godzi się być żoną jej brata. Gorzej, nie umiała wyjaśnić tego nawet sobie. Mogłaby tylko powiedzieć, że tutaj, w Haslewich, czuła się bezpieczna, potrzebna. Tutaj, zajęta różnymi obowiązkami, mogła na chwilę zapomnieć o swoich kłopotach małżeńskich. Z dala od Maxa potrafiła uwierzyć, że jej życie nie jest może aż tak nieudane, jak widzieli to postronni obserwatorzy.

Gdyby jednak chciała być ze sobą szczerą, musiałyby przyznać, że nie zdecydowała się na rozwód ze strachu przed niepewną przyszłością i utratą nie tyle Maxa, co zaplecza, jakie dawała jej rodzina Crightonów. Zdawała sobie sprawę, że to żalosne, ale musiała przecież myśleć o dzieciach, o ich bezpieczeństwie.

W Haslewich żyły one w ciepłym kręgu rodzinnym, doświadczały serdeczności, luksusu, który jest udziałem niewielu współczesnych dzieci, wychowujących się w zatamizowanych domach. Tutaj Leo i Emma mieli kuzynów w swoim wieku, kochające ciotki i wujków, tutaj, w Haslewich, mogli wzrastać w poczuciu bezpieczeństwa. Mieli tu swój mały świat, którego Maddy nie chciała im odbierać, by nie pozbawić swojej dwójki tego, co uważała za bezcenny dar.

– Gdybyś mieszkała w Londynie, dzieci mogłyby mieć ojca na co dzień, zamiast widywać go tylko w weekendy – przekonywała ją niedawno jedna ze znajomych.

Madeleine pochyliła głowę i zaczęła zapinać kurtkę Leo, ukrywając twarz za zasłoną włosów.

– Max ma bardzo wyczerpującą pracę, wraca do domu późnym wieczorem – mruknęła stłumionym głosem.

Na szczęście znajoma nie podtrzymywała tematu, ale jej słowa brzmiały w uszach Maddy, gdy szła z Leo przez skwer koło przedszkola, w którym mały spędzał kilka godzin trzy razy z tygodniu. Rodzina co prawda pogodziła się z faktem, że Max był w Londynie w dni robocze, w praktyce jednak rzecz miała się inaczej, bo często zostawał tam także w weekendy, nie przyjeżdżając do Haslewich całymi tygodniami, a bywało, że i miesiącami.

Madeleine nigdy z nikim nie rozmawiała na temat swojego małżeństwa, ale bez

tego wiedziała, że bliscy Maxa doskonale zdają sobie sprawę, że to nie nadmiar obowiązków zatrzymuje go w stolicy.

Czasami odczuwała nieprzepartą potrzebę zwierzenia się matce Maxa, ale powstrzymywała ją wrodzona powściągliwość i duma. Poza tym w czym Jenny mogłaby jej pomóc? Nakazać Maxowi, żeby kochał żonę i dzieci, zmusić go do tego?

Przestań, powiedziała sobie Madeleine, czując napływające do oczu łzy.

Max i tak był już w fatalnym humorze, swoim zachowaniem nie powinna więc dolewać oliwy do ognia. Co prawda nie uciekłyby się wobec żony czy dzieci do przemocy fizycznej, ale jego milcząca wzgarda i wrogość były niekiedy tak dotkliwe, że powietrze robiło się gęste i zatruta atmosfera długo utrzymywała się w domu.

Kiedy Max wyjeżdżał z Queensmead, Maddy natychmiast otwierała szeroko wszystkie okna, jakby chciała pozbyć się czym prędzej chorobliwych wyziewów, i głęboko wdychała ożywczy tlen.

- Gdzie się podziewa ten twój mąż? - zapytał ją ostatnio Ben ze zwykłą sobie pretensją do całego świata w głosie i skrzywił się z bólu.

Chora noga dokuczała mu w dalszym ciągu i po ostatnim badaniu lekarz wyraził przypuszczenie, że być może konieczna będzie kolejna operacja biodra.

Ben na tę wiadomość natychmiast się, oczywiście, nasrożył i zaczął pomstować na „tych konowałów”, a tak był rozsierdzony, że Madeleine musiała go potem uspokajać przez kilka dni z rzędu.

Mimo że był nieznośny, Madeleine szczerze lubiła starego zrzędę. Potrafił być bardzo troskliwy i opiekuńczy na tę staroświecką modłę, która młodsze kobiety z rodziny często doprowadzała do prawdziwej irytacji, natomiast Madeleine bardziej rozczulała, niż złościła.

- Ja nie wiem, jak ty możesz z nim wytrzymać - rzuciła porywczo któregoś dnia Olivia.

Wpadła akurat do Queensmead, żeby zobaczyć się na chwilę z Madeleine i zostawić prezenty gwiazdkowe dla Emmy i Leo od jej dwóch córeczek, Amelii i Alex.

- Córki! W tej rodzinie potrzebni są synowie - fuknął Ben z niesmakiem, kiedy zaprowadziła małe do pradziadka, by się z nim przywitały. - Dzięki Bogu mamy małego Leo - dodał, spoglądając z dumą na prawnuka.

- To niedopuszczalne, żeby przez jego głupie komentarze dziewczynki miały czuć się w jakikolwiek sposób gorsze - oburzała się Olivia, rozmawiając potem

z Maddy przy filiżance kawy.

- Zapewniam cię, że nie miał nic złego na myśli - próbowała uspokoić ją szwagierka.

- Owszem, miał. - Olivia z ponurą miną przeżuwała herbatnik podsunęty jej przez Maddy. - Wierz mi, moja droga, że miał. Już ja coś o tym wiem. Za młodu nasłuchiłam się od niego wystarczająco dużo podobnych uwag. Nasz patriarchalny dziadunio sprawiał, że czułam się gorsza, jak ciągle mi przypominał, że... jestem dziewczyną i choćbym nie wiem jak się starała, nie dorównam Maxowi. Mój ojciec nie był ani odrobinę lepszy. Czasami żałowałam, że Max nie jest jego dzieckiem, a moim ojcem stryj Jon.

- Jenny opowiadała mi, że dziadek rozpieszczał Maxa - wtrąciła cicho Maddy.

- Rozpieszczał to mało, rozpuścił go jak dziadowski bicz - irytowała się Olivia, zapominając, że rozmawia, bądź co bądź, z żoną delikwenta. - Co tylko Maksio sobie zażyczył, natychmiast dostawał, a dziadek nie przestawał chełpić się dookoła cudownym wnusiem. Przy każdym spotkaniu z rodziną z Chester piał pochwały na jego temat i biada temu, kto myślałby inaczej. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Max nie dostał się do dobrej londyńskiej kancelarii, a mało brakowało, żeby szansa przeszła mu koło nosa. W końcu to twój ojciec go ustawił.

- Tak - przytaknęła Madeleine.

Znała Olivie zbyt dobrze, żeby podejrzewać ją o złośliwość czy złe intencje. Nie, nie była złośliwa, tyle że jej opinie były zabarwione niechęcią do Maxa. Nigdy nie kryła przed Madeleine swoich uczuć wobec stryjecznego brata.

- Dziadek na pewno będzie chciał, żeby Leo w przyszłości poszedł w ślady ojca. Chłopak nie będzie miał łatwego życia - powiedziała Olivia, jakby zawczasu chciała przestrzec Madeleine, ale ta pokręciła głową.

- Leo jest zupełnie inny niż Max. Jeśli się wrodził w któregoś z Crightonów, to już raczej w Jona. Gdyby rzeczywiście miał zostać prawnikiem, podejrzewam, że najchętniej osiadłby w Haslewich, przejmując rodzinną kancelarię po Jonie. Prawdę powiedziawszy, to do wielkiej kariery najbardziej predestynowana zdaje się twoja Amelia.

Olivia z ciepłym uśmiechem spojrzała na córkę.

- Tak, jest bardzo bystra, a przy tym pracowita, ale życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy chcieli. Spójrz na Louise. Wszyscy byli przekonani, że zajdzie Bóg wie jak wysoko, a tymczasem pojawił się Gareth. Wielka miłość, ślub... i koniec. Teraz Lou zaczyna przebąkiwać, że w ogóle przestanie pracować. Albo Kate... Zawsze była tą spokojniejszą z bliźniaczek, taka cicha myszka, stworzona

zdawałoby się do małżeństwa i rodzenia dzieci, a wygląda na to, że właśnie ona zdecydowała się na robienie kariery zawodowej.

A ja? – pomyślała Maddy z rezygnacją. Kuchnia, pokój dziecienny... i to wszystko.

– Pyszne te ciastka – mruknęła Olivia, jakby na potwierdzenie smutnych refleksji Madeleine. – Mogłabyś gotować profesjonalnie. Nic dziwnego, że dziadek nie może się nachwalić twojej kuchni.

Maddy rzeczywiście lubiła gotować, uwielbiała też zajmować się ogrodem. Spiżarnia w Queensmead pełna była robionych przez nią przetworów z owoców i warzyw. Nigdy nie żałowała długich letnich i jesiennych godzin spędzonych nad garnkami. Pod fachowym okiem Ruth, korzystając z jej rad, przywróciła do życia sad w Queensmead, kazała wyremontować cieplarnię, a teraz doglądała maleńkiej brzoskwini, którą dostała w prezencie urodzinowym od Jenny i miała nadzieję, że w przyszłym roku będzie już owocowała.

Od chwili gdy zamieszkała z Benem, powoli, z uporem odnawiała dom, który dzięki jej staraniom piękniał z każdym miesiącem. Pojechała nawet do Szkocji i namówiła swoich arystokratycznych dziadków, by rozstali się ze wzgardzonymi przez nich rustykalnymi meblami, niszczącymi na strychu ich zamku, a które znakomicie nadawały się do wiejskiej rezydencji.

Guy Cooke, antykwariusz i niegdysiejszy wspólnik Jenny, nie mógł wyjść z podziwu, gdy podczas którejś jego wizyty w Queensmead Maddy pokazała mu na nowo umeblowane wnętrza.

– Znakomicie – stwierdził z uznaniem. – Ludzie często popełniają fatalny błąd, urządzając takie domy jak Queensmead drogimi antykami albo, co gorsza, kopiami. Tymczasem ty masz wycucie, Maddy.

– Mam dziadków i pełne mebli strychy w ich zamku – powiedziała Maddy ze śmiechem, stając obok Guya, który właśnie podziwiał w jednym z pokoi piękne, stare zasłony z grubego lnu.

– Wspaniałe, naprawdę wspaniałe. Oryginalne irlandzkie płótno. – Pokiwał z uznaniem głową. – Teraz czegoś takiego nie zdobędzie się za żadne pieniądze, żeby nie wiadomo jak szukać. Gdzie ty...

– Moja prababka miała pewne związki z Irlandią – odparła Madeleine głosem, w którym brzmiała satysfakcja i rozbawienie. – Znalazłam je u niej...

– Wiem, na strychu – dokończył Guy.

– Niezupełnie – zaśmiała się Madeleine, wspominając, jak zezłościła się jedna z jej kuzynek, wzięta projektantka wnętrz, odkrywszy, że z nieużywanej zamkowej sypialni zniknęły kotary, które wcześniej sobie upatrzyła i miała ochotę wywieźć

do Londynu.

- Nie mogę się już doczekać Bożego Narodzenia - oświadczyła nieoczekiwanie Jenny, wrywając Maddy z zamyślenia. - Zdziałałaś cuda w Queensmead, wspaniale będzie urządzić tam teraz rodzinne święta. Już widzę, z jaką zazdrością chesterczycy będą podziwiali twoje dzieło. Oni nie mają takiej rezydencji.

- Tak, Queensmead to śliczny dom - przyznała Madeleine.

- Jon rozmawiał już z Branem - ciągnęła Jenny. - Zamówił choinkę, pojutrze powinni ją dostarczyć. Jeśli chcesz, pomogę ci ubierać drzewko.

- Oczywiście, że chcę - ucieszyła się Maddy.

Jak co roku wielka choinka miała przyjechać do Queensmead z lasów należących do Brana T. Thomasa, emerytowanego generała, przyjaciela domu, człowieka samotnego, który pierwszy dzień świąt spędzał zwykle u Crightonów. Madeleine bardzo go lubiła. Był urodzonym gawędziarzem, znał mnóstwo fascynujących historii dotyczących Haslewich i okolic, a gdy opowiadał o swojej nieżyjącej od dawna żonie, w jego wspomnieniach było tyle czułości, że Maddy napływały łzy do oczu.

- Louise chyba ma zamiar już wychodzić. - Jenny po raz kolejny przerwała rozmyślenia synowej.

Maddy podniosła głowę i poczuła bolesne ukłucie w sercu. Oblubieńcy zdawali się tacy szczęśliwi, tak w sobie zakochani. Gareth z czułością patrzył na żonę, a twarz Louise promieniała blaskiem miłości. Nie, Maddy nie zazdrościła swojej młodej szwagierce, tylko że... Szybko odwróciła wzrok, wstała i ze ściśniętym gardłem przeszła do małej sali, gdzie bawiły się dzieci.

Leo, który był drużbą państwa młodych, wodził dzisiaj rej wśród swoich kuzynów, mała Emma zdążyła już zapomnieć o porannej niedyspozycji i teraz śmiała się radośnie, ale obydwójce wyglądali na zmęczonych.

Obok Maddy pojawiła się Bobbie, wnuczka Ruth, która przyszła po swoją córeczkę.

- Z przerażeniem myślę o jutrzejszym locie do Stanów - zwierzyła się, krzywiąc zabawnie usta.

- Ale będziesz mogła spędzić święta z rodzicami i siostrą - pocieszyła ją Maddy.

- Owszem - przytaknęła Bobbie.

Patrzyła na męża, który właśnie wziął na ręce ich zaspaną małą córeczkę i bezwiednie porównywała go z Maxem.

Luke był czułym, kochającym ojcem i równie kochającym mężem, podczas gdy Max udawał troskliwego, próbował uchodzić za dobrego i czułego, grał,



szczególnie przed dziadkiem, ale Bobbie doskonale wiedziała, jaki jest naprawdę.  
Biedna Maddy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Biedna. Tyle razy słyszała to określenie, że przyłgnęło do niej na dobre i powinno stać się jej drugim imieniem, myślała Maddy, przypominając sobie kilka godzin później słowa mimo woli wyszeptane przez Bobbie podczas przyjęcia.

Leo i Emma wysłuchali codziennej porcji bajek na dobranoc i wykąpani, opatuleni spali w najlepsze w swoich łóżeczkach.

Ben też się położył, ale zanim poszedł do sypialni, nakrzyczał na Maddy, że robi wiele hałasu o nic. Klócił się z nią zawzięcie, że nic mu nie jest i żeby przestała się nad nim rozczulać, chociaż gołym okiem widać było, że z trudem znosi ból w chorej nodze.

Madeleine ruszyła zmęczonym krokiem do swojego pokoju. Niby to dzieliła go z Maxem, kiedy przyjeżdżał do Queensmead, ale w rzeczywistości... Owszem, spali w tym samym, wielkim łóżu, ale tak sobie dalecy i obcy, że równie dobrze Max mógłby nocować choćby i na innym piętrze, w drugim końcu ogromnego domu dziadka.

Dzisiaj nie musiał nawet zachowywać pozorów, że coś go łączy z żoną, postanowił bowiem zaraz po weselu wracać do Londynu. Maddy też już dawno zrezygnowała z udawania, że jej małżeństwo jest normalne, tak jak nie miała siły kwestionować wyjaśnień Maxa, kiedy ten twierdził, że wraca do stolicy, żeby pracować.

Najgorsze jednak, i najobrzydliwsze w całej sytuacji, było nie to, że Maxowi zupełnie nie zależało na małżeństwie, lecz to, że Maddy zależało tak bardzo na mężu. Za bardzo. Co się stało z jej dawnymi marzeniami, z jej nadziejami i wiarą, że Max ją kocha?

Czuje matczyne ucho złowiło cichy płacz dochodzący z pokoju Emmy. Maddy wysunęła się z łóżka. Córce widocznie przyśniło się coś złego.

Max zaparkował bentleya w pobliżu luksusowego mieszkania w Londynie, podarowanego młodemu w prezencie ślubnym przez dziadków Maddy, otworzył drzwi frontowe, skierował się ku sypialni, rzucając po drodze na podłogę torbę podróżną, po czym rozciągnął się wygodnie na łóżku, sięgnął po słuchawkę telefonu i wystukał szybko numer.

- Zgadnij kto to? - zapytał, kiedy po drugiej stronie rozległ się zaspany głos Justine.

- Max! A ja myślałam... Mówiłeś przecież, że jedziesz na ślub siostry. Weekend miałeś spędzić w Chester. Co się stało?

- Zmieniłem plany - powiedział Max ze śmiechem. - Co chcesz na śniadanie?

- Śniadanie. Och, Max, ja... Nie, nie mogę.

Zdawała się już rozbudzona. Max wyobraził ją sobie, jak siedzi na łóżku, w swoim domu w Belgravii: jasne, spływające na ramiona włosy, złota opalenizna przywieziona z wakacji na Mauritiusie, gdzie Max dołączył do niej na pięć dni.

- To się nazywa spotkanie z klientką - skomentował kolega Maxa z zazdrością, kiedy wręczał mu faks od Justine.

- Kiedy w grę wchodzi milion i konsultacja jest pilna, kupienie adwokatowi biletu lotniczego to naprawdę nic wielkiego - odparł Max beztrąsko.

Justine była żoną milionera, niedługo miliardera, właściciela potężnej korporacji. Kiedy dowiedziała się, że mąż ma romans z jedną z jej przyjaciółek, natychmiast poleciła swojemu doradcy prawnemu zatrudnić Maxa, następnie postarała się o możliwie wyczerpującą dokumentację dotyczącą interesów niewiernego małżonka, z uwzględnieniem pełnych polotu i wręcz artystycznej inwencji interpretacji przepisów podatkowych.

Max z uznaniem przejrzał dostarczone papiery, na podstawie których mógł bez trudu wyegzekwować dla Justine takie warunki rozwodu, które zapewniłyby jej równie luksusowe życie, jak to, które wiodła u boku małżonka. Jemu zaś zgrabnie przeprowadzona sprawa powinna ugruntować renomę najlepszego adwokata rozwodowego w kraju.

- My tutaj raczej nie zajmujemy się rozwodami - oznajmił oficjalnym tonem senior zespołu, wybitny specjalista od prawa podatkowego, gdy Max podejmował pracę w kancelarii. - To nie nasz profil, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Max bardzo dobrze wiedział, co tamten miał na myśli, podobnie jak doskonale zdawał sobie sprawę, że wszedł do zespołu tylko dzięki nazwisku swojego teścia. Kim był? Nikim, zerem w świecie prawniczym, facetem, którego nie chciano w poprzedniej kancelarii, gdzie mógł pracować wyłącznie jako asesor, prowadząc nudne, nieprzynoszące zysków i sławy sprawy, których nikt inny nie chciał się podjąć.

Nowa kancelaria, jedna z najlepszych, przyciągała klientów szukających usług wytrawnych prawników o znanych nazwiskach. Max nie miał co liczyć, że przebije się w ich gronie. Rozwody, właśnie dlatego, że „nie leżały w profilu” kancelarii, były właściwie jedyną dziedziną, w której mógł się wykazać.

Tak wyglądała sytuacja kilka lat temu, teraz Max miał już na tyle ugruntowaną pozycję, że bogaci mężowie drżeli, słysząc, kto będzie pełnomocnikiem ich żon w sprawie rozwodowej.

Ogromne honoraria, jakich żądał za swoje usługi, nie były jedyną korzyścią płynącą z pracy. Z charakterystycznym dla siebie cynizmem szybko odkrył, że jego spragnione seksu i męskiej adoracji klientki są chętnymi partnerkami do łóżka.

Miłe i wygodne w przygodach Maxa było to, że trwały krótko. Podczas sprawy rozwodowej służył strapionym damom ramieniem, niby szlachetny rycerz pocieszał i uspokajał; wdzięczne za wsparcie panie dzieliły z nim swoje problemy... i łóża, a kiedy sprawa dobiegała szczęśliwego końca, sąd orzekał wyrok, natomiast Max szarmancko rozstawał się z teraz już rozwiedzioną mocodawczynią.

Jeśli któraś z kochanek okazywała zbyt wielkie przywiązanie lub zaborczość, nagle stawał się okropnie zapracowany i nie odbierał telefonów, aż biedaczce odechciewało się amorów. Nowa klientka, nowa flama. Można powiedzieć, że Max podchodził do swoich romansów w sposób profesjonalny, widząc w nich część swojej pracy.

Sprawa Justine przeciągała się ze względu na powikłaną sytuację finansową jej męża, przygoda z nią trwała więc dłużej niż inne, a pozew nadal nie wpływał do sądu, między innymi dlatego, że gra szła o naprawdę duże pieniądze.

- Przynajmniej dwie moje przyjaciółki wycisnęły ze swoich byłych ostatni grosz - powtarzała z chciwym uporem i swoim uśmiechem sprytnej lisiczki Justine. - Mam nadzieję, że tobie też się to uda. Tutaj masz listę aktywów, które chciałabym przejąć po rozwodzie - oznajmiła któregoś dnia, wręczając Maxowi imponująco długi spis rozmaitych majątności.

Byli kochankami od dwóch miesięcy, a Max nadal pozostawał pod jej wrażeniem. Dotąd nie spotkał tak opancerzonej na wszelkie słabości i doznania emocjonalne kobiety. Miała nienasycony apetyt seksualny, potrafiła całkowicie zapomnieć się w łóżku, ale wreszcie zaspokojona, natychmiast odzyskiwała absolutne panowanie nad sobą. Jej umysł był ostry i niebezpieczny niczym zęby aligatora.

Nieszczęsny mąż powinien być zadowolony, jeśli udałoby mu się ocalić dla siebie choćby połowę majątku, myślał Max, słuchając, jak szantażem, a wiedziała wszystko o jego matactwach podatkowych, zamierzała uzyskać od niego to, co chciała.

- Nie wniosę pozwu, dopóki nie dobieje interesu, który właśnie negocjuje - oznajmiła stanowczo. - Chodzi o pięćset milionów dolarów, a ja chcę mieć z tego

swoją część.

- Nie mogę teraz rozmawiać - rzuciła do słuchawki. - Spotkamy się jutro u ciebie w domu. Przyjadę...

Rozłączyła się, zanim rozczarowany Max zdążył zaprotestować.

Zbliżała się druga w nocy, ale wiedział, że nie zaśnie. Był podminowany, dziwnie niespokojny. Od dziecka nawykł do walki o utrzymanie pozycji faworyta w rodzinie i wyostrzony przez lata instynkt ostrzegał go teraz przed nieznanym, nieokreślonym niebezpieczeństwem.

Tak, od kiedy pamiętał, walczył o względy dziadka. Po ślubie z Maddy łaskawość Bena przestała mieć dla niego pierwszorzędne znaczenie choćby z tej przyczyny, że majątek żony znacznie przekraczał to, czym dysponował stary Crighton. Maxowi nie chodziło jednak tylko o pieniądze. Chciał się wyróżniać, wzbudzać zazdrość, górować nad innymi. Na przyjaźń, miłość i czułość nie było miejsca w jego życiu.

Marzył o władzy, o supremacji, o tym, by któregoś dnia dowieść wszystkim, którzy powątpiewali w jego talenty, że potrafi być nie tylko im równy, ale od nich dużo lepszy. Ostatnio natknął się przypadkiem na Rodericka Hamiltona, z którym przed laty ubiegali się o tę samą pracę, Roderickowi wówczas się udało, puszył się i triumfował, a Max jak niepyszny musiał odejść z kancelarii.

Ubawiony tym wspomnieniem zaprosił dawnego rywala na drinka i wyciągnął na zwierzenia. W trakcie rozmowy dowiedział się, że Roderick ożenił się z dziewczyną ze zubożałej, zapyziałej rodziny ziemiańskiej, panną, której pochodzeniem próbował kiedyś zaimponować Maxowi.

Wnosząc ze zdjęcia, którym pochwalił się Roderick, należała do tych prowincjonalnych róż Anglii, które odznaczają się, a właściwie nie odznaczają, banalną urodą, mają świeżą cerę i całe życie spędzają w rodzinnym mająteczku. Nie, nie doczekali się dzieci, jeszcze nie, ale próbują, owszem. Największym marzeniem Rodericka było posiadanie małego domku na wsi. Doprawdy, zabawne spotkanie.

- Tylko widzisz, stary, to cholerny wydatek, a utrzymanie tych przeklętych koni Lucindy kosztuje straszne pieniądze.

Max uśmiechnął się i od niechcienia wspomniał o swoich latoroślach, rzucił też mimochodem coś na temat rodowego zamku dziadków Maddy, jego historii i wartości zabytkowej. Nie za wiele, ot kilka słów, by dać Roderickowi do zrozumienia, że on, Max, żyje na stopie, do której tamten tak desperacko

aspirował, a na dodatek jest ojcem dwojga wspaniałych dzieci, których los poskąpił dawnemu rywalowi o miejsce w peletonie.

Najsłodsza chwila nadeszła, gdy mógł odwiedzić Rodericka do domu swoim nowiutkim bentleyem, a przy rozstaniu chłodno odrzucił propozycję spotkania któregoś dnia we czwórkę, z żonami, na wspólnej kolacji.

- Obawiam się, że nic z tego, stary - odparł Max z uśmiechem krokodyla. - Mamy tyle zobowiązań towarzyskich, że w najbliższym czasie naprawdę nie damy rady.

To jest smak odwetu.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy odkrył w sobie tę potrzebę ranienia innych. Pamiętał natomiast, jak obrzydliwie się poczuł, podsłuchawszy pewnego razu wymianę zdań między ojcem i stryjem Davidem, którzy rozmawiali na jego temat.

Mógł mieć wtedy dziesięć lat i boleśnie przeżywał pojawienie się na świecie bliźniaczek; po ich urodzeniu stosunek rodziców wobec niego uległ, tak przynajmniej wtedy to odczuwał, ogromnej zmianie. Nigdy nie był dzieckiem, które lubi być tulone i pieszczone. Zanim jeszcze zaczął chodzić, wywijał się z objęć dorosłych. Nie znosił, kiedy brano go na ręce i rozczulano się nad nim. Irytowała go też wiecznie lgnąca do jego matki Olivia, miał wrażenie, że Jenny bardziej kocha bratanicę niż jego.

- Udał wam się chłopak - mówił stryj David z zazdrością w głosie do ojca Maxa. - Nasz staruszek dąsa się na mnie, że nie mam syna. Powiadam ci, Jon, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś szczęśliwy. Gdyby Max był mój... Być może powinien być mój - ciągnął cicho David. - W każdym razie Ben jest o tym przekonany. Powiada, że Max bardziej wdał się we mnie niż w ciebie. Wiesz, Jon, czasami odnoszę wrażenie, że chyba nie lubicie swojego syna.

Obydwaj mężczyźni odeszli i Max nie słyszał już dalszego ciągu rozmowy. Co David właściwie chciał powiedzieć, twierdząc, że rodzice go nie lubią?

Od tamtej chwili zaczął wypróbowywać ich uczucia, żeby przekonać się, czy stryj miał rację. Poprosił o nowy rower i usłyszał, że go nie dostanie, ale bliźniaczki na urodziny dostały rowerki.

Dotknięty do żywego pożyczyl sobie jeden, a kiedy mały wehikuł został przypadkiem rozjechany przez furgonetkę dostawczą, oznajmił ojcu, że wcale go nie wepchnął specjalnie pod samochód, tylko niechcący puścił w nieodpowiednim momencie.

Gdy drugi rowerek któregoś dnia zapadł się pod ziemię, Max na pytania, co się z nim stało, odpowiadał uparcie, że on nic nie wie.

Z narastającą zazdrością patrzył, ile czasu matka poświęca bliźniaczkom i jak

serdecznie zajmuje się małą Olivią.

Któregoś dnia oświadczył, że już sobie nie życzy, by odprowadzała go do szkoły, i że poprosi dziadka, by ten poprosił stryjka Davida, żeby to stryj odtąd go woził. Prośba była po dziecięcemu śmieszna także dlatego, że wiecznie zajęty sobą, wyższy nad przyziemne obowiązki, David nie odwoził nawet własnej córki, pozostawiając Olivie na łasce Jenny.

Max zaczął czujnie nadstawiać ucha, ilekroć Ben porównywał swoich dwóch synów. Davida wychwalał, do Jona miał wiecznie o coś pretensje, chłopak uznał więc, że jego ojciec jest człowiekiem godnym pogardy, niezasługującym na uwagę. Wzorcami do naśladowania dla niego stali się dziadek i stryj. Broniąc się przed odrzuceniem ze strony rodziców, zbudował sobie skorupę ochronną na tyle mocną, by nie przepuszczała żadnych emocji z zewnątrz, ze świata dorosłych, a jednocześnie pozwalała mu bezpiecznie manipulować innymi ludźmi dla osiągnięcia własnych celów.

Przestał ufać rodzicom. Ojciec mógł sobie mówić, że Max odrzucił jego miłość, ale on wiedział lepiej, że to ojciec nigdy go nie kochał i nie lubił. Słyszał przecież na własne uszy, co mówił stryj David.

Przestał też ufać swoim rówieśnikom. Wolał skrywać się przed nimi we własnej skorupie, nawet wzbudzać niechęć, niż narazić na ból odrzucenia.

Gdyby teraz, po dwudziestu kilku latach, ktoś mu powiedział, że korzenie jego dorosłej osobowości tkwią w lękach nadwrażliwego dziecka, Max zaśmiałyby mu się cynicznie w twarz.

Był taki, jaki był, lubił siebie, a jeśli ktoś go nie akceptował, to jego strata!

Zezłościło go, że Justine zamiast, jak oczekiwał, zaprosić go do siebie, po prostu wymówiła się od spotkania, nie podając nawet przyczyny. Potrzebował dzisiaj seksu, miał nadzieję, że da mu to odprężenie i pozwoli rozładować agresję nagromadzoną w czasie wizyty w rodzinnym Haslewich.

Dość miał Madeleine, z jej żalną i pokorną miną wiecznej męczennicy; rodziców z ich dobrymi manierami i kulturą; zadzierającej nosa, zadowolonej z siebie Olivii; aroganckiego Luke'a; Saula, idealnego męża i ojca. Boże, jacy oni wszyscy byli irytujący! Wiedział, że go nie lubią, nie akceptują, widział, jak współczują biednej Maddy, jak obgadują go za plecami, ale to jego nazwisko pojawiało się coraz częściej w prasowych kronikach towarzyskich, to jego roczne dochody zamykały się w sześciocyfrowych liczbach, to on miał zawsze wokół siebie skore pójść w każdej chwili do łóżka przyjaciółki.

Jutro zamierzał ukarać Justine za dzisiejszy wieczór. Powinna zrozumieć, że

uciekł z rodzinnej uroczystości, żeby spędzić z nią noc. Nieważne, że i tak by wyjechał, tego nie musiał jej mówić. Tak, potraktuje ją z wyraźnym chłodem, da dyskretnie odczuć, że może się wycofać, a to powinno wystraszyć ją na tyle, by rzuciła mu się na szyję i starała udobruchać.

Po południu miał zebranie w kancelarii, doskonały pretekst, by skrócić randkę, zaznaczyć swoje stanowisko i wprawić Justine w zaniepokojenie.

Spotkanie w kancelarii było ostatnie przed przerwą świąteczną. Poza sprawą rozwodową Justine Max nie prowadził w tej chwili żadnej innej, ale to go nie martwiło. Ruch w interesie zaczynał się zwykle wczesną wiosną. Długie zimowe wieczory, spędzane z konieczności na łonie rodziny, w czterech ścianach domu, wywoływały stres prowadzący do rozpadu wielu małżeństw. Na razie wolny od zajęć, Max cieszył się już na obiecany przez Justine wyjazd na narty. Co prawda, nie przepadał ani za szusowaniem po stokach, ani za śniegiem, ale pociągała go perspektywa spędzenia kilku dni w Aspen, luksusowym kurorcie Kolorado.

Maddy zamierzał oczywiście powiedzieć, że wyjeżdża w interesach. Tak rozmyślając, zrzucił ubranie i przeszedł do łazienki pod prysznic.

Przeglądał właśnie jakieś papiery, gdy usłyszał dzwonek przy drzwiach. Podniósł się, w holu rzucił jeszcze okiem na swoje odbicie, by upewnić się, czy dobrze wygląda. Owszem, w koszuli od Turnbulla & Assera, którą dała mu w prezencie Justine, owiany subtelnym zapachem płynu po goleniu – kolejny podarunek od Justine – prezentował się znakomicie. Złote spinki do mankietów były pamiątką po innej wdzięcznej klientce. Zerknął na zegarek, drogiego rolexa ofiarowała mu Maddy w dniu ich ślubu. Justine pojawiła się przed czasem, ale i tak czekała ją mała reprimenda za to, że zbyła go ostatniej nocy. Będzie musiała poczekać na swoją porcję seksu, nie tylko poczekać, ale i dopraszać się o nią!

Otworzył drzwi.

– Mogę wejść, Crighton?

Nie czekając na zaproszenie, do holu wtargnął mąż Justine. Max spotkał go tylko raz, na przyjęciu wydanym przez jedną z przyjaciółek rodziny.

Niższy od Maxa i starszy od niego o jakieś dwadzieścia lat, Robert Burton roztaczał wokół siebie aurę silnego faceta, tak charakterystyczną dla wielu biznesmenów, którym udało się odnieść sukces. Nie musiał pozować ani się przechwalać, i bez tego dominował, miał w sobie coś, co kazało innym mężczyznom mieć się przed nim na baczności. Zmierzył gospodarza wzrokiem pełnym zimnej agresji i minął go, jasno dając do zrozumienia, jakie żywi wobec



niego uczucia.

Trzeba oddać Maxowi sprawiedliwość. Poza lekkim rozszerzeniem źrenic i odruchowym napięciem mięśni nie zdradził żadnym nieopatrzonym ruchem czy słowem, jak niepożądana i nieoczekiwana wydaje mu się wizyta pana Burtona. Przeciwnie, uprzejmym gestem wskazał intruzowi drzwi wiodące do salonu.

- Miło cię widzieć, drogi Robercie - zagadnął z kurtuazją. - Czym mogę ci służyć?

Na te słowa Burton odwrócił się gwałtownie w progu salonu.

- Bezczelny jesteś, Crighton, to ci powiem - rzucił cierpko. - Jestem bardzo zajęty, czasu mam mało i nie będę się bawił w żadne grzeczności. Justine powiedziała mi, co się dzieje.

- To dobrze - Max wszedł mu gładko w słowo. - Doradzałem Justine, by powiedziała panu, że chce rozwodu. Te kwestie małżonkowie powinni omawiać między sobą, tak jest lepiej.

- Dla kieszeni ich adwokatów, owszem. Ale nie zapuszczajmy się w dygresje. Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o oficjalnych stosunkach, jakie łączą pana z moją żoną... - Robert zrobił znaczącą pauzę. - Jak już powiedziałem, wiem, co się dzieje. Przyjaciel mi uświadomił, kim jesteś. Słyszysz z tego, że sypiasz ze swoimi klientkami.

- Bywa, że kiedy małżeństwo się rozpada - zaczął Max, wzruszając ramionami - ludzie podlegają różnym emocjonalnym...

- ...kryzysom - dokończył Burton. - Czy to jednak nie wbrew etyce zawodowej... wykorzystywać czyjeś załamanie? Sądziłem, że taki człowiek jak pan bardziej powinien dbać o dobrą opinię. Co adwokat ma do sprzedania, jeśli nie własną reputację? To przecież wasz towar. Chyba że uznał pan za bardziej dochodowe handlowanie nim w sypialniach klientek zamiast na sali sądowej. Chodzą plotki, że do kancelarii dostał się pan niekoniecznie ze względu na swoje talenty prawnicze czy kwalifikacje. Czy pańska żona wie, w jaki sposób rozwodzi pan swoje klientki?

- Cóż, to tylko dodatkowa przyjemność wynikająca z mojej pracy - odparł Max z kpiącym uśmiechem. - Nie mogę zaprzeczyć, dosyć podniecająca. W końcu jestem normalnym mężczyzną, takim samym, jak chociażby pan.

Max posiadał wyjątkową umiejętność odpowiadania atakiem na atak, potrafił wtedy reagować błyskawicznie, uderzał celnie i bezlitośnie. Teraz też z łatwością zyskał przewagę nad przeciwnikiem, Robert pobladł, zmrużył oczy, widać było, że traci panowanie nad sobą.

- Na pańskim miejscu nie przyznawałbym się tak pochopnie do

niekonwencjonalnych sposobów obsługi klientów – syknął ostrzegawczo. – Wątpię, czy ucieszyłby się pan, znajdując pozew na swoim biurku.

– Nie, nie ucieszyłbym się, ale bardzo wątpię, by mężowie moich klientek mieli ochotę wystąpić przed sądem i przyznać, że ich żony wołały mnie jako kochanka. A na marginesie, ponieważ jestem pełnomocnikiem pańskiej żony w sprawie rozwodowej, powinienem chyba uzmysłwić panu, że postępuje pan nieetycznie, nachodząc mnie w domu i usiłując...

– Nie będzie żadnego rozwodu.

Max osłupiał na te słowa.

– Porozmawialiśmy sobie z Justine – oznajmił Robert z ironią. – Postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Myślę, że Justine powinna mieć dzieci. Kobieta jest stworzona do macierzyństwa. Powiadają, że nic tak nie cementuje małżeństwa jak dziecko. Pan ma zdaje się dzieci, prawda? – Przerwał na moment. – Rozwód – ciągnął dalej – to bardzo drogie i kłopotliwe przedsięwzięcie. Justine zgadza się ze mną, że powinniśmy zostać razem. I niech pan nie próbuje kontaktować się z nią. Dzisiaj rano odleciała concorde'em do Nowego Jorku. Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy – dodał, podchodząc do drzwi. – Jasno chyba przedstawiłem swoje stanowisko, Crichton?

Max odruchowo ruszył za gościem ku drzwiom frontowym, zbyt zaskoczony, by zdobyć się na odpowiedź.

– Aha, jeszcze jedno. – W głosie Roberta brzmiała nieskrywana satysfakcja. – Powinienem pana uprzedzić, że rozmawiałem z szefem waszej kancelarii. Uznałem, że powinien wiedzieć o pewnych faktach. W końcu tak renomowany zespół, jak wasz, powinien dbać o dobrą opinię oraz bezzwłocznie i bezlitośnie rozprawiać się ze wszystkim, co jej szkodzi. Tak samo mężczyzna musi rozprawić się ze wszystkim, co zagraża jego małżeństwu i statusowi majątkowemu. Widzi pan, inteligentny człowiek działa szybko i zdecydowanie, kiedy musi chronić cenione przez siebie wartości.

Max nadal milczał. Doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia słów Burtona. Robert, nie mając zamiaru dzielić się majątkiem z Justine, przekonał ją jakimś sposobem, żeby zrezygnowała z rozwodu, wytłumaczył jej widać, że więcej zyska, pozostając w małżeństwie. Trudno. Naprawdę jednak niepokojąca była uwaga na temat zawodowego statusu Maxa i wiadomość, że Burton zadał sobie trud rozmawiania z szefem kancelarii.

Właściwie Max sam sobie był szefem i żaden z członków zespołu nie mógł osądzać jego postępowania. W praktyce jednak było nieco inaczej. Cóż, nie

pozostawało mu nic innego, jak poczekać i zobaczyć, jaki obrót przyjmą sprawy podczas popołudniowego zebrania w kancelarii.

- Niech to wszyscy diabli - mruzczał pod nosem, kiedy godzinę później, zdążywszy już spisać Justine na straty i umieścić ją na liście byłych kochanek, wychodził z mieszkania, żeby pojechać do Inns of Court. Znany adres, pod którym mieściła się kancelaria, rekompensował z nawiązką niewygody małego, ciasnego gabinetu Maxa.

Biuro szefa zespołu było, oczywiście, znacznie przestronniejsze i bardziej luksusowe. Czulo się tutaj prawdziwe pieniądze, styl i władzę. Ilekroć Max wchodził do tego wnętrza, nie mógł się oprzeć uczuciu zazdrości. Już dawno przyrzekł sobie, że kiedyś on tu będzie urzędował.

# ROZDZIAŁ TRZECI

- Jesteś, Max.

Senior kancelarii, Harold Cavendish, z uprzejmym uśmiechem skinął głową, zapraszając Crightona do zajęcia miejsca. Max sztywno ruszył w stronę wskazanego fotela, wściekły, że przyszedł, jak się okazało, ostatni.

Kiedy nudne zebranie zaczęło toczyć się zwykłym biegiem, Max, już odprężony, zatopił się we własnych myślach, rozważając, kto też mógłby zastąpić mu w łóżku Justine.

Tak dotrzwawszy do końca spotkania, zamierzał już wyjść, gdy poczuł na ramieniu rękę szefa.

- Chwileczkę, Max. Zostań, chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

Harold Cavendish milczał, czekał, aż zostaną sami. Max nie był zbyt popularny w kancelarii, trwał tu głównie dzięki naciskom ojca Maddy. Nie dało się jednak ukryć, że przyciągał damską klientelę, w ten sposób nie tylko sam się bogacąc, ale też zwiększając poważnie dochody firmy, z czego Harold doskonale zdawał sobie sprawę.

Max przypominał mu dobermana, psa pięknego i silnego, ale nieprzewidywalnego i z natury złośliwego, który, kiedy go sprowokować, potrafi być szalenie niebezpieczny. Żona Harolda zauważyła z przekąsem, przy jakiejś okazji, że kobiety szaleją tak za Maxem, bo pociąga je myśl o poskromieniu promieniującej z niego siły seksualnej.

- Max jest dla nich taki intrygujący, ponieważ nigdy nie mogą być go do końca pewne - mówiła pani Cavendish. - Ma w sobie coś mrocznego, nieodgadnionego, nad czym nie panują, i to je fascynuje.

- Max jest zwykłym draniem - skwitował wywody żony Harold. - Spójrz, jak traktuje biedną Madeleine.

- Tak, wiem, to sprawia, że wydaje się kobietom jeszcze bardziej frapujący.

Harold pokręcił głową, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi jego żona. Teraz, wobec perspektywy przeprowadzenia kłopotliwej rozmowy z uwodzicielem, w dalszym ciągu nie pojmował, dlaczego kobiety tracą dla niego głowę.

- Był u mnie Robert Burton - zaczął z ociąganiem. - Sugerował, że... z jego żoną łączy cię zażyłość.

Max nic nie odpowiedział.

- To bardzo wpływowy człowiek. Prowadzimy sprawy wielu jego przyjaciół

i współpracowników.

Max nadal milczał, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza ułatwiać Haroldowi niemiłego zadania.

- Mówiąc wprost, stary, Burton był bardzo niezadowolony ze sposobu...

- Doradca prawny jego żony zwrócił się do mnie z wyraźnym życzeniem, żebym zajął się przeprowadzeniem sprawy rozwodowej pani Burton - wtrącił Max. - Skoro Robert Burton zamierza celowo przeinaczać fakty...

- Oczywiście, oczywiście - mruknął Harold. - Musisz jednak pamiętać, że nie chodzi tylko o twoją opinię, w grę wchodzi dobre imię naszej kancelarii. Jeśli się rozniesie... jednym słowem, jeśli Robert Burton zacznie opowiadać... Otóż, omówiłem tę sprawę z Jeremym i doszliśmy do wniosku, że nie prowadzisz w tej chwili żadnej ważnej sprawy. Pomyśleliśmy więc, że byłoby dobrze, gdybyś wziął dłuższy urlop, powiedzmy na miesiąc, dopóki atmosfera się nie oczyści, a potem...

Max nie wierzył własnym uszom.

- Chcesz mnie po prostu zawiesić w wykonywaniu obowiązków, tak? Nie możesz tego zrobić.

- Nie, nie... skądże znowu, nawet nie zamierzam - zapewnił Harold pospiesznie.

- Chodzi tylko o to, że od czasu do czasu każdemu z nas należy się trochę odpoczynku. Maddy na pewno się ucieszy, że będzie mogła częściej cię widywać.

Zmierzył szefa lodowatym spojrzeniem. Miał na końcu języka, że guzik go obchodzi, czy Maddy się ucieszy, czy nie, ale powstrzymał się.

Burton musiał napędzić niezłego stracha Haroldowi, pomyślał z goryczą. Pompatyczny dureń, śmie mu mówić, co powinien robić. Proponuje mu „dłuższy urlop”. Nie musi przecież się zgadzać. Jeśli jednak odmówi, Harold postara się uprzykrzyć mu życie tak, że w końcu nie pozostanie nic innego, jak odejść z kancelarii, a wtedy będzie skończony. Straci intratną posadę, łączący się z nią prestiż, będzie musiał zapomnieć o wysokich dochodach.

Słuchał napuszonej gadaniny Harolda i powtarzał sobie w myślach, że zbyt wiele wysiłku włożył w osiągnięcie obecnej pozycji, by teraz dopuścić do degradacji. Nie, nie da się odsunąć na boczny tor. Któregoś dnia zajmie miejsce Cavendisha, a wtedy odegra się na tych nadętych osłach, przede wszystkim na Jeremym Standishu, który zajmował w kancelarii stanowisko menedżera i nigdy nie lubił Maxa.

- Widzisz więc sam... rozumiesz, że.... - plątał się Cavendish. - Jestem przekonany, że Maddy...

Max miał już dość. Zniecierpliwiony podniósł się z fotela.

- Miesiąc... - zaczął, ale Harold nie dał mu dokończyć.

- Dwa miesiące, Max - oznajmił, zbierając się na odwagę, nagle pomny, co winien jest swoim wspólnikom, którzy zobowiązali go do przeprowadzenia rozmowy i którym musiał opowiedzieć jej przebieg. - W tym czasie sprawa powinna pójść w zapomnienie.

Dwa miesiące. Max chciał się targować, ale w porę uświadomił sobie, że to tylko pogorszyłoby jego sytuację.

Chryste, ależ ta Justine narozrabiała, powtarzał sobie gniewnie w chwilę później, siadając za biurkiem w swoim gabinecie. Niechby mu się teraz nawinęła pod rękę. Dwa miesiące. Co będzie przez ten czas robił?

Rozległo się energiczne pukanie i w drzwiach stanął Jeremy Standish.

- Dzwoniła Maddy, ale byłeś jeszcze u Harolda - oznajmił od progu. - Prosiła przypomnieć ci, że jutro odbędą się jasełka, w których występuje Leo i że twój dziadek...

Widząc wściekłą minę Maxa, nie mógł powstrzymać się od ironicznego komentarza:

- Maddy na pewno się ucieszy, kiedy się dowie, że idziesz na dłuższy urlop. Wyobrażam sobie, jak musi ci brakować rodziny. Oni na wsi, ty tutaj.

Rzeczywiście, potrzebne mu te jasełka Leo jak dziura w moście, zżymał się w duchu, puszczając mimo uszu kąśliwą uwagę Jeremy'ego. Jeśli jednak nie pojedzie do Haslewich, dziadek zacznie zrzędzić i fukać. Max dotąd nie zwrócił mu długu, który wyżebrał, kiedy brał ślub z Maddy. Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzał zwracać tych pieniędzy. Martwiło go jednak coś innego: coraz bardziej widoczna słabość Bena do prawnuka. Nie mógł dopuścić, żeby Leo zajął w sercu staruszka miejsce ulubieńca, należne dotąd jemu, przez nikogo niekwestionowane i zdawałoby się niezagrożone. Popełnił błąd, pozwalając, by jego rodzina zamieszkała w Queensmead. Mały zbyt dużo czasu spędzał z dziadkiem, a i Maddy była za blisko Bena, chociaż to akurat nie powinno mieć wielkiego znaczenia, bo stary szowinista nie znosił kobiet i nie liczył się z ich zdaniem.

Dwa długie miesiące bezczynności. Wyjazd do Aspen, który mógłby być jakimś urozmaiceniem, oczywiście jest nieaktualny. Będzie musiał powiedzieć Maddy o urlopie. Nie chciał, żeby usłyszała od sekretarki, że mecenas Crighton nie przychodzi do pracy. Uprzedzi żonę, żeby nic nie mówiła swoim rodzicom. Być może uda się całą sprawę utrzymać w tajemnicy.

Dobrze byłoby też dać do zrozumienia Haroldowi, że wiadomość o przymusowych „wakacjach” Maxa może zaszkodzić opinii kancelarii

i pozostałych członków zespołu w takim samym stopniu, co jego własnej. Nie miał złudzeń, że Burton wywarł nacisk na Harolda tylko po to, żeby upokorzyć kochankę żony, ale to nie było w tej chwili istotne. Skoro Cavendish zasłaniał się w rozmowie z Maxem dobrym imieniem firmy, on posłuży się tym samym argumentem, przekonując szefa, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli przyjmą wersję o dobrowolnym urlopie. Tak, wziął dwa miesiące wolnego, żeby poświęcić więcej czasu żonie i dzieciom. To powinno zaskarbić mu kilka punktów u Maddy i u teściów, a dwa miesiące spędzone w Queensmead na utrzymaniu dziadka pozwolą mu oszczędzić trochę grosza. W Chester miał kilka przyjaciółek skorych rozproszyć nudę życia rodzinnego.

Zanim Max uprzątnął swoje biurko, zdołał niemal przekonać siebie, że dłuższy odpoczynek jest tym, czego mu właśnie trzeba...

- To łóżko musi pochodzić z czasów Wilhelma i królowej Mary. Kiedy powiedziałem mu, ile może być warte...

Guy Cooke przerwał entuzjastyczną opowieść o starym meblu, który miał wycenić na prośbę właściciela, i spojrzał uważnie na swoją byłą współpracowniczkę.

- Jenny, co się z tobą dzieje? Jakieś kłopoty? Nie słyszałaś słowa z tego, co mówiłem.

- Przepraszam, Guy - powiedziała z przeproszającym uśmiechem. - Nic mi nie jest, tylko...

- Ja naprawdę potrafię dostrzec, kiedy masz kłopoty, więc nie kręć i nie zaprzeczaj.

Jenny pokręciła głową z rezygnacją.

- Chodzi o Jacka, naszego bratanka. Ma fatalne stopnie, dyrektor szkoły wezwał Jona, by z nim porozmawiać.

- Domyślcie się, dlaczego chłopak opuścił się w nauce?

- Nie jesteśmy pewni, ale niewykluczone, że ma to coś wspólnego z Davidem.

Wiesz, że Jack i Joss uciekli z domu, żeby go odszukać.

- Uhm, Chrissie wspominała mi o tym. - Guy mówił o swojej żonie i dalekiej krewnej Crightonów.

- Ja, Jon i Olivia rozmawialiśmy z Jackiem, ale widzę, że sprawa ojca nie przestaje go dręczyć. - Jenny westchnęła bezradnie. - To zupełnie zrozumiałe. Jack był jeszcze małym dzieckiem, kiedy David zniknął. W przeciwieństwie do dużo wtedy starszej Olivii nie rozumiał, co się stało. Co gorsza, Louise uważa, że chłopak siebie za wszystko obwinia, wbił sobie do głowy, że ojciec wyjechał przez

niego.

Guy zdumiony uniósł głowę.

- Jak to, obwinia siebie? A cóż, na miłość boską, on miał z tym wspólnego?

- Nie wiem, obydwójce z Jonem próbowaliśmy mu to wytłumaczyć, ale jest w takim wieku, że... - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Zawsze był bardzo związany z nami. Dotąd myślałam, że jest szczęśliwy w naszym domu, teraz zaczynam się zastanawiać, czy podjęliśmy dobrą decyzję. Być może powinien był zamieszkać z Tanią w Brighton.

- Tym zupełnie bym się nie martwił. Nie mam najmniejszych wątpliwości, z kim mu lepiej - stwierdził Guy stanowczo.

- Tania jest jego matką, chociaż Olivia utrzymuje, podobnie jak ty, że Jackowi jest lepiej z nami.

- I chyba wie, co mówi, w końcu jest jego siostrą.

- Owszem. Długo rozmawialiśmy z Jackiem o zniknięciu Davida, próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że on nie ma z tym nic wspólnego i że David miał kłopoty z firmą.

- To musiało być dla was bardzo trudne - powiedział Guy z nutą współczucia. - Pamiętam, jak ty i Jon przeżywaliście wówczas tę sprawę.

- Tak, byliśmy wstrząśnięci, szczególnie Jon, kiedy odkrył, że jego rodzony brat zdefraudował pieniądze z konta klientki. Wiem, że zabrzmi to okropnie, ale gdyby ta kobieta akurat wtedy nie umarła i gdyby Ruth nie wyłożyła własnych zasobów na pokrycie długu, który David zaciągnął tak bez troski, to nie wiem, jak by się to skończyło. Staraliśmy się wyjaśnić Jackowi sytuację - ciągnęła Jenny. - Z prawnego punktu widzenia jego ojcu nic nie grozi, w każdej chwili może wrócić do kraju, jeśli, oczywiście, zechce, ale mowy nie ma, żeby nadal pracował w kancelarii.

Jenny westchnęła ciężko.

- Wracając do chłopca, to od dawna byłam przygotowana, że prędzej czy później zacznę pytać o ojca. Fatalnie tylko, że musiało się to stać akurat teraz, kiedy powinien myśleć o maturze.

- Hmm - mruknął Guy. - Mówiłaś, że Joss zamierza studiować w Oksfordzie, a Jack... jakie ma plany?

- Dotąd sądziliśmy, że pójdzie na prawo, a potem podejmie pracę u Jona, w notariacie, ale ostatnio... Wiem, że wszystkie nastolatki przeżywają okres buntu. Jack był bardzo związany ze mną, jeszcze bardziej z Jonem, teraz nagle odwrócił się od nas, stał się nieufny. Jon co prawda nic nie mówi na ten temat, ale widzę, jak bardzo boli go zachowanie chłopca.



- Cóż, domyślam się. Twój mąż musi się bać, że z Jacka może wyrosnąć drugi Max, aczkolwiek wydaje mi się... - Przerwał, widząc wyraz twarzy Jenny. - Powiedz mi, czy o to chodzi?

- Niezupełnie, niedawno jednak Jon powiedział mi, że nigdy chyba nie potrafił być dobrym ojcem. Obarcza się winą za to, że Max jest taki, jaki jest. Zawsze się obwiniał, ja zresztą też. Nie mogę uwolnić się od myśli, że gdzieś popełniliśmy błąd. Obydwoje zastanawiamy się, czy nie powinniśmy byli postępować inaczej... czy nie zaniedbaliśmy czegoś, nie zlekceważyli jakichś oznak. - Pokręciła smutno głową. - Jack jest zupełnie inny niż Max, ale Jon uznał, że w jakimś momencie musiał zawieść oczekiwania chłopca. Jack zamknął się w sobie, odizolował, jest taki nieobecny. Zaczynam się bać, że...

- Bierze narkotyki?

- Nie wiem, ale tyle się teraz o tym czyta - przyznała Jenny. - Co prawda mieszkamy w małym, spokojnym miasteczku, ale Manchester jest tak blisko...

- Wiem, o czym mówisz. Jeśli chcesz, poproszę kogoś z moich, żeby trochę powęszył, rozejrzał się - zaproponował Guy.

Rozmaici członkowie rodziny Cooke, od pokoleń zasiedziały w Haslewich, mieli niezwykle rozgałęzione kontakty w miasteczku, nawet jeśli niekiedy ich znajomości wydawały się mocno podejrzone.

Miejscowa legenda głosiła, że Cooke'owie mają wśród przodków Cygana, który odłączył się od swojego taboru, i że to jemu zawdzięczają śniadą cerę, ciemne włosy i piękne rysy.

Jenny zawahała się. Dyrektor szkoły, do której chodzili chłopcy, przekazał niedawno rodzicom wiadomość, że w pobliżu budynku kilka razy zauważono dealera narkotyków. Policja próbowała schwycić handlarza, ale bez skutku. Nie oznaczało to, oczywiście, że Jack bierze narkotyki, jego dziwne zachowanie wynikało najpewniej z problemów związanych ze sprawą ojca.

- Nie chciałabym, żeby Jack pomyślał, że mu nie ufamy - powiedziała w końcu. - Jon boi się, że Jack może czuć się gorszy od Jossa, ale to oczywiście bzdura, bo obydwu kochamy równie mocno, choć każdego inaczej. Poza tym Jon zbyt wiele wycierpiał od własnego ojca, który zawsze faworyzował Davida, a jego lekceważył, by pozwolić, żeby to samo miało spotkać Jacka.

- Macie bardzo trudną sytuację - powiedział Guy po chwili.

- Jon nie znosi nikogo do niczego przymuszać, ale Jack musi zabrać się ostro do nauki, jeśli chce zdać maturę.

- Widziałem dzisiaj rano samochód Maxa - Guy zmienił temat.

- Tak? To dobrze, Maddy się ucieszy. Bała się, że Max może nie przyjechać na jasełka Leo - odparła Jenny z uśmiechem.

Nie uśmiechała się jednak dziesięć minut później, kiedy szła do samochodu, kuląc się w podmuchach ostrego wschodniego wiatru. Kilka dni wcześniej Maddy zwierzyła się jej, że niepokoje ją narastająca niechęć Leo do ojca.

- Dziadek uważa, że rozpuszczam Leo, ale ja mu tłumaczę, że muszę jakoś wynagrodzić dzieciom to, że tak rzadko widują ojca, że Max nie może... nie daje...

Głos Maddy załamał się, ale też nie musiała nic więcej mówić. Jenny świetnie wiedziała, jaki jest jej starszy syn. Joss spędzał znacznie więcej czasu ze swoim małym bratankiem niż rodzony ojciec, a i Jon starał się poświęcać wnuczce tyle uwagi, ile tylko mógł.

Maddy nie było w domu, kiedy Max przyjechał do Queensmead. Poszła po zakupy do miasteczka, biorąc ze sobą dzieci. W domu unosił się zapach gałęzi jodły i owoców, których użyła do świątecznych dekoracji. Piękne bożonarodzeniowe girlandy kogoś innego wprawiłyby w podziw, ale Max ledwie rzucił okiem na dzieło żony i ruszył od razu ku schodom. Zanim zdążył wejść na piętro, drzwi gabinetu dziadka otworzyły się i w progu stanął Ben. Jego nachmurzona twarz rozpuściła się natychmiast na widok ukochanego wnuka.

- Przyjechałeś, chłopcze! - zawołał uradowany. - Wejdź do mnie na drinka.

Ben drżącą ręką nalał whisky do szklaneczek. Ostatnio bardzo się postarzał, pomyślał Max, obserwując dziadka. Zgarbił się, zapadł w sobie, stracił dawny wigor, poruszał się z trudem, wsparty na lasce, jakby nie dowierzał już własnym siłom.

- Maddy wyszła po zakupy - poinformował wnuka. - Dlaczego kobiety muszą robić tyle zamieszania wokół świąt? Przygotowała tyle jedzenia, że pułk można by tym wykarmić. Taka jest zajęta, że nawet nie miała kiedy wymienić mi książek w bibliotece - burknął z typowym dla starych ludzi egoizmem. - A wczoraj zapomniała przynieść mi mleko na noc - utyskiwał na żonę wnuka. - Podejdź tutaj - skinął na Maxa. - Chciałem ci coś pokazać.

Max podszedł do biurka, widząc, że dziadek wyjmuje jakąś kartkę z biurka i podsuwa mu pod oczy.

- Od Davida - stwierdził Ben kwaśno. - Przyszła wczoraj. Wysłana z Jamajki.

- Z Jamajki? - Max zmarszczył czoło.

Ostatnia, i jedyna dotąd, wiadomość od Davida przyszła z Hiszpanii i pochodziła sprzed roku. Jon poruszył wtedy niebo i ziemię, usiłując odnaleźć brata, ale bez

skutku, nie natrafił wówczas na żaden ślad.

- Wiedziałem, że David nie mieszka w Hiszpanii - mówił Ben pełnym utyskiwania głosem. - Tłumaczyłem Jonowi, że go tam nie znajdzie, ale on, oczywiście, mnie nie słuchał. David powinien wreszcie wrócić do domu. Czekam na niego. Tu jest jego miejsce. Tutaj powinien być, gdyby ta przekłeta kobieta go nie wygnała.

Dla Maxa nie było tajemnicą, że dziadek obwiniał o zniknięcie syna jego żonę Tanię, zwaną w rodzinie Tiggy. Wszystkich, którzy chcieli słuchać jego wywodów, przekonywał, że to jej niezrównoważony charakter, zmienne nastroje, kaprysy i ekstrawagancje, w połączeniu z ciężką bulimią, doprowadziły Davida najpierw do zawału serca, potem zaś kazały mu zniknąć bez śladu.

Max uważnie oglądał wręczoną mu przez dziadka pocztówkę, nie bardzo słuchając, co staruszek ma do powiedzenia. Znał na pamięć jego wywody i gdyby nie to, że miał zakodowane raz na zawsze, by nie irytować Bena, powiedziałby mu z cynicznym uśmiechem, że są lepsze sposoby uwolnienia się od uprzykrzonej żony niż uciekanie z kraju.

Zważywszy na to wszystko, nie mógł jednak powstrzymać się od zgryźliwej uwagi:

- Teraz, kiedy ciotka ma już faceta, stryj David nie musi się jej bać.  
- Właśnie - przytaknął Ben skwapliwie. - Tym bardziej powinien wrócić. Chcę, żeby się odnalazł zanim... - Przerwał, krzywiąc się, i zaczął masować bolące biodro.

- Ojciec próbował go odszukać i nic nie wskórał - rzucił Max obojętnym tonem.  
- Ech, te agencje detektywistyczne. To bez sensu. Jon powinien sam polecieć na Jamajkę, jeśli miałyby choć trochę braterskiej miłości w sercu. Ale nie, zawsze był zazdrosny o Davida, a ja... Sam bym pojechał, gdyby nie to przekłete biodro - zżymał się Ben. - Widzisz, ja bym go na pewno znalazł. Znam Davida, jest przecież moim synem. Krew z krwi, kość z kości.

Max pomyślał, że w tym samym stopniu dotyczy to jego ojca, ale zachował uwagę dla siebie. Ben w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jaki jest Jon, a i o Davidzie wiedział tyle, ile chciał, na resztę przymykał oczy, nie dopuszczał do świadomości tego, co było mu niewygodne i co psułoby wyidealizowany obraz syna.

Jamajka...

Max odłożył pocztówkę. Nierealny błękit nieba, równie błękitne morze. Jamajka...

Nagle przyszła mu do głowy zbawienna w jego sytuacji myśl.

- Jeśli chcesz, żeby ktoś poszukał stryja Davida, ja mógłbym tam polecieć...

rozejrzeć się... popytać... – zaczął niby to z wahaniem.

– Jakim sposobem? – obruszył się dziadek. – A twoja praca?

Max wzruszył ramionami.

– W tej chwili w kancelarii nic się nie dzieje, zastanawiałem się właśnie, czy nie wziąć kilkutygodniowego urlopu. Mógłbym część tego czasu spędzić na Jamajce, zamiast plątać się Maddy pod nogami.

– Mówisz poważnie, naprawdę mógłbyś tam polecieć, Max?

Patrzył obojętnie na poruszenie dziadka. Ben przez chwilę walczył z targającymi nim emocjami, próbował się opanować, wreszcie podszedł do wnuka, chwycił go za ramiona, spojrzał mu w twarz, mrugając gwałtownie powiekami.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – wykrztusił ochryplym ze wzruszenia głosem. – Jesteś taki sam jak twój stryj. Ja wiem, że on chce wrócić do domu, czuję to. Kiedy się dowie, że ta straszna kobieta nie będzie już stała mu na drodze... Mój Boże, niechby tylko spróbowała. Dość szkód już wyrządziła. Kiedy pomyślę sobie, że...

– To droga podróż – wtrącił Max, ignorując uwagi dziadka na temat Tiggy.

– Wiem, o nic nie musisz się martwić – zapewnił Ben pospiesznie.

– Jamajka to duża wyspa, a my nie wiemy, gdzie mieszka David – ciągnął Max.

Nie ma nawet gwarancji, że ciągle tam jest, pomyślał, ale tę uwagę zachował dla siebie. Kilka tygodni spędzonych na Jamajce na koszt dziadka zdawało się idealnym rozwiązaniem. Tego właśnie potrzebował. Uśmiechając się do siebie, dziękował w duchu Haroldowi. Kto wie, może nawet uda mu się znaleźć nowe klientki w czasie pobytu na wyspie.

Poszukiwanie Davida to zupełnie odrębna sprawa i Max specjalnie nie zamierzał się nią przejmować. W końcu gdyby stryj naprawdę chciał wrócić do domu, mógł to uczynić z własnej woli, przez nikogo nienamawiany.

W milczeniu przyglądał się dziadkowi. Czyżby Ben rzeczywiście wierzył, że jedynym powodem, który kazał Davidowi zniknąć i zatrzeć za sobą wszystkie ślady, było nieudane małżeństwo? Nawet jeśli tak było, nie zamierzał wyprowadzać starego z błędu. Widać tracił już kontakt z rzeczywistością.

– Nawet nie domyślasz się, Max, ile to dla mnie znaczy – zaczął Ben, kryjąc wzruszenie. – Tak, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Twój ojciec... – Zamilkł na moment i pokręcił głową. – Zawsze żałowałem, że Jon nie potrafi, że nie chce... zrozumieć, jakie to szczęście dla niego, że ma takiego brata jak David – dokończył z ciężkim westchnieniem. – Ja straciłem swojego bliźniaka...

Max zerknął niecierpliwie na zegarek.

- Posłuchaj, dziadku - przerwał znane na pamięć opowieści Bena. - Jeśli mam polecieć na Jamajkę, muszę załatwić kilka telefonów. Nie będzie łatwo o tej porze roku zdobyć bilet na Karaiby. Masa ludzi wita Nowy Rok na wyspach. Muszę też zarezerwować miejsce w hotelu.

Gdyby to od niego zależało, Max najchętniej wymigałby się od celebrowania Bożego Narodzenia w Haslewich i natychmiast poleciał na Jamajkę, ale zdawał sobie sprawę, że tego nie zniosłaby nawet jego pokorna Maddy.

- Tak, tak, ma się rozumieć - przytaknął Ben skwapliwie.

- Myślę, że powinniśmy zachować mój wyjazd w tajemnicy, przynajmniej na razie - ciągnął Max. - Sam wspomniałeś, że mój ojciec wcale nie tęskni za powrotem Davida.

- Tak, tak, masz rację. - Ben zgadzał się z każdym słowem wnuka.

Jak łatwo manipulować staruszką, myślał Max z satysfakcją. Wystarczy tylko wiedzieć, który guzik przycisnąć. Ten z napisem „David” zawsze potrafił działać cuda. Ciekawe, dlaczego Jon nie próbował naciskać go częściej. Doprawdy, ojciec z tą swoją niezaradnością był godnym politowania safandulą. On sam nigdy nie pozwoliłby dziadkowi traktować się z góry i komentować wzgardliwie każdego swojego ruchu, jak to miał Ben w zwyczaju, ilekroć mowa była o Jonie. Nie, na pewno nie dopuściłby do tego. Spolegliwość ojca zawsze budziła w nim irytację, tym bardziej że Jon potrafił być hardy, kiedy chciał. Max wiedział, że wiadomość o wyjeździe na Jamajkę z różnych powodów nie zostanie dobrze przyjęta w domu rodziców.

Jon nie miał najmniejszej ochoty, żeby jego brat wrócił do domu, i to wcale nie dlatego, jak sądził dotknięty starczą demencją Ben, że był zazdrosny o bliźniaka, tylko nie chciał przysparzać sobie kłopotów związanych z pojawieniem się w Haslewich człowieka skompromitowanego, oszusta.

Na miejscu ojca Max nie wahałby się ani chwili i natychmiast poinformował Bena, czego dopuścił się jego ukochany synek, ale nie, Jon robił wszystko, by ukryć matactwa brata.

David nie zamierzał wracać do domu, to oczywiste, a jego odnalezienie było mało prawdopodobne, zresztą Max ani myślał przemęczać się szukaniem stryja. Wyprawę na Jamajkę traktował jako odpoczynek, szansę wylegiwania się w słońcu na egzotycznej plaży. Żeby nie zawieść oczekiwań dziadka, postanowił, że zapłaci jakiejś miejscowej agencji, by ta zajęła się sprawą.

Maddy chciał powiedzieć o swoim wyjeździe dopiero po świętach. Wolał się zabezpieczyć i uniknąć dąsów, a także nacisków ze strony rodziny, które mogłyby

pokrzyżować mu plany.

- Och, Maddy, jaki on słodki.

Maddy spojrzała na teściową łzawym wzrokiem, po czym obydwie utkwily oczy w scenie, na której dzieci ze szkółki teatralnej odgrywały właśnie jasełka. Był to pierwszy publiczny występ Leo.

Mała, wychowana w domu na butelce owieczka, którą matka odrzuciła zaraz po urodzeniu, uznała, że pora zostać gwiazdą wieczoru i zaczęła szturchać Leo nosem. Chłopiec, niewiele myśląc, chwycił ją za obrózkę i tonem podsłuchanym u ciotki Olivii, właścicielki złotego retrievera, nakazał stanowczo:

- Siad.

Nawet Ben, siedzący z drugiej strony Jenny, parsknął wesołym śmiechem, a mały Leo swoim zachowaniem podbił serca wszystkich widzów.

Tylko Max spoglądał na syna z niechęcią. Leo go zirytował, był już na tyle duży, że powinien wiedzieć, iż do owcy nie mówi się „siad”.

Chłopiec złościł go coraz częściej. W czasie ostatniego pobytu Maxa w Queensmead miał czelność stanąć w progu sypialni rodziców i z bardzo wojowniczą miną zagrozić ojcu drogę, broniąc dostępu do Maddy.

- Odsuń go natychmiast - poprosił cicho żonę, nie spuszczać przy tym oczu z malca. - Jeśli tego nie zrobisz, to...

Po skończonym przedstawieniu rodzice ruszyli za kulisy, by odebrać dzieci. Rozradowany Leo zignorował ojca i rzucił się w ramiona Jona, a gdy dziadek uniósł go wysoko i przygarnął do siebie, chłopiec wtulił buzię w jego szyję.

Jon nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego darzy wnuka tak wielką miłością, a nie może wzbudzić w sobie cieplejszych uczuć do Maxa. Leo był przecież synem Maxa i nie można było o tym nie pamiętać, patrząc na jego buzię; wyglądał dokładnie tak samo jak ojciec, kiedy Max był w jego wieku. Fizycznie przypominał go do złudzenia, na szczęście poza tym bardzo się różnili.

Jon, jak większość dziadków, zakochany bez pamięci we wnuku, serdecznie współczuł małemu i czuł gniew do syna, że tak źle traktuje własne dziecko. Nic dziwnego, że Leo nie garnął się do ojca. Maddy, zawsze lojalna, nie krytykowała Maxa, ale Jon widział cierpienie w jej oczach.

Kiedy Leo się urodził, Jon powiedział sobie, że powinien trzymać się z boku. Był dziadkiem, nie ojcem chłopca. Z czasem zaczął obserwować, jak Joss bawi się z Leo, jak zadzierzga się serdeczna więź między stryjem i bratankiem. Widział obojętność Maxa, lękał się okaleczeń, które nieczułość ojca mogła pozostawić

w psychice dziecka. Ostatecznie więc ślubował sobie, że będzie dla chłopca wsparciem, będzie dawał mu miłość, jeśli tylko Leo zapragnie jego opieki.

Nie wiedzieć dlaczego, nie wiadomo skąd, miał poczucie, że pewnego dnia Leo przejmie rodzinną kancelarię notarialną, że chłopiec, podobnie jak on sam, a ostatnio także Jack, będzie przywiązany do stron rodzinnych.

Jon zafrasował się na myśl o bratanku. Wierzył dotąd, że chłopak jest szczęśliwy w jego domu, że pogodził się ze zniknięciem ojca, tymczasem w ostatnich miesiącach bardzo się zmienił. Dyrektor szkoły jasno powiedział, że jeśli Jack nie poprawi stopni, będzie miał kłopoty z dostaniem się na uniwersytet. Jon rozmawiał z bratankiem, ale ten, zamiast się przejąć, oznajmił, że jest mu wszystko jedno, studiować nie będzie, prawnikiem nie zostanie i nie przejmie rodzinnej firmy.

- Jak więc wyobrażasz sobie swoją przyszłość? - zapytał Jon, tracąc z wolna cierpliwość.

Co prawda minęłoby dobrych parę lat, zanim Jack skończyłby prawo, a kancelarii w Haslewich z roku na rok przybywało klientów, więc Jon i Olivia, która pracowała ze stryjem od czasu choroby, a później zniknięcia Davida, byli tak przeciążeni obowiązkami, że rozważali możliwość przyjęcia trzeciego wspólnika, aczkolwiek żadne z nich nie miało ochoty wprowadzać do firmy kogoś spoza rodziny. Jakby mało miał kłopotów, Jon martwił się też o Maddy i jej dzieci.

- Ta dziewczyna naprawdę zasługuje na lepszy los - ubolewała Jenny, kiedy ostatnio rozmawiali o małżeństwie syna. - Patrzę na nią i czuję się zupełnie bezradna. Ilekroć próbuję z nią rozmawiać na temat Maxa, zbywa mnie. Mówi, że dobrze jej w Haslewich, że opiekowanie się Benem sprawia jej przyjemność. Prawda, Queensmead wypiękniało od czasu, gdy tam zamieszkała, ale cóż z tego? Maddy jest młoda, wykształcona, nie powinna całego życia spędzać w kuchni i w ogrodzie. Wiesz, Jon, to brzmi okropnie, ale czasami myślę, że powinna poznać kogoś naprawdę wartościowego, kogoś, kto potrafiłby docenić ją, zrozumieć, pokochać.

Tak, Jon i Jenny jasno zdawali sobie sprawę z tego, że Max nie kocha żony, ale był to tak bolesny temat, że prawie nie poruszali go w swoich rozmowach.

Gdyby Maddy zdecydowała się odejść od Maxa i zacząć nowe życie z kimś innym, Jon straciłby kontakt z ukochanym wnukiem, a tego za nic nie chciał.

- Kocham cię, Jon - szepnął właśnie Leo cienkim głosem, jakby odgadywał myśli dziadka.

Jon przytulił malca. Czasami Leo, kiedy zebrało mu się na wielką czułość, zwracał się do dziadka po imieniu.

Max, który stał w drugim końcu sali i flirtował ostentacyjnie z młodą, ładną przedszkolanką, zmarszczył czoło, widząc, jak Leo tuli się do jego ojca.

Dlaczego Jon trzyma małego w ramionach, jakby to było jego dziecko? A Leo, co on sobie wyobraża, patrzy na dziadka jakby...

Urywając w pół zdania rozmowę z zalotną dziewczyną, Max podszedł do Jona, odebrał mu chłopca, postawił go stanowczo na ziemi i oznajmił z gniewem:

- Przestań zachowywać się jak dzieciuch, jesteś już za duży na takie pieszczoty.

Wyrwany z objęć dziadka, wystraszony gwałtowną reakcją ojca, Leo szarpnął się.

- Idź sobie, nie lubię cię! - zawołał tak głośno, że kilka stojących w pobliżu osób odwróciło głowy w jego kierunku.

Max zmierzył syna chłodnym wzrokiem. Nikt nie będzie mu mówił, że go nie lubi.

- Najwyższa pora, żebyś zabrała Leo do domu, zobacz, jak on się zachowuje - rzucił przez ramię do Maddy.

Za chwilę miał się zacząć poczęstunek przygotowany przez rodziców dla małych aktorów i Leo niecierpliwie czekał na ten moment. Od kilku dni nie mówił o niczym innym, zmusił nawet Maddy, żeby upiekła jego ulubione ciastka.

Inna matka na pewno sprzeciwiłaby się, wytłumaczyła, jak bardzo dziecko czekało na małą uroczystość i że teraz nie można pozbawiać go przyjemności, ale Maddy czuła, że dyskusja z Maxem tylko pogorszy sytuację. Patrzyła na zawziętą twarz męża i zastanawiała się, co też sprawiło, że stał się tak złym człowiekiem. Miał przecież kochających rodziców, wychowywał się w domu przepełnionym serdeczną atmosferą, a mimo to był zimny, chwilami okrutny, jakby ranienie bliskich mu ludzi stanowiło dlań największą rozkosz.

- Zabierz go, Maddy - powtórzył stanowczo.

Maddy z ciężkim sercem już miała zastosować się do polecenia męża, gdy niespodziewanie podszedł niczego nieświadomy Joss, chwycił Leo w ramiona i uniół ze sobą.

- Och, Max, jak miło cię widzieć. Maddy nie była pewna, czy uda ci się przyjechać.

Maddy odetchnęła z ulgą. Barbara, łasa na względy mężczyzn rozwódka, powinna zająć Maxa rozmową. Sytuacja chwilowo została rozładowana.

- Max nie pokocha nikogo, dopóki nie będzie potrafił zaakceptować i pokochać samego siebie - powiedziała kiedyś Ruth, ale Maddy miała wrażenie, że ta mądra kobieta ten jeden raz się pomyliła, bo Max kochał siebie, tylko siebie, nikogo innego.

Wzięła na ręce Emmę i rozejrzała się po sali. Max gdzieś zniknął, Barbary



Severn też nie było już na sali.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy święta minęły, rodzina się rozjechała, Max zdecydował się wreszcie powiedzieć Maddy o swoim wyjeździe na Jamajkę

- Słucham... co zamierzasz? Przecież twój ojciec próbował odnaleźć Davida.

Maddy, która zbierała właśnie porzucane zabawki dzieci, wyprostowała się, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na męża, mrużąc oczy jak każdy krótkowidz. Położyła gdzieś okulary i nie mogła ich znaleźć, a bez szkieł nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Maxa.

- Masz rację, ojciec rzeczywiście tylko próbował. Nie zrobił nic poza tym, że zaangażował ludzi z jakiejś podrzędnej agencji, a kiedy ci nic nie znaleźli, zrezygnował. W przeciwieństwie do ojca ja osobiście zajmę się sprawą, polecę na Jamajkę i zacznę tam solidne poszukiwania.

- Na Jamajkę? - zdziwiła się Maddy. - Myślałam, że David mieszka w Hiszpanii. Dlaczego dziadek uważa, że znajdziesz go na Jamajce?

- David niedawno przysłał stamtąd pocztówkę. Widziałem ją, rzeczywiście pisał ją stryj, co do tego nie ma wątpliwości.

- Nic nie rozumiem - ciągnęła Maddy. - Zawsze twierdzisz, że jesteś taki zapracowany, że nie masz czasu...

- W naszej kancelarii styczeń często bywa spokojniejszy niż pozostałe miesiące. Nie prowadzę teraz żadnej sprawy. O co właściwie chodzi, Maddy? - zapytał z nutą ironii w głosie. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że poświęcam ci za mało czasu i świadomie unikam twojego towarzystwa? Jesteś przecież taką wspaniałą i podniecającą... partnerką.

Maddy poczuła, że zaczynają palić ją policzki. Max nie musiał jej przypominać, jaka nudna i banalna mu się wydaje.

- Czy... czy twój ojciec wie? - wykrztusiła wreszcie schrypniętym głosem.

- Jeszcze nie. Po co miałbym mu mówić? To nie jego sprawa. Chociaż niedługo zapewne się dowie. Przecież zaraz pobiegiesz do moich rodziców podzielić się z nimi tą wiadomością, prawda?

- David jest bratem twojego ojca - zauważyła Maddy, przełykając z trudem ślinę.

- Jonowi nie jest obojętne, jak nieobecność Davida odbija się na Jacku i na dziadku.

- Zatem będzie zachwycony, kiedy się dowie, że zamierzam odszukać marnotrawnego syna - pokpiwał Max. - Uprzedzam cię, Maddy, jeśli zamierzasz przekonywać moich rodziców, żeby sprzeciwili się wyjazdowi na Jamajkę, to

tracisz czas. Oni nie mają tu nic do gadania, podobnie zresztą jak ty.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego dotąd trzymałeś swój zamiar w tajemnicy? - zapytała Maddy niezwykle jak na nią ostrym tonem, co Max skwitował chłodnym uśmiechem.

- Dobrze, dobrze, zaczynasz myśleć. Otóż nie zwierzałem się nikomu ze swoich planów, moja droga, bo to dziadek finansuje wyjazd i nie chciałem, żeby ojciec odwodził go od tego pomysłu. Teraz jest już za późno. Mam zarezerwowany bilet na samolot i miejsce w hotelu.

- Och, Max - szepnęła Maddy, zaciskając powieki.

Czuła, że jeszcze chwila, a z oczu popłyną piekące łzy. Nie wiedziała, co sprawiało jej większy ból: otwarta wzgarda męża czy fakt, że bez najmniejszych skrępowań wyciągał od Bena pieniądze na kosztowną podróż, która z góry musiała być skazana na niepowodzenie.

- Och, Max - powtórzyła cicho, gdy mąż wyszedł z pokoju.

Jack puszczał kaczki na stawie, zaciskając z całych sił zęby i powstrzymując ciskające się do oczu łzy. Jest już przecież mężczyzną... prawie mężczyzną, a mężczyźni nie płaczą, nawet jeśli...

Przyjechał do Queensmead, żeby zobaczyć się z Maddy, ale jej nie zastał. Przechodził właśnie koło gabinetu dziadka i przez otwarte drzwi zobaczył, że staruszek drzemie w swoim fotelu. Nie bardzo wiedząc dlaczego, wszedł do pokoju. Nigdy nie bał się dziadka, ale też nigdy specjalnie go nie lubił.

- On ciągle myśli o stryju Davidzie - usłyszał Jack, kiedy skarżył się Jossowi, że Ben poświęca im tak mało uwagi. - W jego przekonaniu, gdyby nas kochał, to odbierałby swoją miłość Davidowi.

- Ale Maxa kocha - upierał się Jack.

- Maxa kocha, bo Max przypomina mu Davida, a Davida kocha, bo on urodził się jako pierwszy z bliźniaków, tak jak jego brat, który zmarł.

- Co myślisz o moim ojcu? - zapytał cicho Jack.

Joss milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie się odezwał, nie był w stanie spojrzeć Jackowi prosto w oczy.

- Nie bardzo go pamiętam. Ciągle tylko pracował, no i...

- Pewnie się cieszysz, że nie był twoim ojcem, prawda? - W głosie Jacka słychać było gorycz.

- Jest moim stryjem - odparł Joss, udając, że nie zrozumiał słów kuzyna. - Jestem z nim spokrewniony, mam te same geny, co on. Tyle we mnie z niego, co w tobie.

- Nieprawda - zaoponował gwałtownie Jack. - Nie jesteśmy tacy sami. Po pierwsze, dziadek mnie nie lubi. Wiem dlaczego. On myśli, że ojciec wyjechał z kraju przeze mnie.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdziwił się Joss. - Przecież wszyscy wiemy, dlaczego stryj David wyjechał.

Joss przerwał na tym rozmowę, a Jack nie zamierzał dłużej się z nim sprzeczać. Po co?

Nie pamiętał już, ile razy wracał myślami do ostatniej kłótni rodziców: obydwójce za chwilę mieli wychodzić na przyjęcie urządzone w ogrodach Queensmead z okazji pięćdziesiątych urodzin Davida i Jona. Ojciec okropnie zezłościł się wtedy na matkę.

- Na miłość boską, Tiggy, co się dzieje z pieniędzmi? Dlaczego te cholerne dzieciaki tyle kosztują! - krzyczał David w furii.

- Nie bądź śmieszny - prychnęła matka. - Jack wyrósł ze starego mundurka, musiałam zamówić nowy. Jak ci się wydaje, w czym miał chodzić do szkoły?

Rodzice nadal się kłócili, ale Jack już nie słuchał, uciekł do swojego pokoju.

Jego rodzice. Dlaczego byli tacy? Dlaczego nie mogli być podobni do innych rodziców, dlaczego nie przypominali w niczym stryja Jona i ciotki Jenny?

Myśl o stryju i ciotce nappełniała Jacka jednocześnie ufnością i smutkiem. W ich domu czuł się bezpieczny, kochany, ale nie mógł uwolnić się od wrażenia, że jest dla nich ciężarem.

Ze stawu zerwała się spłoszona kaczka i słysząc jej głośny krzyk, Jack ocknął się ze wspomnień i wrócił myślami do teraźniejszości.

Kiedy wszedł dzisiaj do gabinetu, dziadek otworzył oczy i spojrzał na niego gniewnie.

- Ach, to ty - mruknął. - Ta twoja matka... to przez nią David nie chce wrócić do domu. - Tu Ben drżącą dłonią sięgnął po leżącą na biurku pocztówkę. - Oto, co ta kobieta z niego zrobiła... Mieszka gdzieś na drugim końcu świata - mówił z goryczą.

Co dziadek chciał mu powiedzieć? Że to matka wszystkiemu jest winna? Matka i... on?

Jack odruchowo podniósł pocztówkę odrzuconą z gniewem przez dziadka. Wpatrywał się w pismo ojca, pismo, którego nie znał, i nie był w stanie wskrzesić w sobie żadnych uczuć poza bólem i gniewem do Davida.

Jakim człowiekiem był jego ojciec? Jakim człowiekiem będzie on sam, jakim ojcem? Na pewno nie takim jak stryj Jon.

Ze złością rzucił kolejny kamyczek. Stryj Jon nigdy nie zostawiłby rodziny, nie opuściłby dzieci. Jack pamiętał, jak w ostatnie święta wszyscy składali sobie życzenia. Stryj uściskał najpierw jego, potem Jossa. Z jaką miłością patrzył wówczas na swojego syna. Owszem, otaczał Jacka miłością. Tak jak otaczał miłością wszystkich ludzi wokół, przygarnął go, zapewnił mu dom, ale robił to z poczucia obowiązku wobec dziecka swojego brata. Jossa kochał inaczej, tak jak mężczyzna kocha syna. Co on, Jack, zawinił, że jego ojciec się od niego odwrócił? Tyle pytań i żadnej odpowiedzi.

Ojciec, odchodząc, pozbawił go szansy zadania tych pytań. Jack czuł, że dopóki nie usłyszy odpowiedzi, nie będzie mógł dalej żyć.

Wiedział, że stryj i ciotka martwią się jego złymi stopniami, a on nie potrafił im wyjaśnić, co się dzieje, nie potrafił powiedzieć, jak bardzo samotny się czuje, jakie dręczą go lęki.

Dziadek z lubością powracał do opowieści o latach szkolnych Davida, z zachwytem opowiadał, jakim to jego syn był wspaniałym sportowcem, świetnym uczniem i, co dawał do zrozumienia między wierszami, ale nie śmiał powiedzieć wprost, podrywaczem. Jeśliby wierzyć Benowi, David był pod każdym względem doskonały, był wzorem do naśladowania. Jackowi jawił się jednak niby dwuwymiarowa postać, wyzuty z życia i znaczenia cień, mgliste wspomnienie, z którym chłopiec nie czuł związku ani pokrewieństwa.

Zamyślony sięgnął po kolejny kamyczek. Zaczęło mżyć, zrobiło się chłodno. Nie miał kurtki, ale było mu to obojętne. Obojętne było mu również to, że powinien teraz siedzieć w domu nad książkami. Co go to wszystko obchodziło? Kogo on obchodził?

- Maddy, masz chwilę?

Maddy uśmiechnęła się na widok zaglądającej do kuchni teściowej. Była godzina jedenasta: Ben siedział w swoim gabinecie nad filiżanką świeżo zaparzonej kawy, Leo poszedł na spacer z Jossem, Emma spędzała dzień u Olivii z jej córeczkami, Amelią i Alex.

Natomiast Max... Tu uśmiech zniknął z twarzy Maddy. Max wyszedł zaraz po śniadaniu, rzucając na odchodnym, że jedzie do Chester załatwić kilka spraw związanych z podróżą na Jamajkę.

- Przyjechałam, bo mam do ciebie prośbę - zaczęła Jenny, siadając przy kuchennym stole i przysuwając sobie podaną przez Maddy kawę. - Wiem, ile masz zajęć w domu. Zajmujesz się dziadkiem, dziećmi... Ruth najbliższe pół roku spędzi

w Stanach u rodziny Granta, a tymczasem w naszym domu samotnej matki będzie mnóstwo dodatkowej pracy. Wiesz, że dostałyśmy nowy budynek i przeprowadzamy tam nasze przytulisko. Otóż pomyślałam, że spróbuję cię przekonać, ba, namówić, żebyś poświęciła trochę więcej czasu naszej fundacji. Wspaniale sobie radziłaś ze zbieraniem pieniędzy i bardzo mnie odciążałaś, biorąc na siebie większość papierkowej roboty, ale teraz chciałam cię prosić, żebyś zgodziła się zostać naszą skarbniczką.

Maddy zrobiła wielkie oczy.

- Chcesz, żebym...

- Proszę, tylko nie mów „nie” - przerwała jej Jenny. - Omówiłam wszystko z Ruth przed jej wyjazdem. Chciałyśmy już wtedy z tobą porozmawiać, ale nie było okazji. Najpierw ślub Louise, potem święta. W każdym razie obydwie doszłyśmy do zgodnego wniosku, że bardzo dobrze nadawałabyś się do tej pracy. Jesteś świetnie zorganizowana, doskonale sobie radzisz z księgowością - Jenny przerwała na moment, zaśmiała się i pokręciła głową. - Z takimi talentami, Maddy, mogłabyś stanąć na czele jakiejś potężnej fundacji dobroczynnej.

Maddy zaczerwieniła się i spuściła oczy.

- Bardzo mi pochlebia to, co mówisz i że tak starasz się natchnąć mnie wiarą w siebie, ale to tylko pochlebstwa.

- Nie prawie ci wcale pochlebstw - oznajmiła Jenny stanowczo. - Mówię prawdę. Nie dalej jak wczoraj Jon powiedział, że wiele by dał, żeby mieć taką szefową biura jak ty. Albo Joss. Wiesz, że on jest naprawdę dobry w matematyce, a twierdzi, że ty jesteś znacznie lepsza od niego. Masz naprawdę wiele umiejętności, których nie wykorzystujesz i nie doceniasz.

- Ech, przesadzasz - mruknęła Maddy i wzruszyła ramionami.

- Maddy, nie wyprowadzaj mnie z równowagi - ostrzegła ją Jenny niby to surowo. - Powtarzam ci, że nie doceniasz siebie. Jeśli uważasz, że proponuję ci funkcję skarbniczki i sekretarza z jakiegoś źle pojętego altruizmu, to bardzo się mylisz. Ja... Co tam ja, fundacja naprawdę potrzebuje kogoś takiego. Nasza księgowa suszy mi głowę, że dłużej nie poradzimy sobie bez skarbnika, a Ruth już mi powiedziała, że chce zrzec się funkcji na stałe, jeśli tylko zgodzisz się przejąć po niej obowiązki.

- Ale Ruth powołała fundację, to jej dzieło - nie ustępowała Maddy.

- Oczywiście. Sama miała nieślubne dziecko i musiała je oddać obcym ludziom, dlatego założyła dom samotnej matki, a jak wiesz, ja też miałam swoje powody, żeby się zaangażować w tę pracę.

Maddy pokiwała smutno głową. Harry, pierwszy synek Jenny, umarł krótko po urodzeniu. Dla Jenny była to ogromna tragedia. Strata dziecka zawsze jest straszliwą tragedią. Maddy kochała swoją dwójkę bez pamięci i nawet w najbardziej krytycznych momentach swojego małżeństwa nie żałowała, że wyszła za Maxa, bo dzięki temu miała Leo i Emmę, ale były to uczucia tak bardzo osobiste, że nie zwierzała się z nich nikomu, nawet Jenny.

- Czy Max wrócił do Londynu? - zapytała Jenny, widząc smutek malujący się na twarzy synowej.

- Nie... nie wrócił.

Maddy ze zwieszoną głową podniosła się zza stołu i zebrała puste filiżanki po kawie.

- Maddy, co się dzieje? Coś się stało? - zapytała zaniepokojona Jenny.

- Nic się nie stało.

- Chodzi o Maxa, prawda? - domyśliła się Jenny. - Co on znowu zrobił?

- Nie - zaprzeczyła Maddy, po czym przyznała: - Tak, właściwie tak. Otóż Max wybiera się na Jamajkę, żeby szukać Davida.

Jenny znieruchomiała. Spodziewała się usłyszeć różne rzeczy: że Max ma romans, nie pierwszy w końcu i nie ostatni, że małżeństwo syna ostatecznie się rozpadło, wszystko mogła przewidzieć, ale taka wiadomość zupełnie ją zaskoczyła.

- Przepraszam, co? Jak to? Przecież to niemożliwe. Co z pracą? - Jenny była kompletnie oszołomiona.

- Widocznie wszystko jakoś ułożył - bąknęła Maddy cicho. - Dziadek poprosił go, żeby poleciał, a że w kancelarii nie ma akurat żadnych pilnych spraw, to uznał, że może się tym zająć. Max wie, jak bardzo dziadek tęskni za Davidem.

Pierwszy szok minął i Jenny czuła teraz złość, ale i niepokój. Max nie zdecydowałby się na podróż wyłącznie ze względu na dziadka. Coś się za tym kryło. Poza tym wyjazd na Jamajkę był, jej zdaniem, zupełnie poronionym pomysłem. David mógł prosić kogokolwiek, by wysłał mu kartkę z Kingston, a nawet jeśli był sam na wyspie, dawno już mógł przenieść się na drugi koniec świata.

Max musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że David, gdyby tylko chciał, skontaktowałby się z rodziną, bo nic temu nie stało na przeszkodzie. Tymczasem on ze zwykłym sobie okrucieństwem podsycił próżne nadzieje Bena, umacniał dziadka w przekonaniu, że David padł ofiarą jakichś zewnętrznych okoliczności i że od rodziny odizolował go zły los, a nie własna decyzja. Zważywszy na absurdalność planu, nie było sensu powstrzymywać Maxa przed wyjazdem. On

przecież nigdy nikogo nie słuchał, o nikogo nie dbał, z nikim się nie liczył, poza samym sobą.

Jenny ciągle nie mogła zapomnieć sceny na cmentarzu przy grobie Harry'ego, na którym kilka dni wcześniej posadziła nowe kwiaty. Max wrywał je wszystkie, łamał i deptał. Kiedy walcząc z napływającymi do oczu łzami, zapytała w końcu, dlaczego to zrobił, wzruszył tylko ramionami i zrobił taki ruch, jakby chciał kopnąć płytę nagrobną.

- A po co mu one - warknął. - Przecież on i tak już nie żyje.

- Zupełnie nie potrafię do niego dotrzeć - skarżyła się Jenny tego samego dnia Jonowi. - Dlaczego zrobił coś tak bezsensownego, tak okropnego? Przecież wie, ile dla mnie znaczy grób Harry'ego.

- Może właśnie dlatego go zniszczył. Może jest zazdrosny - próbował domyślać się Jon.

- O Harry'ego? Jakim sposobem? Przecież nawet go nie znał. Co zrobiłam źle, Jon? - pytała zdesperowana. - Tak bardzo go pragnęliśmy, a teraz...

Jenny zamknęła oczy. Jak mogła powiedzieć, że nie kocha swojego własnego dziecka? Zresztą nie była to prawda. Kochała Maxa, ale nie potrafiła zaakceptować tego, co robił, jak postępował, jak się zachowywał. Nie, tak daleko jej miłość nie sięgała.

- Leo zaczyna... - Maddy przerwała, przełknęła ślinę. - Robi się bardzo trudny w obecności Maxa. Mam wrażenie, że mały potrzebuje ojca na co dzień. Max powinien spędzać z nim więcej czasu, bawić się, zabierać na spacer.

- Och, Maddy, tak mi przykro, tak strasznie przykro - szepnęła Jenny współczująco.

Maddy uśmiechnęła się do niej smutnym, bladym uśmiechem.

- Pozwolisz mi zastanowić się nad twoją propozycją? Dam ci odpowiedź za kilka dni, dobrze?

- Pod warunkiem, że będzie brzmiała „tak”. Naprawdę jesteś nam bardzo potrzebna, Maddy.

- Wyglądasz na bardzo zamyśloną - zauważył Jon, wchodząc do bawialni. Jenny stała przy oknie i wpatrywała się w przestrzeń z nieobecny wyrazem twarzy. - Widziałas się z Maddy?

- Uhm - przytaknęła Jenny.

- Coś nie tak? Nie chce przejąć obowiązków Ruth?

- Nie, powiedziała tylko, że musi się zastanowić, ale myślę, że uda mi się ją



namówić.

- Więc co się stało? Tylko mi nie mów, że nic, widzę przecież.

Jenny pokręciła głową.

- Nie chodzi o Maddy, tylko o Maxa. Okazuje się, że nasz syn wybiera się na Jamajkę szukać Davida.

- Słucham?

- No właśnie. Byłam tak samo zdumiona jak ty. Max nigdy nie przejawiał cienia zainteresowania losami Davida i bardzo wątpię, żeby teraz go to choć trochę obchodziło. Maddy mówi, że zdecydował się szukać go na wyraźną prośbę dziadka. I, ma się rozumieć, za jego pieniądze. Podobno już pojutrze wylatuje do Kingston i... - Jenny przerwała, marszcząc czoło. - Co to? - zwróciła się do męża. - Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas pod drzwiami.

Jon podszedł do ledwo uchylonych drzwi, otworzył je szeroko i wyjrzał na hol.

- Nie ma nikogo. To pewnie kot.

- Co mamy począć z tym fantem, Jon?

- Obawiam się, że nic nie możemy zrobić, moja droga, poza wyrażeniem naszej dezaprobaty. Znasz przecież Maxa równie dobrze jak ja.

- Max chyba nie wierzy, że znajdzie Davida, skoro tobie się to nie udało, pomimo że zaangażowałeś fachowców.

- Tak, szukałem go w Europie, w Ameryce Południowej - przytaknął Jon - ale nie wpadłem na pomysł, że może mieszkać na Karaibach.

- Nie mamy żadnej gwarancji, że rzeczywiście tam mieszka. Ktoś mógł wysłać tę pocztówkę na jego prośbę. A nawet jeśli sam był na Jamajce, to mógł już stamtąd wyjechać - powiedziała Jenny znużonym głosem. - To obrzydliwe, co powiem, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że Max decyduje się na tak uciążliwą eskapadę tylko po to, żeby zadowolić Bena.

- Hmm.

- Maddy jak zawsze niewiele mówiła, ale widziałam, że jest bardzo zmartwiona tym pomysłem. Czasami mam okropne poczucie winy wobec niej, Jon. Gdyby była naszą córką, za nic bym nie chciała, żeby męczyła się w tak destrukcyjnym związku. Ona naprawdę zasługuje na coś lepszego.

- Maddy nie jest taka słaba, jak się Maxowi wydaje. Dziewczyna ma dużo wewnętrznej siły. Czasami myślę sobie, że ma swoje powody, by trwać w tym małżeństwie.

- Myślisz o dzieciach?

Kiedy Jon nie odpowiedział, Jenny spojrzała na niego ze strapioną miną.

- Och, nie myślisz chyba, że jest naiwną, staroświecką romantyczką, która wierzy, że jej mąż nagle dozna przemiany i...

- Pokocha ją, tak? Nie, nie przypuszczam, żeby robiła sobie podobne nadzieje - przyznał Jon. - Chyba rzeczywiście chodzi jej o dzieci. Tutaj, w Haslewich, mają zapewnione bezpieczeństwo, zaplecze rodzinne, miłość. Być może Maddy uznała, że to na tyle cenne wartości, by warto znosić dla nich cierpienia, które zadaje jej Max swoją postawą.

Jenny pokręciła głową.

- Nie zapominaj, Jon, że Maddy jest jeszcze młoda. Kobieta w tym wieku jest u szczytu swoich możliwości. Maddy potrzebuje...

- Mężczyzny? - dokończył Jon za żonę.

- Chciałam powiedzieć: miłości - poprawiła go Jenny z cierpką nutą w głosie.

- Hmm. Cóż, mamy w tej chwili większe zmartwienia niż małżeńskie kłopoty Maddy i Maxa. Myślałaś, co poczniemy z Jackiem?

- Nie wiem - westchnęła Jenny. - Do tej pory wydawał się zupełnie szczęśliwy, ale ostatnio bardzo się zmienił. Nie lubię węszyć, ale muszę przyznać, że pytałam Jossa, czy przypadkiem... Zawsze byli ze sobą bardzo zżyci i zapewne nadal są, ale coraz więcej czasu spędzają oddzielnie. Joss powiedział mi jedynie, że Jack bardzo często mówi o ojcu, ma do niego ogromny żal.

- Nic dziwnego. Problem w tym, że gniew, który czuje wobec Davida, skrupia się na nas. Kiedy zacząłem z nim rozmawiać o kłopotach w szkole, natychmiast mi wytknął, że nie jestem jego ojcem i że nie mam, z prawnego punktu widzenia, żadnych praw rodzicielskich.

- Och, Jon. - Jenny podeszła do męża i uścisnęła go serdecznie, domyślając się, jak bolesna musiała być dla niego cierpka uwaga Jacka.

Jon był człowiekiem raczej nieśmiałym i nie lubił czy też nie umiał okazywać uczuć, a to za sprawą niegdysiejszego odrzucenia przez ojca. A jednak między nim i Jackiem istniała jakaś szczególna więź emocjonalna. Joss, jego najmłodsze dziecko, bardzo kochał ojca, ale też Joss kochał wszystkich i wszyscy kochali jego. Natomiast między Jonem i Jackiem zaczęło się budować wzajemne zaufanie, wzajemna świadomość czułych punktów i bolesnych doświadczeń.

- Jack, jak każdy nastolatek, przechodzi trudny okres - mówiła Jenny, wstawiając się za chłopcem. - Pamiętasz, ile problemów mieliśmy z Louise, kiedy zadurzyła się pierwszą, cielejącą miłością w Saulu?

- Nawet mi nie przypominaj - jęknął Jon. - Jack jest inny. On jest mi bardzo drogi, Jen, bardzo drogi. Czasami mam wrażenie, że los sprowadził go pod nasz

dach, żebym mógł w ten sposób zadośćuczynić za błędy mojego własnego ojca.

- Wiem - przytaknęła cicho Jenny. - I myślę, że w głębi duszy Jack o tym wie, ale w tej chwili... Kiedy dorośnie, na pewno zrozumie i doceni, jak bardzo go kochasz, Jon.

Maddy zmieniła bieg i skręciła na podjazd prowadzący do Queensmead. Wracała od Olivii i przez całą drogę walczyła z cisnącymi się jej do oczu łzami.

Był pewien aspekt wyjazdu Maxa na Jamajkę, którego, jak dotąd, nikt inny poza nią nie dostrzegł i miała nadzieję, że nikt nie dostrzeże.

Na tyle orientowała się w sprawach zawodowych męża, by wiedzieć, że rzeczywiście w styczniu i w lutym miał zwykle mniej spraw, nie mogła jednak uwierzyć, żeby przez nikogo nie przymuszany wziął raptem dwumiesięczny urlop.

Zaparkowała samochód i odwróciła się z uśmiechem do dzieci, ale nie przestawała myśleć o urlopie męża.

Max nie był lubiany w swojej kancelarii, o tym wiedziała, niemniej był dobrym adwokatem, cenionym, a być może nawet jednym z bardziej znanych w kraju specjalistów od spraw rozwodowych.

Maddy nie brakowało inteligencji. Skończyła studia prawnicze, ale nigdy nie podjęła praktyki, zdecydowała się poświęcić wychowaniu dzieci. Wbrew temu, co opowiadał Max, i w co, jak się zdaje, uwierzyła bez zastrzeżeń jej rodzina, podejrzewała, że urlop nie był zupełnie dobrowolny i musiał się wiązać z jakimiś kłopotami, które mąż przed nią ukrywał.

Nawet jeśli tak było, to ona nie musiała się martwić o pieniądze. Jej fundusz powierniczy stanowił wystarczające zabezpieczenie finansowe dla niej i dla dzieci. Nie, martwiło ją coś innego. Coś...

- Gdzie się podziewałaś, Maddy?

Koło samochodu pojawił się nieoczekiwanie Max, otworzył drzwiczki od strony kierowcy i mierzył żonę wrogim spojrzeniem.

- Ja muszę wyjść wieczorem, a staruszek znowu narzeka, że zapomniałaś wymienić mu książki w bibliotece. Poza tym powinnaś mnie spakować.

- Przywiozłam książki dla dziadka - powiedziała Maddy ugodowym tonem i nachyliła się, żeby wysadzić dzieci z samochodu, co Max obserwował obojętnie, nie kwapiąc się do pomocy.

Max nigdy w niczym jej nie pomagał, ona zaś nigdy nie prosiła go o pomoc. Zresztą czuła, jak Leo, wrogi i jednocześnie przestraszony, sztywnieje na widok ojca.

Martwiły ją te reakcje chłopca w stosunku do Maxa, ale Leo był jeszcze za mały, by mu wyjaśniać, że nie powinien się bać i że w niczym ojcu nie zawinił. Jak miała wytłumaczyć pięciolatkowi, że Max do wszystkich odnosi się z jednakową niechęcią, w najlepszym zaś razie z zimną obojętnością, uważając ludzi za niegodnych jego uwagi czy troski.

Ona bardzo szybko po ślubie zrozumiała, jak mało znaczy dla męża, i dawno już przeboleła brak miłości i szacunku z jego strony, tak w każdym razie sobie mówiła.

Poczęciu Emmy także nie towarzyszyły żadne serdeczne uczucia, które kiedyś wydawały się Maddy niezbędne między dwojgiem ludzi decydujących się powołać nowe życie.

Uśmiechnęła się boleśnie do swoich wspomnień, wyjmując córeczkę z samochodu. Na szczęście Emma nie wiedziała, i nigdy nie powinna się dowiedzieć, jak bardzo cyniczny, pusty, banalny i samolubny był akt, za sprawą którego pojawiła się na świecie.

- Dlaczego nie weźmiesz sobie prostytutki - syknęła Maddy przez łzy, gdy Max obudził ją którejś nocy, trzaskając głośno drzwiami do jej sypialni, bo od początku małżeństwa sypiali osobno, i zapalając wszystkie światła.

Za całą odpowiedź zerwał z niej kołdrę i nagi rzucił się na łóżko.

- Nie fatyguj się, nie musisz zdejmować koszuli - oznajmił zjadliwie. - Nie chcę patrzeć na ciebie. A co do prostytutki, po co komuś płacić, skoro mam w domu ciebie? Poza tym wszystko jedno z kim śpię, efekt jest w każdym przypadku taki sam - szydził bezlitośnie, nieczuły na zadawane każdym słowem cierpienie, bo chodziło mu tylko o to, by smagać słowami, poniżać i upokarzać.

- Jeśli ci wszystko jedno, to... - zaczęła i ugryzła się w język, widząc ironiczny uśmiech na jego ustach.

- To co? Mam iść do łazienki i ulżyć sobie jak pryszczaty wyrostek? O nie.

Maddy biernie poddawała się jego zabiegom, bo trudno je było nazwać pieścizotami, i zastanawiała się, dlaczego Max przyszedł do jej sypialni? Czy dlatego, że ta, z którą miał zamiar spędzić noc, zawiodła i z jakichś powodów nie stawiała się na spotkanie? W ten sposób, w odstręczającym akcie, została poczęta Emma.

Kiedy Maddy powiedziała Maxowi, że spodziewa się dziecka, usłyszała to, co za pierwszym razem, ale tym razem potrafiła już opanować ból.

- Powinieneś być pomyśleć o konsekwencjach, przychodząc w nocy do mojej sypialni - oznajmiła wówczas spokojnie. - Poza tym byłbyś chyba w bardziej kłopotliwej sytuacji, gdyby to ta, z którą miałeś, a nie mogłeś przespać się

wówczas, stała teraz przed tobą, mówiąc, że jest w ciąży.

Na Maksie uwaga ta nie wywarła, oczywiście, żadnego wrażenia. Wzruszył tylko ramionami i odparł z lekceważeniem:

- Z nią coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Ona wiedziałaby, jak się zabezpieczyć przed... kłopotami. Widzisz, moja droga, w przeciwieństwie do ciebie ona lubi seks i potrafi sprawić, by również partner czerpał z tego przyjemność.

W pewnym sensie córka była jej jeszcze droższa przez to, że pojawiła się na świecie za sprawą przypadku, pomyślała Maddy, całując pulchne policzki Emmy i kierując się w stronę domu.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wczoraj była tu moja matka. Czego chciała?

Maddy dokończyła prasowanie koszuli i dopiero wtedy odpowiedziała na ostre pytanie Maxa.

- Przyjechała zapytać mnie, czy nie przejąłabym obowiązków Ruth w ich fundacji dla samotnych matek - wyjaśniła, składając koszulę, po czym odłożyła ją na stertę uprasowanych rzeczy.

Max zaopatrzył się w nową garderobę wakacyjną na podróż na Jamajkę i oczywiście uparł się, że wszystko powinno być wyprane i wyprasowane.

Wylatywał następnego dnia rano i Maddy z niecierpliwością czekała na jego wyjazd. Leo przy śniadaniu grymasił, potem nie chciał zostać w przedszkolu, uczeplił się matki, nie pozwalając jej odejść.

- Musi być naprawdę zdesperowana, skoro zdecydowała się prosić ciebie o pomoc - sarknął Max.

Maddy zbyła jego uwagę milczeniem. Po co miałyby reagować? Wiedziała z doświadczenia, że wszelkie próby obrony kończyły się sromotną klęską. Zazwyczaj w końcu się poddawała, uciekając jak niepyszna, a Max pozostawał na placu boju syty kolejnego zwycięstwa w słownych utarczkach.

Wylewanie łez nad reakcjami Maxa było trwonieniem czasu i energii, tak jak trwonieniem uczuć była miłość do niego, miłość, która wyzuła ją z szacunku dla siebie, z dumy i własnego ja.

W początkach znajomości Max bawił się jej emocjami, manipulował nią, jak chciał, ona zaś, nic nie podejrzewając, trwała w przekonaniu, że ukochany mężczyzna po prostu nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ranią ją jego okrutne przycinki. On tymczasem zadawał ból z całym rozmysłem, by potem łagodzić go w łóżku.

Z czasem doprowadził do tego, że gotowość Maddy, by zatracać się w jego ramionach i oddawać mu bez reszty, zamieniła się w pełen niechęci chłód.

Max nie przejmował się specjalnie tym, że żona straciła ochotę na seks. Niby czym miał się martwić, przekonany, że z nich dwojga to ona traci, nie on? On miał kochanki, z którymi mógł w każdej chwili iść do łóżka, kobiety znacznie atrakcyjniejsze i o wiele bardziej otwarte na przygodę niż Maddy. W każdym razie tak było do niedawna.

Teraz zaczynał z wolna odczuwać brak seksu. I nie chodziło tylko o fizyczne

zaspokojenie, ale o świadomość, że jest w jego życiu ktoś, jakaś istota, która go pożąda i którą on może w pełni kontrolować.

Tak rozmyślając, zmierzył żonę chłodnym, oceniającym spojrzeniem. Czasami nie mógł się nadziwić jej głupocie. Chociaż on wolał raczej szczupłe, długonogie dziewczyny w typie modelek, byli przecież mężczyźni, którym podobały się kobiety o miękkich, zaokrąglonych kształtach. Gdyby tylko Maddy nie była tak rozpaczliwie uległa, zrezygnowana, gdyby trochę się wysiliła.

Odwrócił głowę z niesmakiem, zdziwiony, że traci czas na rozmyślanie o Maddy. Nigdy nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Była jego żoną, kpił z niej, wyśmiewał ją, ale w gruncie rzeczy miał dzięki niej święty spokój. Zajęty własnymi podbojami, nie musiał się martwić, co Maddy robi za jego plecami. Przy odrobinie szczęścia okres wymuszonej wierności małżeńskiej powinien niedługo się skończyć, bo Max nie wątpił, że na Jamajce znajdzie kobiety w swoim typie.

Raptem zachmurzył się na wspomnienie przypadkowego spotkania. Był tego popołudnia w Chester i nieoczekiwanie wpadł na Luke'a Crightona. Kuzyn wiedział już o planowanym wyjeździe na Jamajkę i, jak to on, bez żadnych wstępów oznajmił, że bardzo wątpi, czy Maxowi uda się odnaleźć Davida. Jakby tego nie było dość, oznajmił, że Max musi zdawać sobie sprawę, jak nikłe szanse powodzenia ma jego wyjazd. Zarzucił mu, że cynicznie gra na obsesyjnych nadziejach Bena, by zapewnić sobie darmowe wakacje.

- Ciekawe, jakim sposobem udało ci się dostać taki długi urlop? - dociekał Luke z kpiącym uśmiechem na twarzy. - Żaden z adwokatów, których znam, mnie nie wyłączając, nie może sobie pozwolić na taką przerwę w pracy.

- Wszystko zależy od tego, w jakiego rodzaju sprawach człowiek się specjalizuje - odparł Max. - No i od uzyskiwanych honorariów, ma się rozumieć.

- Może wystarczy mieć bogatą żonę - zauważył z przekąsem Luke.

Max udał, że nie usłyszał tej uwagi. On i Luke zawsze rywalizowali ze sobą, nigdy nie darzyli się specjalną sympatią.

- Dziadek chciałby porozmawiać z tobą przed wyjazdem - przypomniała mężowi Maddy, wytrącając go z zamyślenia. Uwielbienie, jakim Ben darzył Davida, wydawało się Maxowi żalotne. On sam nigdy nie dopuściłby do tego, by tak się zaangażować i uzależnić od kogoś.

Miłość wydawała mu się zawsze przecenianym i najbardziej kapryśnym uczuciem. Pomyśleć choćby, jak bardzo gloryfikuje się miłość macierzyńską. Miłość macierzyńska... Jego matka wcale go nie kochała, ojciec zresztą też. Poczęli go po to, żeby zastąpił im ukochanego Harry'ego.

Miał zaledwie kilka lat, kiedy usłyszał, jak dziadek mówi do jego matki:

- Max miał wam niby pomóc zapomnieć o tamtej stracie, a wy ciągle rozpamiętujecie śmierć pierworodnego. Powinniście byli wcześniej postarać się o następne dziecko, zamiast czekać tak długo.

- Nikt nie zastąpi nam Harry'ego - odpowiedziała wówczas Jenny niezwykle, jak na nią, ostrym tonem.

On oczywiście nie zastąpił. Był dla rodziców nikim. Doskonale pamiętał, ile było zamieszania, kiedy urodziły się bliźniaczki, a przecież to były tylko dziewczyny. Matka zapewne straciła wtedy głowę. O niego nigdy tak nie zabiegała.

A Joss...

Potem pojawił się w ich domu Jack. Nie pojmował, jak rodzice mogli się przejmować dzieckiem, który nie był ich rodzonym synem.

Leo i Emma nudzili go, irytowała miłość okazywana przez Jona wnukom, szczególnie małemu Leo. Jego ojciec nigdy tak nie rozpieszczał.

- A co to takiego? - parsknął teraz, widząc, że mały tuli starego, wytartego misia.

- Robisz z niego maminsynka. Czas, żeby chłopak zaczął wyrastać z pieluch - rzucił jeszcze i wyszedł z pokoju.

Maddy drgnęła nerwowo, kiedy Max z impetem zatrzaskał za sobą drzwi. Od kilku miesięcy próbowała namawiać Leo, by rozstał się ze swoimi przytulankami, i zaczęło się jej to udawać.

- Nie powinna się pani martwić - pocieszała ją opiekunka z przedszkola, do którego chodził Leo. - Chłopcy w tym wieku bywają bardziej dziecinni niż dziewczynki. Najlepiej nie zwracać na to uwagi.

- Boję się, że koledzy będą się z niego wyśmiewali - mówiła Maddy.

- Będę uważała, żeby nic podobnego się nie zdarzyło - obiecała wychowawczyni.

- Nie on jeden nie chce się rozstać ze swoją ulubioną zabawką, naprawdę nie powinna się pani martwić.

Leo stawał się jeszcze bardziej dzieciuchowaty, kiedy Max przyjeżdżał do Queensmead, a jego kąśliwe uwagi tylko pogarszały sytuację.

Maddy położyła dzieci spać i zabrała się do pakowania rzeczy męża. Chciała możliwie szybko uporać się z zajęciami i pójść wcześniej do łóżka.

Obecność Maxa wykańczała ją. Nie chodziło nawet o to, że musiała go obsługiwać, znacznie trudniejsza do zniesienia była napięta atmosfera, jaką stwarzał, jego upokarzające uwagi, wieczne docinki, kpiny i złośliwości.

Odetchnę, kiedy Max wreszcie wyjedzie, pomyślała, odstawiając żelazko.



Nie zdążyła jeszcze usnąć po wyczerpującym dniu, kiedy drzwi od sypialni otworzyły się i w progu tonącego w mroku pokoju stanął Max.

Maddy szybko zamknęła powieki. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy Max cicho przemknął do łazienki, a do jej uszu dotarł szum prysznic.

Samolot odlatywał następnego ranka o dziesiątej, co oznaczało, że Max musi wyjechać z domu około siódmej. Zerknęła na budzik. Było już po północy. A więc za siedem godzin. Jeszcze tylko siedem godzin. Przewróciła się na bok, przesuając się równocześnie jak najdalej ku krawędzi szerokiego, małżeńskiego łóża.

W początkach małżeństwa, kiedy Max był zły na nią z jakiegoś powodu, wracał do domu bardzo późno. Maddy zazwyczaj już spała, wyczerpana długim czekaniem na męża, a on budził ją brutalnie i kazał tak ułożyć się w łóżku, by ich ciała przypadkiem nie dotykały się podczas snu.

Stosowała się posłusznie do jego poleceń, a potem długo leżała w ciemnościach, upokorzona, wzgardzona i zapłakana. Nie potrafiła powiedzieć, ile cichych, gorzkich łez wylała w takie noce.

Drzwi łazienki otworzyły się i Max cicho podszedł do łóżka, zgasiwszy wcześniej światło w sypialni.

Maddy słyszała każdy jego ruch, była dojmująco świadoma każdego oddechu, oczami wyobraźni widziała jego nagie, muskularne ciało. Max fizycznie przypominał doskonale zwierzę, miał w sobie wdzięk geparda. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy rozebranego, a nigdy wcześniej nie była w łóżku z mężczyzną, zaparło jej dech w piersiach. Bez słowa, oniemiała z zachwytu, zakochana bez pamięci wpatrywała się wówczas w to szczupłe ciało, zatrwożona jego niezwykłą urodą.

- Maddy, wiem, że nie śpisz.

Zesztywniała, kiedy Max położył dłoń na jej ramieniu. Czuła na włosach jego oddech.

Leżała odwrócona plecami do niego. Od trzech miesięcy nie spali ze sobą. Prawdę powiedziawszy, mogłaby na palcach jednej ręki policzyć, ile razy uprawiali seks od chwili narodzin Emmy. Pomyślała z goryczą, że to znaczące, iż używa określenia „uprawiać seks”, zamiast „kochać się”. Tak, nigdy nie kochała się z Maxem, chociaż kiedyś wydawało się jej, głupiej, że mąż ją kocha.

Zaczął przesuwać dłoń po jej ramieniu, karku. Mimo upokorzeń, których zaznała od męża, jej ciało zawsze reagowało na jego dotyk i ta gotowość była dla Maddy kolejnym upokorzeniem, większym chyba niż wszystkie inne.

Max ugryzł ją delikatnie i szepnął do ucha ze zwykłą sobie ironią:

- Nie chcesz mnie?

„Nie chcę”. Jak bardzo pragnęła wykrzyzczyć te słowa na całe gardło. Ona, taka łagodna, spokojliwa, potulna, posłuszna Maddy. Wiedziała, że nigdy nie zdobędzie się na to. Mogłaby swoim krzykiem obudzić dzieci, to po pierwsze, po drugie zaś...

Drżała na całym ciele, kiedy położył dłoń na jej piersi i zaczął całować w szyję. Wygięła się ruchem pełnym pożądania. Zawsze tak było, ilekroć mąż zbliżał się do niej, jak zawsze potrafił obudzić w niej pragnienie, nad którym nie była w stanie panować, tak jakby rzucał na nią czar i całkowicie poddawał własnej woli.

Max uśmiechnął się do siebie. Powtarzał Maddy w nieskończoność, że nie ma w niej nic pociągającego, że woli inne, bardziej doświadczone kobiety, które potrafią cieszyć się seksem, ale prawda wyglądała trochę inaczej. Nieudane próby żony, by oprzeć się ogarniającemu ją pożądaniu i zapanować nad zmysłami, były dla niego niezwykle podniecające.

Maddy, choć próbowała się opierać pieścizotom, była bardzo zmysłowa. Czasami wystarczyła chwila, kilka zdecydowanych gestów, bardziej intymne dotknięcie językiem clitoris, by osiągnęła orgazm.

Max wiedział o tym doskonale, ale nie zamierzał dawać jej tej rozkoszy. Ciało Maddy zmieniło się od czasu, kiedy Max zobaczył ją po raz pierwszy. Zajmowanie się dziećmi, opieka nad Benem, liczne obowiązki w domu i ogrodzie sprawiły, że nie była już tak pulchna jak kiedyś. Wąska talia, mały, lekko zaokrąglony brzuch. Max czuł, jak żona drży pod jego dłońmi, i uśmiechał się do siebie w ciemnościach.

Maddy tymczasem zamknęła oczy i biernie poddawała się pieścizotom. Wiedziała, że jakikolwiek opór czy protest nie mają sensu, przedłużałyby tylko mękę. Wkrótce będzie po wszystkim, powtarzała sobie w duchu. Jeśli tylko postara się skoncentrować, to może tym razem...

Poczekala, aż mąż zaśnie, po czym niemal wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Max jednak nie spał. Leżał z otwartymi oczami i ze zwykłym dla siebie okrucieństwem wyobrażał sobie, jak zalana łzami Maddy usiłuje rozładować w samotności podniecenie, które on w niej wzbudził, nie doprowadzając do spełnienia.

Kiedy opadła ostatnia fala orgazmu, Maddy otrząsnęła się ze wstrętem wobec samej siebie. Serce biło jej przyspieszonym rytmem, czuła suchość w ustach. Nie mogła uwierzyć, że była kiedyś tak głupia, by wierzyć, że Max ją kocha.

- Dlaczego? Coś ty ze mną zrobił? Jak mogłeś? - szeptała przez łzy, kiedy przed laty powiedział, żeby zapomniała o miłości.

- Zamknąłem oczy i pomyślałem o twoim majątku - odparł z kpiną w głosie.

- Ale... przecież... pragnąłeś mnie - wykrztusiła nieporadnie i oblała się rumieńcem, zawstydzona własną otwartością.

- Nie, nigdy cię nie pragnąłem, moja droga - powiedział brutalnie. - Jestem dobrym aktorem. Udawałem, że mi na tobie zależy. Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek godny tego miana mężczyzna mógł cię pragnąć. To niemożliwe - dodał z sadystycznym uśmiechem.

Maddy z wyrazu jego twarzy mogła wywnioskować, że Max naprawdę tak myśli. Była tak wstrząśnięta, że robiło się jej niedobrze na wspomnienie wspólnie spędzonych nocy, intymnych chwil dzielonych we dwoje, pieścizot Maxa, jego szeptów i zaklęć.

Ich seks na początku wyglądał zupełnie inaczej niż teraz, myślała Maddy ze smutkiem, wślizgując się do łóżka.

Pomimo orgazmu sztywne sutki bolały ją nadal. Nie pojmowała, że Max ciągle miał nad nią tak ogromną władzę, i wolała nie analizować swoich reakcji ani zastanawiać się, jak one świadczyły o niej jako kobiecie. Nigdy nie czuła zbyt dużego pociągu do seksu, a jeśli miała wierzyć Maxowi, nigdy nie była dla niego satysfakcjonującą partnerką. Nie kochała go już, tego była pewna, właściwie tak naprawdę nigdy chyba go nie kochała. Zresztą czy ktokolwiek mógłby pokochać takiego człowieka jak on? Nie, kiedyś, na początku znajomości zakochała się w wizerunku, który Max sprokurował na jej użytek. Dlaczego zatem nadal tak silnie reagowała na jego bliskość?

Max, odprężony, zaspokojony, powoli zapadał w sen. Uprawianie seksu z Maddy miało ten plus, że nie musiał używać prezerwatyw. W każdej innej sytuacji bardzo dbał, by zabezpieczyć się przed chorobami przekazywanymi przy zbliżeniu.

- Długo byłaś w łazience - odezwał się sennym głosem, nie mogąc odmówić sobie przyjemności kolejnego upokorzenia Maddy. - Co tam robiłaś tyle czasu?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął zgryźliwym tonem:

- Moja matka zwariowała, jeśli uważa, że będziesz potrafiła zastąpić Ruth. Jesteś pewna, że nie przesłyszałaś się, Maddy? Może prosiła, żebyś posprzątała w biurze fundacji, a ty zrozumiałaś, że masz je prowadzić? Uprać, upiec, pozamiatać, oto do czego się nadajesz.

Maddy leżała w ciemnościach, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Podjęła już decyzję. Następnego dnia rano zadzwoni do Jenny i powie jej, że przemyślała propozycję i jest gotowa przejąć obowiązki Ruth.

Przestraszona własną odwagą długo jeszcze nie mogła usnąć. Musiała oszaleć,

na pewno nie da sobie rady. Ale teściowa zapewniała ją przecie, że jest idealną kandydatką. Być może jednak Jenny mówiła tak z litości... Powieki powoli opadły i Maddy pogrążyła się we śnie.

Kilkanaście kilometrów dalej, w domu Jenny i Jona ktoś też miał kłopoty z zaśnięciem.

Jack nerwowym ruchem wsunął dłoń pod poduszkę i dotknął schowanego tam paszportu. Pod spodem leżał bilet lotniczy kupiony za pieniądze, które wycofał ze swojej książeczki mieszkaniowej, i gotówka.

Od nic nie podejrzewającej Maddy wy dobył podstępem nazwę hotelu, gdzie zamierzał zatrzymać się Max. Bardzo lubił tę spokojną, łagodną kuzynkę i miał wyrzuty sumienia, że tak niecnie ją podszedł. Maddy, w przeciwieństwie do Maxa, okazywała mu wiele serdeczności.

Dobrze, że samolot odlatywał wcześniej rano, myślał Jack niespokojnie. Będzie mógł wymknąć się z domu przez nikogo niezauważony. Kiedy domownicy się obudzą, pomyślą, że wyszedł wcześniej do szkoły.

Rower zostawi na lotnisku. Potem ktoś z rodziny go odbierze. Opłata za wielodniowe parkowanie będzie na pewno bardzo wysoka, ale kiedy sprawa się wyda, będzie miał znacznie poważniejsze grzechy na sumieniu niż pozostawienie roweru, żeby przejmować się kilkunastoma czy kilkudziesięcioma funtami.

Zacisnął mocniej powieki, bo czuł, jak łzy napływają mu do oczu na wspomnienie wyrazu twarzy Jona podczas ostatniego sylwestra, którego całą rodziną świętowali w domu przy kolacji przygotowanej przez ciotkę Jenny.

Miał wielką ochotę powiedzieć wtedy, co zamierza, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. Wiedział, że musi lecieć na Jamajkę i że nic i nikt go przed tym nie powstrzyma.

Tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć na pytania, które dręczyły go od dłuższego czasu, i tą osobą był jego ojciec. Gdyby stryj Jon naprawdę go kochał, zrozumiałby, a on tymczasem... powtarzał sobie żałośnie Jack, czując wzbierający w nim gniew i żal.

Stryj powinien się domyślać, jakie ważne dla Jacka było odnalezienie ojca. Musiał zobaczyć się z nim, porozmawiać, zapytać, ale Jon kiwał tylko z rezygnacją głową i powątpiewał, czy kiedykolwiek natrafią na ślad Davida.

- Jeśli David sam nie zechce odezwać się do nas, żadne poszukiwania nic nie dadzą - tłumaczył łagodnie chłopcu.

- Inaczej mówiąc, twierdzisz, że ojciec nie zamierza wrócić do domu? - napierał

Jack z gniewem.

- Tak podejrzewam - przyznał Jon. - Moje poszukiwania skończyły się fiaskiem.

Stryj kłamał. Oto Max, syn Jona, postanowił polecieć na Jamajkę i wcale nie krył, że zamierza powrócić z Davidem. Stryj przez cały czas musiał wiedzieć, gdzie jest ojciec. Jack czuł pod powiekami piekące łzy. Plastikowa okładka paszportu lepiała się do spoconych palców.

Musi lecieć. Wszystko sobie zaplanował. Max leciał pierwszą klasą, on turystyczną. Na więcej nie starczyło, mimo że podjął prawie wszystkie pieniądze ze swojego konta. Kuzyn zauważył go dopiero, kiedy wylądował na Jamajce. A jak już tam będą... Jack poczuł niemiły ucisk w żołądku. Bał się, ale nie zamierzał wycofywać się w ostatniej chwili.

Ojciec... Co teraz porabia? Czy w ogóle myśli o swoim synu? Strach zamienił się w gniew, ten sam bezradny gniew, który nie opuszczał go od kilku miesięcy. Joss nie miał pojęcia, jaki jest szczęśliwy i jak bardzo Jack zazdrościł mu tego szczęścia. Zerknął na sąsiednie łóżko, gdzie spał kuzyn. Chłopcy nadal mieszkali razem, chociaż od kiedy Louise i Kate nie mieszkały w domu rodzinnym, każdy z nich mógł mieć oddzielny pokój.

Jack wiedział, jak bardzo Joss będzie czuł się zawiedziony i dotknięty, że wyjazd odbył się bez jego wiedzy. Czy stryj zechce przyjąć go z powrotem po tym, co zamierzał zrobić? Wybacz mu, zrozumie, czy też uzna, że Jack jest taki sam jak jego ojciec, skłonny do matactw i oszustw, więc nie zasługuje na zaufanie ani na dopuszczenie, jak to wcześniej planował, do współpracy w rodzinnej firmie?

Jack chciał iść w ślady stryja, ale najpierw musiał się upewnić, czy na to zasługuje, czy nie jest obciążony tymi samymi wadami co jego ojciec.

Wziął na siebie ogromne zadanie i czuł, że zaczyna się uginać pod jego brzemieniem. Mógł się jeszcze rozmyślić. Jeszcze miał czas, nikt o niczym nie wiedział. Nie, nie wolno mu się wycofać, nie mógłby żyć dalej, nie wiedząc... nie upewniwszy się wcześniej. Zacisnął powieki, żeby powstrzymać palące łzy. Nie wolno mu płakać, płaczą tylko dzieci, a on nie jest już dzieckiem. Za półtora roku skończy osiemnaście lat, formalnie będzie dojrzałym człowiekiem.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzieci były w przedszkolu, Ben zamknął się w bibliotece, by przeczytać swojego „Timesa” i przejrzeć korespondencję, wysprzątana kuchnia lśniła czystością, a Max zmierzał już zapewne ku Karaibom. Nic już nie powstrzymywało Maddy, mogła podnieść słuchawkę telefonu i zawiadomić Jenny, że zdecydowała się przejąć obowiązki Ruth w fundacji. Tak, nic jej nie powstrzymywało, żadne wymówki, żadne tłumaczenia. Przyrzekła sobie przecież w nocy, że zadzwoni. Zdecydowała się.

Ostatniej nocy czuła wstręt do siebie, że uległa Maxowi, że pożądała go wbrew wszystkiemu. Co stało się z jej dumą, z godnością, szacunkiem dla siebie? Wiedziała, że jeśli nie chce do końca stracić twarzy, musi znaleźć jakieś wyjście, ratować się przed całkowitą destrukcją, którą sprowadzał na nią Max.

Dwójka dzieci, stary człowiek i jeszcze starszy dom dawały jej zajęcie, ale nie pozwalały zapomnieć o cierpieniu, jakiego przysparzało małżeństwo. Oferowana przez Jenny praca dałaby jej szansę oderwania się od ponurej rzeczywistości.

- Zawsze byłaś bardzo dobra w prowadzeniu rachunków - przekonywała teściowa i rzeczywiście miała rację, Maddy odznaczała się ścisłym umysłem, myślała w sposób uporządkowany. Była racjonalistką, osobą, która potrafiła przekształcić chaos w ład. Jednak dręczyły ją obawy, czy nie bierze na siebie zbyt dużej odpowiedzialności, czy podoła nowym obowiązkom. A jeśli się ośmieszy, skompromituje na oczach wszystkich i ze wstydem będzie musiała przyznać, że się przeliczyła?

Czy jednak mogło ją czekać większe upokorzenie niż zdrady Maxa, które na pewno nie były tajemnicą dla rodziny? Nikt oczywiście nie wspominał o tym ani słowem. Tullah i Olivia nie dały jej nigdy odczuć, co sądzą o Maksie, a spotykały się przynajmniej raz w tygodniu i jako młode matki łączyło je znacznie więcej niż relacje rodzinne przez małżeństwa. Rozmawiały o dzieciach, o domowych kłopotach, a kiedy rozmowa mimo woli schodziła na mężów, Tullah i Olivia wymieniały szybkie, porozumiewawcze spojrzenia i taktownie zmieniały temat, by porównanie stosunków panujących w poszczególnych domach nie wprowadziło Maddy w zakłopotanie.

Było wszak oczywiste, że małżeństwa obydwu kobiet różnią się od małżeństwa Maddy jak dzień od nocy. Saul, mąż Tullah, świata nie widział poza ukochaną żoną, a i Caspar, amerykański mąż Olivii, był nie mniej oddany swojej połowicy.

Maddy lubiła się spotykać ze swoimi „dziewczynami”, jak je nazywała, bo były serdeczne, przyjacielskie, ale nie potrafiła się im zwierzyć. Tak bardzo pragnęła móc wreszcie wyzalić się komuś, opowiedzieć otwarcie o swoim nieudanym małżeństwie, o rozpacz i uczuciowej pustce, w jakiej żyła, o poczuciu winy wobec dzieci i lęku o to, jak się na nich może odbić związek rodziców, o złożonych, niszczących emocjach, których na co dzień doznawała.

Szybkim ruchem podniosła słuchawkę telefonu.

Jenny odebrała po czwartym sygnale.

- To ja, Maddy. - Wzięła głęboki oddech. - Jeśli mówiłaś serio o tej pracy w fundacji, to ja jestem... mogłabym... spróbować.

Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się radosny okrzyk:

- Naprawdę się zdecydowałaś? Och, Maddy, to wspaniale!

Słyszając w głosie Jenny autentyczną radość i ulgę, Maddy od razu poczuła się raźniej, jakby ktoś dodał jej skrzydeł. Tak dawno nie zaznała niczego podobnego, że zapomniała, jakie to doznanie.

Umówiła się z teściową, że pójdą razem obejrzeć nowy, trzeci już blok z tanimi mieszkaniami dla samotnych matek, a potem przeprowadzą rozmowę z wykonawcą robót budowlanych, i odłożyła słuchawkę. Drżąc z podniecenia, opadła na krzesło. Była uszczęśliwiona, dumna i tak ciekawa, co przyniosą najbliższe dni, że kręciło się jej w głowie. Zrobiła to, zdecydowała się podjąć pracę. Teraz już nie mogła się wycofać.

Musiła wszystko starannie zaplanować, przygotować się na podjęcie wyzwania. Tullah kilkakrotnie proponowała, że może od czasu do czasu zająć się dziećmi. Nie czekając, sięgnęła ponownie po słuchawkę telefonu.

- Coś podobnego! Maddy, to wspaniale! - zawołała z entuzjazmem żona Saula, kiedy Maddy powiedziała jej o swoich zamiarach, prosząc, by zechciała zaopiekować się przez kilka godzin Leo i Emmą.

- Z wykonawcą robót budowlanych jesteśmy umówione na czwartą. Jenny mówi, że to może potrwać do szóstej, co oznacza, że moje maluchy podwieczorek będą musiały zjeść u ciebie.

- To żaden problem. Ty wiele razy mi pomagałaś w podobnych sytuacjach - odparła Tullah bez wahania. - Słuchaj, jak odbierzesz dzieci z przedszkola, przyjedź prosto do mnie. Zjemy razem lunch, potem zdążysz jeszcze wpaść do domu i przebrać się przed spotkaniem z Jenny.

- Nie jestem pewna, czy dam sobie radę - wyznała Maddy, popijając herbatę w kuchni Tullah.

- Oczywiście, że dasz sobie radę. Gdyby miało być inaczej, Jenny nie zaproponowałaby ci tej pracy. Tyle tylko, że... - Tullah przechyliła lekko głowę i otaksowała Maddy baczным spojrzeniem. - Z doświadczenia wiem, że nowa praca często wymaga zmiany wizerunku.

- Zmiany wizerunku? - powtórzyła Maddy niepewnym głosem. - Nie sądzę, żeby...

- Zaufaj mi, jestem kobietą pracującą - przypomniała jej Tullah z uśmiechem. - Ja wiem.

Maddy nie śmiała dyskutować z Tullah. Zanim wyszła za Saula, robiła błyskotliwą karierę zawodową, więc chyba rzeczywiście wiedziała, co mówi.

- Wiesz, ja chyba nie jestem... to znaczy, chciałam powiedzieć... - bąkała Maddy, myśląc o swoich włosach, których nigdy nie potrafiła uczesać, o figurze, do której zdawały się nie pasować kostiumy noszone przez energiczne bizneswoman.

- Zostaw wszystko mnie - oznajmiła Tullah stanowczo i dodała, ku jeszcze większej konsternacji Maddy: - Od dawna marzyłam, żeby się wreszcie zabrać za ciebie.

Ledwie Maddy wyszła, Tullah zadzwoniła do Olivii, żeby podzielić się z nią najnowszą wiadomością.

- Teraz, kiedy Jenny udało się przekonać Maddy, żeby zaczęła pracować, mamy idealną okazję, żeby pokazać jej, jak może wyglądać. Odpowiednia fryzura, dobre ciuchy...

- Nie wystarczy nowa fryzura i kilka nowych fatalasek, żeby przywrócić jej poczucie własnej wartości, Tullah - uprzytomniła przyjaciółce Olivia.

- Tak, wiem - zgodziła się Tullah. - Ale odrobina pewności siebie, przekonanie, że może się podobać ludziom, a obydwie wiemy, że może, potrafią wiele zdziałać. Jeśli Maddy zaufa sobie, rana zacznie się goić.

Olivia westchnęła smutno.

- Oby tak było, jak mówisz. Życzę Maddy jak najlepiej i chciałabym, żeby wreszcie się ocknęła.

- Zobaczysz - zapewniła z przekonaniem Tullah.

- No dobrze, ale powiedz mi, co dokładnie zamierzasz?

- Jeśli zgodzisz się zająć dziećmi Maddy i moją czwórka, mogłabym zabrać ją do fryzjera i po zakupy.

- Jasne, nie ma problemu - mruknęła Olivia.



Zawsze wzruszało ją, że Tullah mówiła o trójce dzieci Saula z pierwszego małżeństwa i ich wspólnym maleństwie „moja czwórka”. Chyba żadne inne dzieci nie miały równie oddanej i kochającej macochy. Olivia czuła wyjątkową słabość do Saula i cieszyła się z całego serca, że znalazł w jej przyjaciółce tak wspaniałą żonę.

- Nie będzie ci łatwo namówić Maddy na całodzienne buszowanie po sklepach w Chester - ostrzegła Olivia.

- Nie zamierzam wcale jechać do Chester - oznajmiła Tullah z podejrzaną słodyczą w głosie.

Olivia niepewnie uniosła brwi. Haslewich było uroczym miasteczkiem, ale trudno było w tutejszych sklepikach znaleźć efektowne ciuchy, o jakich myślała Tullah. Nagle zrozumiała.

- Jeśli chcesz zabrać ją do Manchesteru... - zaczęła.

- Żadnego Manchesteru, do Londynu - powiedziała Tullah i zaczęła się śmiać, słysząc zdławiony okrzyk przyjaciółki. - Przenocujemy w mieszkaniu Maxa. I to nie jedną noc, a kilka. Żeby wszystko załatwić, będziemy potrzebowały kilku dni, a trzeba będzie też zajrzeć do któregoś z dużych magazynów z zabawkami, kupić coś dzieciakom.

- Maddy nigdy się nie zgodzi - powątpiewała Olivia, oszołomiona rozmachem planów Tullah.

- Maddy się zgodzi. Już ja i Jenny ją przekonamy. Pamiętasz, jak twierdziłaś, że za nic nie przyjmie pracy w fundacji?

- Uhm - mruknęła Olivia.

- Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi Max, kiedy wróci z Jamajki i zobaczy swoją żonę.

- To nie ma znaczenia, do jakiego stopnia odmienisz wygląd Maddy - mówiła Olivia. - Tego, co w środku, nie uda ci się zmienić, a to odnosi się zarówno do Maxa, jak i do Maddy. Max jest szczęśliwy, zadając ból ludziom. Tego tak łatwo nie zmienisz, tak jak nie zmienisz rezygnacji, z jaką Maddy poddaje się wymyślanym przez niego torturom, choćbyś zaprowadziła ją do najlepszego fryzjera w Londynie i zapełniła całą szafę najmodniejszymi ciuchami.

Jack wysiadł z taksówki przed hotelem i zmrużył oczy w promieniach ostrego karaibskiego słońca. Specjalnie zwlekał na lotnisku, jako ostatni zabrał swoje bagaże z taśmy, rozglądając się niespokojnie, czy nie dojrzy gdzieś Maxa, ale Max, jako pasażer pierwszej klasy, opuścił terminal znacznie wcześniej niż jego młody kuzyn.

Po chłodnym klimacie angielskiej zimy żar Karaibów wydawał się wręcz

obezwładniający, ale Jack, stojąc przed luksusowym hotelem, w którym Max wynajął pokój, pocił się nie tylko z powodu upału.

Wszystko starannie zaplanował. Zabezpieczył się. Wielokrotnie powtarzał w myślach scenę, która za chwilę miała się rozegrać, i teraz był pewien, że ma gotową odpowiedź na każdy argument, który Max mógłby wytoczyć w rozmowie. Na wszelki wypadek Jack sięgnął do kieszeni, wyjął paszport, wziął głęboki oddech, wyrwał wszystkie kartki, po czym rozerwał okładkę w miejscu zgięcia i wsunął strzępy zniszczonego bezpowrotnie dokumentu z powrotem do kieszeni. Teraz Max, choćby chciał, nie mógł już odesłać go do domu.

Jack nabrał powietrza w płuca i ruszył w stronę hotelu. Był zdumiony, że Max zatrzymał się nie w samym Kingston, jak przypuszczał, ale w położonym za miastem luksusowym kompleksie wypoczynkowym, do którego można było się dostać wyłącznie samochodem i który stał na zamkniętym terenie, strzeżonym przez uzbrojonych ochroniarzy w nieskazitelnych uniformach.

Na bramie i przed wejściem do głównego budynku widniały tabliczki ostrzegające gości, żeby wychodzili poza teren hotelowy tylko w grupie i nie mieli przy sobie nic, co przedstawiałoby większą wartość materialną.

Na obszarze należącym do hotelu ostrzeżenie, oczywiście, nie obowiązywało. Panował tu komfortowy spokój, jakiego mogą zażywać tylko ludzie bogaci. Jacka na pewno nie było stać, by się tutaj zatrzymać, ale dlaczego Max wybrał takie otoczenie? Skoro rzeczywiście zamierzał szukać Davida, wygodniej byłoby mu zamieszkać w centrum Kingston. Jack z niejakim ociąganiem wszedł do holu.

Max wyszedł właśnie spod prysznic, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę, zerkając równocześnie na swoje nagie odbicie w lustrze. Dzwonił recepcjonista z informacją, że na dole czeka ktoś, kto chciałby się widzieć z panem Crightonem. Max podziękował z rozbawioną miną.

Nie spodziewał się, że piękna ruda stewardesa, której wsunął w dłoń hotelowy numer telefonu, wysiadając z samolotu, tak szybko się odezwie.

Nie miał jej tego wcale za złe. Dziewczyna zdążyła mu powiedzieć, że zostaje dwa dni na wyspie przed powrotem do domu. Przez ten czas, jak już się zorientował, wypełniając kartę pobytu w recepcji, bez trudu powinien znaleźć odpowiednią zastępczynię na jej miejsce.

Nie oznaczało to, że cały pobyt na Jamajce zamierzał poświęcić na poszukiwanie przygód. Słyszał, że wokół Kingston są dobre pola golfowe.

Chciał wrócić do domu w dobrej formie. Luke ciągle był od niego lepszy w grze.

Zarozumiały głupiec. Byłoby miło zaprosić go na partyjkę i wreszcie pobić na głowę, bo dotychczas to Max dostawał srogie cięgi.

A jeśli chodzi o poszukiwanie Davida... Odrzucił ręcznik i sięgnął po świeże ubranie. Przed wyjazdem z Anglii zaopatrzył się w adresy kilku prywatnych agencji detektywistycznych w Kingston. Zatrudni którąś z nich, sam zaś wykona kilka telefonów do dziadka, opowie mu o paru możliwych tropach, co powinno uspokoić staruszkę, a w końcu wróci do Queensmead z pustymi rękoma, bez żadnych konkretnych informacji na temat stryja.

Wzruszył ramionami. Ben powinien wreszcie zrozumieć, że David nie pojawi się w domu, dopóki sam nie będzie miał na to ochoty.

Max zapiął białe spodnie i ponownie zerknął w lustro, oceniając z zadowoleniem swoje odbicie. Wyglądał jak uosobienie kobiecych marzeń o mężczyźnie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Z pełnym satysfakcji uśmiechem wyszedł z pokoju.

Jackowi serce podeszło do gardła na widok wysiadającego z windy Maxa. Kuzyn jeszcze go nie dostrzegł.

- Cześć, Max.

- Jack? Co ty, do diabła, tutaj robisz?

Widząc wściekłość w oczach Maxa, Jack zwilżył wyschnięte wargi, poczuł, że robi mu się niedobrze, a żołądek podjeżdża do góry, jakby ciągle jeszcze siedział w samolocie.

- Przyleciałem, żeby pomóc ci szukać mojego ojca. Mam do tego prawo - oznajmił drżącym głosem.

- Prawo? Co ty mi tu za bzdury opowiadasz, mały?

Max zacisnął dłoń na ramieniu chłopca i potrząsnął nim mocno.

- Nie wiem, jaki czort cię tu przygnał, ale...

- Powiedziałem ci, przyleciałem, żeby odnaleźć swojego ojca.

- Twój ojciec! Twój ojciec wcale nie chce być odnaleziony, nie zamierza się odnaleźć. Twój ojciec, smarkaczu...

Palce Maxa wpijały się boleśnie w ciało Jacka.

Cholera, tego tylko brakowało. Nie może przecież dopuścić, żeby ten głupi szczeniak pokrzyżował mu wszystkie plany swoją obecnością.

- Daj mi swój paszport, Jack - zażądał ostro. - Nie zostaniesz tutaj. Wsadzę cię do pierwszego samolotu i odeślę do domu, a potem zadzwonię do dziadka.

- Nie możesz. Ja nie mam... Zgubiłem swój paszport - wykrztusił Jack i zadrżał

na widok miny Maxa,

- Co zrobiłeś? - zapytał Max, powoli cedząc słowa. - Kłamiesz, smarkaczu - ciągnął cicho tonem, w którym pobrzmiwała groźba. - Mam nadzieję, że kłamiesz, bo jeśli nie, to... Wiesz, jak traktują tutaj takich nielegalnych turystów?

- Ja wjechałem tutaj legalnie. Miałem paszport, ale teraz już go nie mam. - Przełykając z trudem ślinę, Jack odważył się w końcu spojrzeć Maxowi prosto w oczy.

Max był w końcu tylko kuzynem. To wszystko. Nie miał nad nim żadnej władzy. Przyleciał na Jamajkę, żeby odnaleźć jego ojca, nie swojego. Jack miał większe prawo tu być niż ten złośliwy arogant. Znacznie większe prawo.

- Myślę, że powinniśmy dokończyć tę rozmowę na osobności - oznajmił Max chłodno. - Chodź ze mną. Jeśli mówisz prawdę i rzeczywiście nie masz paszportu, to nawarzyłeś sobie niezłego piwa - ciągnął. - Nie chcę cię straszyć, ale jak nic trafisz do więzienia. Znajdziesz się za kratkami, kiedy tylko policja usłyszy, że podróżujesz bez dokumentów, a sam chyba rozumiesz, że będę musiał złożyć doniesienie.

- Konsul brytyjski... - zaczął Jack, siłąc się na odwagę, choć drżał ze strachu.

Było gorzej, niż przypuszczał. Spodziewał się, że Max wpadnie na jego widok w furie i będzie próbował odesłać go do domu, ale nie przyszło mu do głowy, że może go straszyć więzieniem. Na myśl o perspektywie aresztowania ogarnęła go panika, wszystkie starannie przygotowane argumenty uleciały nagle z pamięci. Mimo że w hotelu działała klimatyzacja, pocił się jak mysz, zbierało mu się na wymioty, czuł zawroty głowy, w każdej chwili gotów był się rozplakać.

- Konsul brytyjski palcem nie kiwnie. Co go obchodzi jakiś głupi szczeniak? Nie, konsul ci nie pomoże, a ty wylądujesz w więzieniu.

- Pozwolą mi zadzwonić do domu z ambasady, będę mógł porozmawiać ze stryjem Jonem.

Jack widział po minie Maxa, że ostatni argument zadziałał, dając mu kilka punktów. Zdziwił się, że Max może bać się własnego ojca, człowieka najłagodniejszego i najlepszego na świecie, ale postanowił wykorzystać chwilową przewagę.

- Pozwolą mi z nim porozmawiać i...

Tak, na pewno pozwolą smarkaczowi zadzwonić do domu, a Jon gotów wsiąść do pierwszego samolotu i przylecieć na Jamajkę, by osobiście zająć się bratankiem.

Ojciec nie był idiotą. Natychmiast się zorientuje, że Max nie ma najmniejszego zamiaru szukać Davida. Maxa zdanie Jona niewiele obchodziło, mógł sobie myśleć

co chce, natomiast to, co mógł zrobić, nie było mu już całkiem obojętne. Mógł wrócić do domu i wyjaśnić Benowi, że wnuk urządził sobie na jego koszt darmowe wakacje, a wtedy koniec tropikalnych przyjemności, a być może nawet dobrych układów z dziadkiem.

Nie, Max nie mógł dopuścić, by Jon zjawił się w Kingston, ale nie chciał też, żeby uprzykrzony szczeniak plątał mu się pod nogami. Było oczywiste, że Jack nie zamieszka w tym samym, co Max, hotelu, ale nie mógł też odlecieć do domu, dopóki nie dostanie tymczasowego dokumentu podróży.

- Chodź ze mną - polecił młodemu kuzynowi, kierując się w stronę windy.

Sam będzie musiał zadzwonić do domu, powie ojcu, co się stało, zapewni, że Jack jest pod jego opieką, poprosi, by Jon przysłał pieniądze dla smarkacza, a potem znajdzie jakiś tani pensjonat, gdzie go umieści do chwili, gdy będzie mógł wsadzić kuzyna do samolotu powrotnego.

Klnąc w duchu, wepchnął chłopca do windy z taką siłą, że Jack boleśnie uderzył ramieniem w metalowe drzwi.

Był już późny wieczór, kiedy Jenny weszła do kuchni. Wróciła do domu znacznie później, niż zamierzała, ale spotkanie z wykonawcą robót budowlanych, który przekształcał otrzymany niedawno przez fundację budynek w blok z mieszkaniami dla samotnych matek, było tak udane, a Jenny tak dumna z Maddy i jej pierwszych kroków w pracy, że zaprosiła synową do popularnej, zacisznej knajpki, gdzie nad filiżanką cappuccino i kanapką mogły jeszcze chwilę porozmawiać o popołudniowym spotkaniu.

- Widzisz, natychmiast wyłapałaś błąd w kosztorysie instalacji wodno-kanalizacyjnej - chwaliła Jenny synową. - Naprawdę będziesz dla nas nieocenionym skarbem, Maddy. Musisz jak najszybciej poznać naszego księgowego. Umówię was na jutro.

Fundacja, zarządzana przez Ruth i Jenny, początkowo nie miała własnego pomieszczenia, z czasem jednak rozrosła się na tyle, że trzeba było otworzyć biuro w miasteczku. Mieściło się ono w tej samej kamienicy, w której znajdowała się kancelaria Jona.

- A właśnie, kto prowadzi księgowość? - zainteresowała się Maddy.

- Firma rachunkowa Griffa Owena z Chester. Luke nam go polecił, to jego stary przyjaciel jeszcze z czasów szkolnych.

- Griff Owen? Sądząc z imienia, zapewne Walijczyk - domyśliła się Maddy.

- Tak - przytaknęła Jenny i dodała: - Zadzwonię do niego i umówię spotkanie na

jutro. Kiedy byłoby ci najwygodniej?

- Wolałabym poczekać z tym do czasu, aż rozeznam się trochę lepiej w sytuacji finansowej fundacji - poprosiła Maddy.

Rozstały się pół godziny później. Maddy pojechała do Tullah odebrać Emmę i Leo, Jenny wróciła do domu przygotować kolację dla rodziny.

- Przepraszam, że wracam tak późno - zwróciła się do Jona, wchodząc do kuchni. - Gdzie chłopcy?

- Joss wziął rower i pojechał zobaczyć się z Casparem. Miał jakąś sprawę do niego. Powiedział, żebyśmy nie czekali na niego z kolacją.

- Maddy była dzisiaj wspaniała. Zaczynam dostrzegać w niej zupełnie nowe, nieznane cechy, chociaż już ze sposobu, w jaki potrafiła zjednać sobie dziadka, widać było, jakim jest człowiekiem, a poza tym...

Jenny przerwała, widząc napięty wyraz twarzy męża.

- Coś się stało, Jon? O co chodzi? - zapytała z nagłą troską w głosie.

- Przed chwilą dzwonił Max.

- Max, po co?

- Jest z nim Jack.

Jenny patrzyła na Jona w osłupieniu.

- Jak to, Jack? To niemożliwe. Max poleciał przecież rano na Jamajkę.

- Jack również.

- Chwileczkę. Jakim cudem? Rozmawiałeś z nim?

- Tak - przytaknął Jon z ciężkim westchnieniem. - Okazuje się, że nasz bratanek zlikwidował swoją książeczkę mieszkaniową, żeby mieć pieniądze na bilet, no i...

- Postanowił szukać razem z Maxem Davida - dokończyła Jenny.

- Uważa, że jeśli ktoś ma prawo do poszukiwań, to właśnie on - dodał Jon.

- Jest w końcu synem Davida - zgodziła się Jenny. - Ale dlaczego robi to za naszymi plecami? Co Max zamierza zrobić? Odeśle go pierwszym samolotem?

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Po pierwsze, Jack zgubił albo zniszczył swój paszport i nie może się ruszyć z Jamajki, dopóki nie wyrobiją mu tymczasowych dokumentów. Po drugie... - Jon odwrócił głowę, w jego głosie słychać było jeszcze większe niż przed chwilą strapienie. - Jack upiera się, że nie wróci, dopóki Max zostanie na wyspie.

- To przecież kompletny absurd - obruszyła się Jenny. - Co ze szkołą? Jon, musisz go jakoś skłonić, żeby wrócił do domu.

- Nie mogę.

- Chłopak nie ma jeszcze osiemnastu lat, jest niepełnoletni.

- Owszem, jest niepełnoletni, ale ja formalnie nie mam żadnych praw opiekuńczych. Tiggy i David nadal pozostają jego rodzicami. Tiggy i jej drugi mąż są właśnie na wakacjach w Australii, a David, jak wiadomo, jest nieosiągalny. Szczerze mówiąc, nie chciałbym wywierać na Jacka zbyt wielkiego nacisku. Jamajka nie jest najbezpieczniejszym miejscem. Jeśli chłopak coś wbije sobie do głowy...

- Gotów zniknąć i zacząć poszukiwania na własną rękę. - Jenny poczuła bolesny ucisk w gardle.

Jack wprawdzie nie był jej dzieckiem, ale kochała go jak rodzzonego syna i myśl o tym, że miałby tułać się po świecie, zdany tylko na własne siły, wystawiony na nie wiadomo jakie niebezpieczeństwa, bezradny i bezbronny, napełniała ją przerażeniem.

- Wiem - westchnął Jon i odgadując nastrój żony, pogłaskał ją pocieszającym gestem po policzku.

- Co będzie, Jon? Co postanowiłeś?

- Dopóki konsulat nie wystawi paszportu, Max chce umieścić Jacka w jakimś tanim pensjonacie w Kingston, ale mnie się ten pomysł nie podoba. Rozmawiałem z kierownikiem recepcji, który powiedział mi, że Max ma pokój z podwójnym łóżkiem, załatwiłem więc, żeby Jack na razie tam zamieszkał.

- I Max się zgodził? - W głosie Jenny dało się słyszeć zaskoczenie.

- Początkowo protestował - mruknął Jon. - W końcu jednak jakoś go przekonałem, przypominając naszemu synowi, że to dziadek płaci wszystkie rachunki. Oczywiście my pokryjemy koszty pobytu Jacka. - Zamilkł na chwilę. - Dlaczego nic nam nie powiedział? Nie próbował z nami porozmawiać, uprzedzić. - Pokręcił głową i zaśmiał się sucho. - Chciałbym widzieć minę Maxa, kiedy Jack pojawił się nagle przed nim w Kingston.

Małżonkowie wymienili spojrzenia.

- Hmm. Tak, obecność Jacka musi być mu bardzo nie w smak - przytaknęła Jenny.

Maddy z uśmiechem nachyliła się nad ziewającym synem, pocałowała go na dobranoc w czoło i otuliła szczelniej kołderką.

Kiedy wiozła dzieci od Tullah, Leo kręcił się niespokojnie w samochodzie i bez przerwy dopytywał, czy tata będzie w domu.

Zapewniła go, że nie, taty nie będzie, rozmyślając przy tym smutno, jak często dzieci w tym wieku oczekują negatywnej odpowiedzi na swoje pytania.

Co prawda Leo ją zasmucił, ale popołudnie z Jenny dało wiele radości. Okropna trema, którą czuła przed spotkaniem, znikła, kiedy przyszło do rozmowy z wykonawcami robót.

Podobnie jak Ruth i Jenny, Maddy przejmowała się losem młodych kobiet borykających się z przeciwnościami i walczących, by zapewnić swoim dzieciom bezpieczny dach nad głową. Cel fundacji, zapewnienie tanich, wygodnych mieszkań dla samotnych matek, był bliski jej sercu.

Dwa domy już funkcjonowały. Każde mieszkanie posiadało własną kuchnię, łazienkę oraz dostęp do ogródka jordanowskiego, na co Ruth i Jenny zwracały szczególną uwagę, kupując kolejne nieruchomości.

Fundacja zarządzała mieszkaniami, w jej gestii leżało pobieranie czynszu, doraźne remonty, decyzje o przydziałach. Wszystkim tym zajmowały się obydwie panie Crichton i dwie kobiety pracujące dla fundacji na pół etatu.

Do czasu swojego późnego zamążpójścia Ruth odgrywała główną rolę w całym przedsięwzięciu, Jenny też bardzo się angażowała, ale jak mówiła synowej, gubiła się w sprawach finansowych.

- Ty masz do tego prawdziwy talent, którego mnie brakuje - przekonywała Maddy, ta zaś wzruszała skromnie ramionami, twierdząc, że biegłość w rachunkach nie jest żadnym szczególnym talentem.

- Ależ jest - zapewniała Jenny. - Nawet nie wiesz, jaka to dla mnie ulga, że będę mogła zdać się na ciebie, moja droga.

Prawdę mówiąc, Maddy wzięła na siebie cięższe obowiązki, niż początkowo przypuszczała, ale ku jej ogromnemu zaskoczeniu, zamiast martwić się tym, czuła radosne podniecenie.

Martwiło ją natomiast coś zupełnie innego - zapał, z jakim Tullah rzuciła się na pomysł „zmienienia wizerunku” przyjaciółki. Oczywiście nie miała nic przeciwko temu, by lepiej wyglądać, tyle tylko, że wszystkie wysiłki w tym kierunku uważała za z góry skazane na niepowodzenie.

Kiedy była nastolatką, jej żyjąca we własnym świecie matka na moment otworzyła oczy i dojrzała ze zgrozą, że ma w domu pucołowate kaczątko w niezgrabnym szkolnym mundurku. Córka niedługo kończyła osiemnaście lat, a wyglądała na nieopierzoną czternastolatkę. Nie tracąc czasu, pani Browne wysłała jedynaczkę na dwa tygodnie do kliniki piękności z surowym przykazaniem, by wróciła o dobrych kilka kilogramów szczuplejsza i, jak to ujęła, nauczyła się wreszcie troszczyć o swój wygląd.

Dla Maddy pobyt w ośrodku był prawdziwą torturą. Pozostałe „kuracjuszki” były



bez wyjątku paniami w średnim wieku, z którymi nieśmiała dziewczyna nie miała wspólnego języka.

Schudła pięć kilogramów, ale po powrocie do szkoły wróciła do dawnej wagi, może nawet jeszcze bardziej się zaokrągliła. Jeśli zaś idzie o urodę, nie dowiedziała się nic, czego wcześniej nie słyszałyby od matki: że jej banalna twarz nie zainteresuje żadnego mężczyzny, jeśli Maddy nie opanuje sztuki upiększania pozbawionego wyrazu oblicza.

I przy tym wszystkim uwierzyła, że Max mógł się w niej zakochać. Dając się z taką łatwością omamić, pozbawiła swoje dzieci prawa do miłości ojca, a to bolało znacznie bardziej niż świadomość, że Max jej nie kocha i nigdy nie kochał.

Zabawne, jak precyzyjnie potrafiła analizować ich wzajemne stosunki, gdy Maxa nie było w pobliżu. Gdyby jednak pojawił się w drzwiach, wyciągnął ku niej dłoń...

Zamknęła oczy. Nie będzie o nim myślała!

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dwa tygodnie później Maddy zatrzymała się przed witryną jednego z najbardziej ekskluzywnych sklepów w Chester i niespokojna, a przy tym radośnie podniecona, zerknęła na swoje odbicie. Wybierała się właśnie na pierwsze spotkanie z księgowym fundacji, Griffem Owenem. Miała na sobie elegancki w swojej prostocie, a przy tym niewiarygodnie drogi, znakomicie skrojony kostium w zupełnie niepraktycznym kolorze wanilii, który doskonale podkreślał jej karnację. Całości dopełniała luksusowa jedwabna bluzka.

A jednak to nie strój sprawiał, że Maddy szła pewnie przez miasto, wysoko podnosząc głowę i od czasu do czasu zerkając - słabość i przyjemność dotąd jej nieznaną - z trwożnym podziwem na swoje odbicie w szybach mijanych sklepów. Nie strój, lecz nowa fryzura. Tullah siłą zaciągnęła ją do wziętego salonu fryzjerskiego, wcześniej prośbą i groźbą wymusiwszy na rozrywającym przez klientki styliście, by przyjął Maddy poza kolejną, po czym trwała przy niej na straży, pilnując, by przyjaciółka nie dała nogi, i omawiając z mistrzem najstosowniejszą fryzurę.

Maddy jeszcze teraz z uśmiechem wspominała komplementy i pochlebstwa, których się wówczas nasłuchiwała na temat swojej bezbarwnej, banalnej, okrągłej twarzy. Czy cuda działała nowa, z prawdziwą wirtuozerią wymodelowana fryzura, czy kilogramy zrzucone przez miesiące pobytu w Queensmead, tego nie wiedziała. Dość powiedzieć, że wróciła z wyprawy do Londynu tak odmieniona, że jeszcze teraz, w trzy dni później, musiała się szczypać, by uwierzyć, że ta wytworna, szczupła, uśmiechnięta kobieta to ona.

- Śliczna mamusia - pisnęła uradowana Emma, a Leo, kochany mały Leo, rzucił się matce na szyję i nie chciał jej puścić.

Zakupy z Tullah, kiedy Maddy miała już za sobą katorgę u fryzjera, były samą przyjemnością. Mniej przyjemne było odkrycie w londyńskim mieszkaniu kilku sztuk bielizny pozostawionych przez przyjaciółki Maxa.

Zabawna była reakcja rodziców na zmieniony wygląd córki, kiedy Maddy i Tullah wybrały się do nich na kolację pierwszego wieczoru po przyjeździe do Londynu.

Matka zapytała kurtuazyjnie o Leo i Emmę, po czym przez cały wieczór opowiadała o przypuszczalnej nominacji ojca na prezesa Sądu Najwyższego. Chłodny pocałunek w policzek i niezgrabny uścisk na pożegnanie upewniły Maddy, że dobrze zrobiła, wywożąc swoje dzieci do Haslewich, gdzie mogły

rosnąć otoczone serdeczną miłością rodziców i reszty rodziny ze strony Maxa.

Być może nie dała im ojca, na którego zasługiwały, ale przynajmniej zapewniła wzory życia rodzinnego, które mogły oglądać w domach swoich licznych kuzynów.

Zatopiona w rozmyślaniach o swoich dzieciach, Maddy zmierzała ruchliwymi ulicami średniowiecznego Chester w stronę biura Griffa Owena.

Przez ostatnie dziesięć dni, kiedy dzieci leżały już w łóżeczkach, a dziadek drzemał przed telewizorem, zasiadała za stołem w kuchni i zagłębiała się w rachunkach fundacji, poznając nie tylko historię przedsięwzięcia, ale wszystkie niuanse związane z jego funkcjonowaniem oraz słabe i mocne punkty systemu organizacyjnego. Odkryła w czasie tych samotnych sesji, że mimo pieniędzy, jakie włożyła Ruth w swoje dzieło, mimo sum zbieranych ogromnym wysiłkiem przez Jenny, mimo rozmaitych dotacji, wsparcia, jakiego udzielali Tullah, Olivia i Guy Cooke oraz jego żona Chrissie, fundacja ledwie wiązała koniec z końcem.

Czynsze pobierane od lokatorek nawet w części nie pokrywały kosztów utrzymania budynków, a teraz, kiedy zaczęto przerabiać trzeci dom, potrzeby finansowe znacznie wzrosły.

Jeśli fundacja miała działać sprawnie, potrzebne były dodatkowe źródła, zasilające jej kasę i dające większą swobodę w gospodarowaniu budżetem. Maddy doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zainwestowanie posiadanych aktywów, aby zyski obracać na bieżące potrzeby i nagłe wydatki.

Cel był szlachetny, w to nikt nie wątpił, i mieszkańcy miasteczka hojną ręką łożyli na fundację Mums & Babes, ale nawet przy ich wsparciu funduszy ciągle brakowało, bo liczba szukających pomocy młodych matek, coraz częściej odsyłanych z kwitkiem przez lokalne służby socjalne, ciągle rosła.

- Dawniej takimi dziewczętami zajmowała się rodzina - stwierdziła pracująca dla fundacji ciotka Guya Cooke'a, Libby, gdy Maddy pojawiła się pewnego dnia w biurze. - Pamiętam, w moim pokoleniu było mnóstwo dzieci, które wychowywane przez babkę rosły w przekonaniu, że to ich matka. Tak to kiedyś bywało, teraz wszystko wygląda inaczej. Nie ma już takich więzi rodzinnych, ludzie muszą liczyć tylko na siebie

Maddy skinęła głową.

- Babcie coraz częściej same pracują zawodowo, a w nowoczesnych domach nie ma miejsca dla wielopokoleniowych rodzin.

- Coś o tym wiem - mruknęła Libby. - Mój najstarszy syn, Mark, niedawno skończył studia i wrócił do domu. Nie znalazł jeszcze pracy, ale już chciałby się żenić. I oczywiście zamieszkają u nas. - Libby wzniosła oczy do nieba.

Maddy bardzo lubiła Chrissie Cooke, żonę Guya. Obydwoje poznała przez Jenny. Teściowa prowadziła kiedyś razem z Guyem mały antykwariat, ale odsprzedała wspólnikowi swoje udziały, kiedy zajęła się fundacją. Guy znacznie rozwinął interes, od kilku lat organizował krajowe targi antyków odbywające się na gruntach lorda Astlegha, w jego posiadłości Fitzburgh Place.

Guy i Chrissie zaczęli niedawno budować nowy dom na skrawku ziemi kupionym od lorda Astlegha, sami zaś na razie przemieszkiwali u jednej z sióstr Guya.

Chrissie pokazała Maddy plany nowej, obszernej i wygodnej siedziby, żartując, że zamierzają z Guyem dochować się całej gromady dzieci i dlatego zaprojektowali swój dom na wyrost.

Przewidzieli nowoczesne wnętrza, ale elewacje i materiały konstrukcyjne nawiązywały ściśle do tradycji.

- Chcemy mieć coś, co przypominałoby georgiańskie probostwo - tłumaczył Guy z szerokim uśmiechem.

- Jak z powieści Jane Austen - dodała Chrissie.

Maddy słuchała tych opowieści z zazdrością. Queensmead miało wyjątkowo niewygodny rozkład wnętrza. Pamiętała doskonale, ile trudu kosztowało ją znalezienie chętnego podjęcia się herkulesowego zadania wykonawcy, kiedy postanowiła przeprowadzić remont i zamienić małe sypialnie na piętrze, łącząc je w apartamenty dla gości, każdy z własną garderobą i łazienką.

- Ale za to masz w Queensmead ogromne ogrody i tę wspaniałą salę balową - obruszyła się Chrissie, słysząc narzekania Maddy.

Uśmiechnęła się. W sali balowej bawiono się po raz ostatni przed dziesiątkami lat, z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Ruth, a części ogrodów chętnie by się pozbyła, gdyby Queensmead było jej własnością.

Dzisiaj ma ważniejsze sprawy na głowie niż rozważanie prywatnych problemów, powiedziała sobie stanowczo i zerknęła na uliczny zegar. Powinna się pospieszyć, jeśli nie chce się spóźnić na spotkanie z Griffem Owenem.

Jenny niewiele jej powiedziała o tym człowieku, tyle tylko, że niedawno podjął współpracę z firmą i że jest przyjacielem Luke'a. Luke polecił go, kiedy poprzedni księgowy prowadzący buchalterię fundacji, starszy pan mieszkający w Haslewich, wycofał się z interesów i przeszedł na emeryturę.

Maddy, nieco zdenerwowana czekającym ją spotkaniem, przyspieszyła kroku.

Biuro rachunkowe mieściło się w jednym z eleganckich domków szeregowych na przedmieściu, tuż nad rzeką.

Uprzejma recepcjonistka zapytała, kogo ma zaanonsować i poprosiła, by Maddy

zechciała chwilę poczekać.

Maddy usiadła w holu, wzięła do ręki egzemplarz „Cheshire Life”, bardziej po to, żeby schować się za płachtą gazety, niż z chęci jej przejrzenia. Podziw, z jakim recepcjonistka zmierzyła jej strój, trochę poprawił jej humor i natchnął wiarą w siebie, ale nie na tyle, by całkowicie uwolnić ją od zdenerwowania.

Jak zareaguje, jeśli Owen potraktuje ją w taki sam sposób jak Max: będzie patrzył na nią z góry, dając do zrozumienia, że jest tylko nic nieznaczącą, zalęknioną osobką?

Jeśli... jeśli...

Pospiesznie otworzyła trzymaną w dłoni gazetę.

W swoim stylowo urządzonej georgiańskim gabinecie na piętrze Griff Owen przygotowywał się do spotkania. Marszcząc czoło, położył na biurku dokumentację fundacji. Była prowadzona porządnie, nawet bardzo porządnie, ale z rachunków na pierwszy rzut oka można było się zorientować, że fundusze, którymi dysponowała Mums & Babes, są źle wykorzystane i przy lepszym programie finansowym dałoby się je znacznie pomnożyć. Luke ostrzegał go jednak, że Ruth, której fundacja była oczkiem w głowie, obstaje stanowczo przy własnej polityce i nie życzy sobie rewolucyjnych zmian.

- Ruth jest bardzo przywiązana do modelu organizacyjnego, który sobie przez lata wypracowała - tłumaczył Luke, kiedy po raz pierwszy opowiadał Griffowi o fundacji. - Uważa, że pieniądze to nie wszystko i wzbudzają w niej niechęć ludzie myślący inaczej.

Biuro rachunkowe, którym Griff - polecony na to stanowisko przez łowców głów - zaczął niedawno zarządzać, działało dość ospale, zanim się tu pojawił. Dwaj z pięciu właścicieli byli już w tym wieku, że woleli spędzać czas na polu golfowym niż prowadzić praktykę. Pozostali trzej wspólnicy, synowie starszych panów, nie potrafili się zdobyć na brutalną szczerłość wobec ojców.

Kiedy przychodziło do obsługi klientów starej daty, emerytowanych pułkowników i dziwacznych wdów, panowie Joyce i Baring byli typami wręcz idealnymi, kogoś takiego właśnie staroświecka klientela oczekiwała w roli swoich księgowych. Jednak tam, gdzie w grę wchodziły prawdziwe pieniądze... Griff zachmurzył się jeszcze bardziej.

Kiedy zwierzył się Luke'owi, że nie jest pewien, czy ma przyjąć pracę u Joyce'a i Baringa, przyjaciel zaczął go przekonywać, iż będzie miał dużo swobody w zarządzaniu ich spółką, czego nie mógł robić w swojej poprzedniej firmie. Poza

tym istniały też prywatne powody, by wycofał się na jakiś czas z robienia błyskotliwej kariery w dużej korporacji.

Sprawy fundacji charytatywnych zazwyczaj przekazywał jednemu ze starszych wspólników, ale tu znowu Luke przekonał go, że większość ludzi stale wspierających tego rodzaju przedsięwzięcia to ważni i wpływowi biznesmeni i warto mieć z nimi kontakt. Na przykład Saul, kuzyn Luke'a, namówił swoich szefów z wielkiego międzynarodowego holdingu Aarlston-Becker nie tylko na jednorazowy, hojny odpis na rzecz Mums & Babes, ale też na stałe sponsorowanie kilku mieszkań. Griff dowiedział się też od Luke'a, że to za namową Maddy Crighton Saul wystąpił do zarządu swojej firmy o dotację.

Maddy Crighton... Raczej to, czego Luke nie powiedział na jej temat, niż to, co powiedział, sprawiało, iż Griff zastanawiał się nad sensem wchodzenia z nią w kontakty zawodowe.

Kiedy odwiedził Luke'a i Bobbie zaraz po ich powrocie ze Stanów, gdzie spędzali rodzinne święta, Bobbie, z tym swoim urzekającym akcentem, zaczęła opowiadać o żonie kuzyna Maxa:

- Biedna Maddy, święta kobieta. Nie mam pojęcia, jak ona wytrzymuje z tym potworem.

Luke uniósł brew na te słowa.

- Nie sądzę, kochanie, by Griffa interesowały problemy małżeńskie Maddy i Maxa.

Griff znał z doświadczenia ten typ kobiet, tkwiących w pułapce nieszczęśliwego małżeństwa, mających skłonność do uzależniania się od mężczyzny i czekających, aż wyśniony książe na białym koniu pospieszy, by wybawić je z tragicznego położenia. Niebezpieczne istoty, które owijają się niczym bluszcz wokół swojego partnera, szukają wsparcia u mężczyzn spotykanych przy różnych zawodowych okazjach i udają przed sobą, że chodzi im tylko o sprawy czysto profesjonalne, gdy w gruncie rzeczy gra toczy się o coś zupełnie innego, o głębszy i znacznie intymniejszy kontakt. Ofiarą tego rodzaju kobiet często padają lekarze, doradcy prawni i finansowi.

Obecnie Griff był wolny, ale miał za sobą dwa długotrwałe związki; ostatni rozpadł się przed dwoma laty, kiedy oboje doszli do wniosku, że skoro on, w przeciwieństwie do niej, nie myśli o małżeństwie i dzieciach, najlepiej będzie, jeśli się rozstaną i każde pójdzie swoją drogą. Nie oznaczało to wcale - jak poniesiona emocjami oskarżała go podczas rozstania - że mu na niej nie zależało. Nieprawda, zależało mu i to bardzo, ale teraz on, trzydziestosześcioletek, nie miał

ochoty wiązać się z nikim.

Miał kilka serdecznych przyjaciółek, niektóre z nich były kiedyś jego kochankami, inne mogłyby być kochankami, gdyby nie to, że były już żonami innych.

Kobiety często mu powtarzały, że jest diabelnie atrakcyjny i seksowny, mężczyźni mieli go za dobrego i solidnego kumpla, takiego, który nie zwierza się ze swoich najskrytszych myśli i najgłębszych uczuć.

Słyszając kroki na korytarzu, wstał i podszedł do drzwi na spotkanie gościa.

Jenny mówiła co prawda, że Griff jest jeszcze młodym mężczyzną, ale Maddy nie spodziewała się ujrzeć wysokiego, jasnowłosego herosa, o twarzy z rzymskich rzeźb i smukłej sylwetce.

Wiedząc, że jest Walińczykiem, wyobrażała sobie niskiego, przysadzistego bruneta o celtyckiej urodzie. Tymczasem Griff był równie wysoki jak Max, poruszał się ze sprężystością kota, a ta twarz... Kątem oka zerknęła jeszcze raz na mocne, wręcz twarde rysy, przywodzące na myśl zamierzchłe czasy, kiedy w Walii rodzili się wojowie stworzeni, by przewodzić innym: orli nos, arystokratyczne, wysoko sklepione czoło, a nade wszystko piękne, gęste włosy, w które chciałoby się zatopić palce.

Dotknąć go... Maddy miała ochotę wycofać się z gabinetu, odwrócić się.

Jednak było już za późno. Mężczyzna położył rękę na jej ramieniu, prowadził w głąb pokoju, wskazywał krzesło.

- Pani Crichton, jestem Griff Owen.

Bezwolnie oddała powitalny uścisk dłoni.

- Proszę siadać.

Oszołomiona opadła na krzesło koło kominka, Griff usadowił się naprzeciwko niej, dokumentację fundacji położył na stoliku, spokojny, opanowany - przynajmniej z pozoru.

Maddy nie domyślała się, jak bardzo był wzburzony. Kiedy zobaczył ją w progu gabinetu, elegancką, w wytwornym kostiumie, z piękną fryzurą, która zdawała się mówić coś zupełnie odmiennego niż niepewność malująca się w oczach, poczuł w jednym gwałtownym błysku to, co Francuzi nazywają coup de foudre. Jedno szybkie, bystre, ogarniające całą postać spojrzenie wystarczyło, by obraz Maddy wyrył się w jego sercu. Pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, chronić i pocieszać. W jednej sekundzie przeobraził się w księcia na białym koniu, który spieszy na pomoc swojej bogdance, by uwolnić ją z więzów nieudanego małżeństwa.

Przesadą byłoby twierdzić, że Griff w pełni zdawał sobie sprawę z doznawanych uczuć. Był w końcu tylko mężczyzną i obce mu były boskie olśnienia i dogłębne wejrzenie w sprawy tego świata. Wiedział tylko, że nigdy dotąd żadna kobieta nie wzbudziła w nim takiej opiekuńczości jak Maddy, że nigdy jeszcze nie doświadczał tak niezwykłych, gwałtownych i niebezpiecznych przeżyć. Zareagował typowo po męsku, obronnie: suchym, oficjalnym, pełnym dystansu tonem zapytał, jak dobrze jego klientka orientuje się w sprawach finansowych fundacji Mums & Babes.

Ku zaskoczeniu Maddy ten formalny wstęp, zamiast ją stropić i zbić z pantafelku, podziałał niczym ostroga. Równie chłodnym co Griff tonem poczęła rzeczowo wyjaśniać własne zapatrywania na finanse fundacji.

Owen nie mógł wyjść z podziwu. Ta kobieta, która jeszcze przed chwilą sprawiała wrażenie nieśmiałej i niepewnej siebie, posiadała umysł znacznie bardziej przenikliwy, niż mógł się spodziewać.

- Nie zdążyłem jeszcze dokładnie przejrzeć ksiąg rachunkowych fundacji - oznajmił, rozmijając się nieco z prawdą - ale już teraz mogę powiedzieć, że jeśli fundacja Mums & Babes chce uzyskać solidną podstawę finansową, powinna pomyśleć o rozsądnym wykorzystaniu pozyskiwanych przez was funduszy.

- Zgadzam się - przytaknęła Maddy i dodała nieco zgryźliwie, wprowadzając Griffa w jeszcze większe zdumienie: - Proszę jednak pamiętać, że nie utrzymujemy się z obracania pieniędzmi, tylko z dobrowolnych składek i dotacji.

- Myśli pani o zbiórkach pieniężnych, loteriach parafialnych, garażowych wyprzedażach i tym podobnych przedsięwzięciach?

- Tak, również i o tym, ale te wpływy są zbyt skromne. A nasze wydatki ciągle rosną, chcemy więc rozwijać fundację, zbudować więcej mieszkań dla samotnych matek, zapewnić im lepsze warunki. Szukamy, i to jest nam przede wszystkim potrzebne, stałego dopływu funduszy, niezależnego od okazjonalnej pomocy. Myślę o jakiejś formie trwałego zabezpieczenia ze strony miejscowego przemysłu, a nawet o dotacjach rządowych. Musimy jednak postępować ostrożnie, rzecz bowiem w tym, że fundacja musi zachować całkowitą niezależność. Dzięki wstawiennictwu Saula Crightona firma Aarlston-Becker zgodziła się sponsorować część mieszkań. Chciałabym wykorzystać ten precedens, apelując o wsparcie do innych biznesmenów. Moglibyśmy zabiegać, by Aarlston-Becker objął sponsoringiem nie kilka mieszkań, ale cały dom. Żeby jednak tak się mogło stać, konkurentem dla nich powinna być inna duża korporacja. Każdy, kto okaże się hojny dla naszej fundacji, musi wiedzieć, że będzie czerpał z tego jakieś symboliczne korzyści, jak na przykład prestiż, reklamę w prasie.



- Ma pani bardzo ciekawe plany, dobry instynkt do kierowania ludźmi. - To tylko Griff zdołał powiedzieć, zachwycony pomysłami Maddy, jej orientacją nie tylko w kwestiach finansowych, ale także w skomplikowanych relacjach społecznych.

- Widzi pan, jestem matką dwójki dzieci. Przy nich człowiek szybko się uczy, co oznacza wrodzona potrzeba współzawodnictwa - powiedziała z lekkim uśmiechem i, już znacznie pewniejsza siebie, po raz pierwszy odważyła się spojrzeć rozmówcy prosto w oczy.

Griff, zamiast odpowiedzieć uśmiechem, jak oczekiwała, odwrócił szybko głowę.

Maddy spochmurniała w jednej chwili. Co, u diaska, powiedziała takiego, czym go zraziła? Może niepotrzebnie wspomniała o dzieciach w służbowej rozmowie? Zbita z tropu spuściła wzrok. Kiedy pytała Jenny, jak powinna się zachować podczas spotkania z Owenem, teściowa poradziła jej roztropnie:

- Po prostu bądź sobą, Maddy, to wystarczy.

Wspierana przez Jenny, na przemian popychana do działania i karmiona otuchą przez Olivię i Tullah, Maddy wreszcie uwierzyła w swoje siły. Teraz raptem ogarnęło ją zwątpienie połączone z samoobronnym gniewem. Dlaczego ten człowiek, któremu w końcu fundacja płaci za jego usługi, odwraca głowę tylko dlatego, że mimochodem napomknęła w rozmowie o dzieciach? Widać uznał ją za zwykłą kurę domową, która aspiruje do innych zajęć, nie mając żadnych po temu podstaw i nie może być wiarygodną partnerką w profesjonalnej dyskusji.

Nie rozumiała, dlaczego pogarda Maxa czyniła z niej rzeczywiście smętną i bezbronną kuchnię, za jaką mąż ją miał, a reakcja Griffa przyprawiła ją o poryw wściekłej złości. W oczach zapaliły się błyski, z gardła wydobyło się ciche prychnięcie.

Griff na ten dźwięk zwrócił ku niej wzrok, spojrzał mimowolnie na rozchylone usta. Miała małe, równe zęby, jak u młodej dziewczyny, ale jej wargi...

Poczuł gorący pot na plecach. Te niewiarygodnie delikatne wargi...

- Czy jest pani już umówiona na lunch?

Oczy Maddy zrobiły się wielkie jak spodki. Różnych pytań mogła oczekiwać, ale na pewno nie takiego.

- Nie, nie jestem - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Miałam zamiar zjeść sandwicza i...

- Chętnie omówiłbym z panią trochę szerzej sprawę sponsoringu Aarlston-Beckera i zainteresowania wspieraniem fundacji innych dużych firm - mówił Griff, zastanawiając się, czy jego głos nie brzmi sztucznie i nieswojo.

Czy Maddy Crighton domyślała się, jak piorunujące wywarła na nim wrażenie?

O czym ty myślisz, zbeształ się w duchu. To przecież klientka, a ty jesteś jej doradcą finansowym.

- W hotelu niedaleko stąd podają bardzo dobre lunchy, moglibyśmy wszystko rozważyć.

- Ja... - Maddy zawahała się, szukając w myślach jakiejś wymówki. - Ja...

Kiedy po raz ostatni atrakcyjny mężczyzna zaprosił ją do restauracji? Kiedy to mogło być? Bzdura, przecież jest tu służbowo, ofuknęła się, ale jednocześnie jakiś wewnętrzny głos szeptał jej, że nawet jeśli nie chodzi o nic innego, to przecież elegancki kostium i nowa fryzura zasługują na to, by pokazała je innym ludziom.

- Chętnie - usłyszała własny cichy głos i natychmiast przeraziła się tym, co zrobiła.

- Świetnie.

Griff uśmiechnął się i na widok tego leniwego, lekko ironicznego, jednocześnie zachęcającego i drapieżnego uśmiechu, Maddy zapomniała o bożym świecie. Oszołomiona nie wiedziała, kiedy podniosła się z krzesła i pozwoliła wyprowadzić z gabinetu.

Później nie potrafiła sobie przypomnieć, o czym mówili, idąc w stronę hotelu. Zapewne wymieniali jakieś banalne uwagi na temat Chester i pogody.

Zamarła dopiero przed drzwiami restauracji. Nie powinna tego robić, jest przecież mężatką. Matką dwójki dzieci, której nie zdarzają się podobne rzeczy.

Potrząsnęła głową, zdumiona własnymi myślami. Co ona wyprawia? Przecież nic takiego się nie dzieje. Idzie po prostu na lunch z doradcą finansowym fundacji, to wszystko. Zwykle spotkanie służbowe, jakie dzień w dzień odbywają dziesiątki, ba, setki tysięcy ludzi i nie zachowują się przy tym jakby...

Portier otworzył drzwi, a Griff ujął ją delikatnie za łokieć.

Maddy zamknęła oczy, zakręciło się jej w głowie. Rozumiała teraz, co miały na myśli wiktoriańskie pisarki, kiedy kazały omdlewać swoim heroinom po jednym dotknięciu dłoni ukochanego.

Nie, to nie było pożądanie, owszem obezwładniające doznanie, ale nie nagła, dzika żądza, raczej głęboka, pulsująca, z wolna budząca się świadomość, że Max nie jest jedynym mężczyzną, który tak na nią działa.

W czasie lunchu Griff wyjaśniał, jakiego rodzaju trudności należy oczekiwać, chcąc przekonać biznesmenów do stałego sponsorowania fundacji. Mówił rzeczowym, chłodnym tonem, ale cały czas chłonał każdy ruch, każdy gest i uśmiech Maddy, sposób, w jaki mówiła, wyraz oczu, kiedy zapalała się do tematu, łagodną barwę głosu, spostrzegawczość i łatwość wyciągania trafnych wniosków,

kształt ust, wszystko to składało się na niepowtarzalny obraz. Nigdy w życiu nie spotkał podobnej kobiety, z żadną nie doświadczył podobnych doznań, jak teraz z Maddy... wobec Maddy.

Zastanawiał się, czy Maddy zdaje sobie sprawę z tego, jak często wspomina o dzieciach, a prawie wcale o mężu. Griff wiedział o Maksie tyle tylko, ile usłyszał od Luke'a, czyli niewiele. Przyjaciel nachmurzył się i najwyraźniej nie chciał się rozwodzić o swoim kuzynie, przyznał tylko, że Max potrafi być niekiedy twardym przeciwnikiem.

Było już dobrze po trzeciej, gdy Maddy pokręciła głową i ze śmiechem odmówiła następnej, czwartej chyba, filiżanki kawy.

- Muszę już jechać - tłumaczyła. - Moje...

- Wiem, dzieci - dokończył za nią Griff.

Maddy lekko się zaczerwieniła i uśmiechnęła. Dwa kieliszki wina wypite podczas obiadu uderzyły jej trochę do głowy. Bardzo rzadko piła alkohol, a jeśli już, to wyłącznie wieczorem.

Przy drugim kieliszku Griff powiedział:

- Muszę dziś po południu jechać za miasto, mam spotkanie z klientami, Sue i Lewisem Ericsonami. Może ich znasz? Tak jak z wami, skontaktował mnie z nimi Luke. To jego przyjaciele.

- Tak, chyba wiem, o kim mówisz. - Maddy zmarszczyła lekko czoło, a Griff najchętniej scałowałby te zmarszczki, żeby nie pojawiały się już więcej. - Czy to nie oni prowadzą letni teatr, w którym wystawiają operetki Gilberta i Sullivana?

- Tak, to ci sami - przytaknął. - Uwielbiają Gilberta i Sullivana, poznali się dzięki wspólnej pasji. Warto, żebyś z nimi porozmawiała. Wiem, że chętnie wspierają rozmaite lokalne przedsięwzięcia. Oczywiście bardziej czują się związani z Chester niż z Haslewich, ale możesz przecież spróbować.

- Poproszę Luke'a o wstawiennictwo.

- Jeśli chcesz, przekażę twoją prośbę - zaofiarował się Griff. - Dzisiaj wieczorem jem z nimi kolację. - Przerwał na moment i spojrzał na Maddy. - Prawdę mówiąc...

- Nie, nie, naprawdę muszę wracać.

Maddy drżącym głosem, uprzedzając zaproszenie, wymówiła się od jego przyjęcia, co nie miało znaczyć, że nie sprawiło jej ono przyjemności i nie spędziłaby chętnie wieczoru w towarzystwie Griffa.

On tymczasem, widząc jej napięcie, skinął szybko na kelnera z prośbą o rachunek, spotkanie dobiegło więc końca.

Przebywanie z mężczyzną, który interesuje się nią, pragnie jej, było dla Maddy

zupełnie nowym doświadczeniem, a jednak bez trudu rozpoznawała oznaki owego, nieznanego jej dotąd zainteresowania: w rozświetlonych zachwytem oczach Griffa, ilekroć na nią spoglądał, dostrzegała autentyczny podziw i... uczucie. Była pewna, że za tą fascynacją próżno by doszukiwać się niskich pobudek. W końcu z jakiej racji Griff miałby się silić na gorące spojrzenia, udawać, że coś do niej czuje, gdyby była mu obojętna?

Był niezwykle pociągającym mężczyzną, zbyt pociągającym, przestrzegał ją głos wewnętrzny, szepcząc jednocześnie, że Max też jest przecież niezwykle atrakcyjny. Tacy mężczyźni – przystojni, seksowni, intrygujący – przyciągali kobiety, o czym Maddy zdążyła przekonać się boleśnie na własnej skórze, gdy szło o Maxa. Musiała jednak przyznać, jeśli chciała być uczciwa wobec siebie, że to od mężczyzny zależało, czy odpowie na awanse czynione przez adoratorki, czy też pozostanie obojętny.

– Twoje oczy zmieniają się jak niebo – szepnął Griff zdławionym głosem, kiedy wychodzili z hotelowej restauracji. – W jednej chwili jasne i słoneczne, za moment już chmurne. Teraz właśnie są chmurne i odrobinę smutne.

Spojrzał w spłoszoną twarz Maddy, czułym gestem ujął jej dłoń i przez chwilę trzymał w swojej. Stali tak, zapatrzeni w siebie, a ona miała dziwne wrażenie, że otula ją delikatna jak mgiełka opończa, ciepła i bezpieczna.

– Nie, nie musisz się martwić – zapewnił Griff cichutko. – Nie pocałuję cię, nie tutaj i nie teraz. Pewnego dnia zrobię to jednak, Maddy, a kiedy już się to stanie...

Słuchała jego słów i czuła, jak uginają się pod nią kolana. Była zaszokowana i jednocześnie rozradowana, przepelniona jakimś dziwnym uczuciem ogromnej radości, uniesienia.

Griff uwolnił jej dłoń z intymnego uścisku, dotknął palcami najpierw swoich warg, potem jej.

Ciągle nie mogąc otrząsnąć się z szoku, rozchyliła lekko usta. Jak później wspominała, zrobiła to bezwiednie, ale Griff albo opacznie zrozumiał jej reakcję, albo jak ona wiedziony emocjonalnym impulsem, przesunął opuszką po delikatnej i wilgotnej wewnętrznej stronie jej dolnej wargi, na co Maddy postąpiła, nadal nie zdając sobie sprawy, co robi, krok ku niemu.

Speszona własnym zachowaniem, oblała się rumieńcem i natychmiast cofnęła. Zdążyła jeszcze dojrzeć w rozświetlonych oczach Griffa błysk zmysłowej satysfakcji.

Kiedy ku jej rozbawieniu Griff uparł się, że odprowadzi ją do samochodu, odparła ze śmiechem, trochę się przekomarzając:

- Luke i Bobbie musieli ci naopowiadać, że zupełnie nie mam zmysłu orientacji, że potrafię zgubić się we własnym domu. A to wszystko dlatego, że jadąc pierwszy raz do nich z wizytą, skręciłam nie w tym miejscu, gdzie powinnam, i omal nie znalazłam się w Walii.

- Nic nie mówili - zapewnił ją Griff. - Gdyby to miało zależeć od mnie, nigdy już nie dopuściłbym, żebyś się zgubiła, gdziekolwiek i kiedykolwiek. Zawsze byłbym obok ciebie, nie odstępował na krok.

Maddy ponownie oblała się rumieńcem, ale tym razem nie czuła się już speszona.

Max budził w niej rozpaczliwe, bolesne pożądanie, jej ciało reagowało na każdy gest męża, ale umysł nie potrafił go zaakceptować, odrzucał ze wstrętem. Max zabijał w niej wszystkie cieplejsze emocje, wszelką czułość. Ulegając mu, nienawidziła siebie. Kim była, skoro pozwalała mu tak się ponizować, sprawować całkowitą kontrolę nad swoimi czysto fizycznymi reakcjami, skoro doskonale wiedziała, że w tej samej chwili, gdy skończy się seks, Max odwróci się do niej plecami albo po prostu wyjdzie z sypialni?

Teraz, patrząc na swojego towarzysza, zdała sobie sprawę w jednym prześwycie, że jest wolna i że oto poznała człowieka, którego potrafiłaby polubić, pokochać, którego mogłaby pragnąć. Pożegnała się z Griffem, ujechała kilkanaście kilometrów i dopiero wtedy przeszedł ją zimny dreszcz: zdała sobie nagle sprawę, że nie jest wolna, że nie ma prawa doznawać podobnych odczuć i pragnień.

- Jak udało się spotkanie w Chester?

Maddy nerwowym gestem zacisnęła palce na słuchawce telefonu, pełna obaw, że Jenny jakimś sposobem domyśli się z jej pełnego wahań milczenia, że synową dręczy poczucie winy.

- Ja... ja... On był bardzo uprzejmy. Uważa, że mogłybyśmy namówić Ericsonów do pomocy przy zbieraniu datków. Wiesz, o kim mówię, Jenny, poznałaś ich, to przyjaciele Luke'a, ci, którzy wystawiają operetki Gilberta i Sullivana w swoim letnim...

Mówiła zbyt szybko, zdradzając zbyt wiele, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie potrafiła nad tym zapanować. Wstydziła się, a równocześnie była rozradowana, podniecona, męczyły ją wyrzuty sumienia i ogarniało dziwne uniesienie. Kiedy odezwał się dzwonek telefonu, stała na środku kuchni z dzbankiem zimnej kawy w dłoniach, zapatrzona rozmarzonym wzrokiem w przestrzeń. Przez ułamek sekundy, zanim podniosła słuchawkę, miała nadzieję, że po drugiej stronie usłyszy

Griffa.

- Tak, wiem, o kim mówisz - przytaknęła Jenny tonem tak bezbarwnym, że Maddy poczuła się głupio.

Czy jej teściowa naprawdę nie domyślała się, jak bardzo w ciągu jednego dnia odmieniło się życie synowej? Czy nie słyszała podniecenia w jej głosie? Maddy miała wrażenie, że jej emocje muszą być czytelne dla każdego, że słysząc je w każdej wypowiedzianej zgłosce, że każda pauza między słowami jest jawnym świadectwem dręczącego ją poczucia winy, a jednak, gdyby miała szansę odwrócić bieg wypadków dzisiejszego dnia, za nic by tego nie uczyniła.

Minęły dwie godziny, a ona nadal myślała o Griffie; zdążyła wykąpać dzieci i ułożyć je do snu, odebrała telefony od Tullah i Olivii, ciekawych, jak udała się wyprawa do Chester. Czerwona jak burak odpowiadała obojętnym tonem, że owszem, spotkanie z Griffem udało się, i dziękowała przy tym Bogu, że przyjaciółki nie mogą widzieć wyrazu jej twarzy.

Z niecierpliwością czekała chwili, kiedy będzie mogła wreszcie położyć się do łóżka i w ciemnościach przeżyć raz jeszcze każdą sekundę spędzoną z Griffem, rozkoszować się w zaciszu swojej sypialni każdym jego spojrzeniem, każdym dotknięciem, wiedząc, że te zachowane w pamięci chwile należą tylko do niej.

Kiedy zakochała się w Maksie, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Teraz zareagowała tak mocno, bo czuła się znękana, nieszczęśliwa, niechciana i oto pojawił się ktoś, kto jej pragnął, pożądał. Instynktownie wiedziała, że gdyby jej małżeństwo było udane, gdyby Max ją kochał, Griff byłby dla niej zaledwie przystojnym mężczyzną, z którym mogłaby co najwyżej nieco poplirtować w niewinny sposób.

Ale jej małżeństwo nie było ani udane, ani szczęśliwe i miała wrażenie, że Griff, chociaż nie wspomniał ani słowem na ten temat, a i ona nie zwierzała się ze swoich kłopotów, musiał instynktownie wyczuć jej samotność i smutek.

Nie myślała o przyszłości, o ewentualnych konsekwencjach, zbyt była oszołomiona, zauroczona, by zdobyć się na trzeźwą ocenę sytuacji.

Istniał tylko dzień dzisiejszy, jutrzejszy... i to wystarczało.

- Co się, na litość boską, dzieje z Griffem? - zapytał rozbawionym tonem Luke, idąc za żoną do kuchni z brudnymi naczyniami po przystawkach. - Zachowuje się, jakby spadł z księżyca.

- Może się zakochał - szepnęła podniecona Bobbie. - Myślisz, że w końcu poznał kogoś? Och, Luke, tak bym chciała.

- Griff zakochany? - Luke pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie, Griff jest zbyt trzeźwy, mocno stąpa po ziemi, nie daje się ponieść uczuciom. Lubi panować nad sytuacją.

- Zupełnie jak ty - zauważyła Bobbie z przekąsem. - A jednak zakochałeś się we mnie.

- Uhm - mruknął Luke, wziął żonę w ramiona i pocałował.

- Luke, przestań, Griff pewnie zastanawia się, dlaczego tak długo nie wracamy. - Bobbie łagodnie odepchnęła męża i poprawiła włosy.

- Zrzucę winę na ciebie i wyjaśnię mu, że mieliśmy w kuchni mały problem.

Niezrażony reakcją żony, Luke musnął wargami jej ucho i położył dłoń na płaskim jeszcze brzuchu, co zupełnie rozkojarzyło Bobbie.

- Nie rozpraszaaj mnie, dobrze? - fuknęła niby to zagniewana. - Stawiam dziesięć dolarów, że Griff zakochał się w jakiejś tajemniczej damie.

- Dziesięć dolarów, a jakże - pokpiwał Luke. - Po pierwsze, dolary nie są obowiązującą walutą w tym kraju, po drugie, na pewno przegrałabyś zakład. Za dobrze znam Griffa. On nigdy nie dałby zawrócić sobie w głowie. Mogę ci za to ręczyć.

- Żaden człowiek nie jest chyba w stanie kontrolować swoich emocji do tego stopnia - zaoponowała Bobbie, podając mężowi półmiski z ryżem i jarzynami.

Być może, przyznał w duchu Luke i ruszył statecznym krokiem do jadalni.

- Wybacz, Griff, że kazaliśmy ci czekać, ale mieliśmy mały problem w kuchni - oznajmił z kurtuazją, stawiając jedzenie na stole.

- Uhm... jeszcze masz go na twarzy - stwierdził Griff z dobrodusznym przekąsem i uśmiechnął się szeroko, kiedy przyjaciel machinalnie sięgnął dłonią do ust, po czym skrzywił się zabawnie, widząc na opuszkach palców ślady różowej szminki żony.

- Nie przejmuj się mną - dodał Griff. - Jestem po prostu zazdrosny.

- Zazdrosny? - zdziwił się Luke. - Dotąd wydawało mi się, że jesteś zatwardziałym przeciwnikiem małżeństwa, a może się mylę?

- Hmm... Małżeństwo ma swoje dobre strony.

Luke wyciągnąłby może coś więcej z przyjaciela, ale właśnie weszła Bobbie z resztą jedzenia, a że wcześniej wiedziała o przyjeździe Maddy do Chester, zaczęła wypytywać Griffa, jak udało się spotkanie.

- Miałam nadzieję, że Maddy zje z nami kolację, ale okazało się, że musi wracać do domu - mówiła Bobbie, nie mając pojęcia, jaki efekt wywierają jej słowa.

Griff ledwie usłyszał imię Maddy, pochylił głowę nad talerzem i z niezwykłym

zainteresowaniem począł wpatrywać się w jedzenie.

- Twierdziła, że musi zająć się dziadkiem i dziećmi, chociaż wiem, że Jenny chętnie zostałaby na jedną noc w Queensmead. To cała Maddy, zawsze obowiązkowa i odpowiedzialna.

- Powiadają, że przeciwności się przyciągają, i chyba rzeczywiście, bo o Maksie można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest odpowiedzialny - wtrącił Luke z przekąsem.

Bobbie zerknęła na męża: do tej pory był cięty na Maxa za to, że ten, mimo iż był już wtedy mężem Maddy, usiłował z nią flirtować, kiedy pierwszy raz pojawiła się w rodzinie Crightonów.

- Biedny mały Leo. Ten szkrab wyraźnie boi się własnego ojca. Nie rozumiem, jak można doprowadzić dziecko do takiego stanu - oburzał się Luke po ostatniej wizycie w Queensmead.

- Chłopcu jest zapewne trudno, Max musi tyle czasu spędzać w Londynie, z dala od rodziny - usiłowała łagodzić gniew męża Bobbie.

- Musi - oświadczył Luke z taką ironią, że Bobbie wołała zamilknąć.

- Myślisz, że będziesz w stanie zrobić coś dla fundacji? - zwróciła się teraz do Griffa. - Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy, kiedy Maddy zgodziła się przejąć obowiązki, które dotąd należały do mojej babki. Długo się zastanawiała, twierdziła, że nie nadaje się do tej pracy, ale my wiemy, że jest inaczej.

- Rzeczywiście, ma bardzo dobre rozeznanie w finansach fundacji - przyznał Griff, usiłując nadać swoim słowom możliwie obojętne brzmienie.

Udało mu się to tak dobrze, że Bobbie zerknęła na niego nieco stropiona, gdy mówił dalej już nieco cieplejszym tonem:

- Otóż właśnie, skoro już mowa o Maddy. Obiecałem jej, że porozmawiam z tobą, Luke. Jak sądzisz, może dałoby się namówić Ericsonów, żeby zbierali u siebie datki dla Mums & Babes?

- Ericsonowie... Myślisz o tym, żeby urządzić zbiórkę w czasie któregoś przedstawienia? To świetny pomysł! - zawołała Bobbie z ożywieniem.

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? - zwróciła się do Luke'a. - Jak znam Sue, gotowa jest przygotować specjalny spektakl, kiedy usłyszy, że chodzi o tak szlachetny cel. Wiesz, Griff - mówiła dalej, adresując swoje słowa tym razem do gościa - że to moja babka Ruth była założycielką fundacji? To było jej oczko w głowie, jej ukochane dziecko i wszelkie decyzje jej pozostawialiśmy. Nikt z rodziny nie śmiał się wtrącać w sposób zarządzania Mums & Babes.

- Rozmawiałem też z Maddy, chciałem powiedzieć z panią Crighton,



o możliwościach sponsorowania kolejnych mieszkań, albo nawet całego domu, przez którąś z dużych korporacji. Dobry początek został już zrobiony za sprawą firmy Aarlston-Becker.

- Tak, to był pomysł Maddy. Znakomity - wtrąciła Bobbie z entuzjazmem. - Babcia była zachwycona, a Maddy tak wszystko załatwiła, żeby fundacja zachowała prawo do dysponowania i zarządzania sponsorowanymi mieszkaniami. Ona jest naprawdę świetna w tego rodzaju sprawach, żałuję tylko, że...

Zauważyła ostrzegawcze spojrzenie męża i ugryzła się w język. Omal nie zaczęła opowiadać szczegółów z prywatnego życia Maddy, a nie były to sprawy, które można rozważać wobec przyjaciół, choćby najbliższych i najserdeczniejszych.

Luke na tyle dobrze znał zapatrywania Griffa na nieudane związki między ludźmi, iż przewidywał, co ten może powiedzieć: jeśli Maddy czuła się nieszczęśliwa w małżeństwie, powinna się rozwieść. Tymczasem, ku jego zdziwieniu, Griff rzekł cicho:

- Musi być jej naprawdę ciężko, ale jest zbyt lojalna, by się skarżyć.

Nic więcej nie dodał, ale ton jego głosu i wyraz twarzy wystarczyły Bobbie: nie na darmo posiadała to, co nazywają kobiecą intuicją. Uśmiechnęła się nieznacznie i przyrzekła sobie w duchu, że jutro z samego rana niezwłocznie zadzwoni do Maddy i utnie sobie z nią długą pogawędkę.

- Dziękuję za miły wieczór i świetną kolację.

Griff nachylił się i ucałował serdecznie Bobbie w obydwie policzki, kiedy obydwójce gospodarze zegnali go przy drzwiach frontowych.

Po ślubie z Bobbie Luke oddał swoje dotychczasowe mieszkanie bratu i młode małżeństwo zamieszkało w uroczym, świeżo wyremontowanym wiejskim domu na przedmieściach Chester, niedaleko drogi wylotowej prowadzącej do Haslewich.

Już za progiem Griff zauważył nowego mercedesa zaparkowanego przed garażem i zwrócił się do Luke'a z żartobliwą uwagą:

- Musiałeś dobrze przysiąc fałdów, staruszk, skoro stać cię było na kupno takiego wozu.

- Żebyś wiedział - przytaknął Luke ze śmiechem. - Zważywszy, jak niewygodne są ławki sądowe, naprawdę nieźle przysiadłem fałdów.

Griff pokiwał jeszcze przyjaciółom i ruszył w stronę swojego samochodu.

Ledwie weszli do domu i zamknęli za sobą drzwi, Bobbie wręcz rzuciła się na Luke'a, tak pilno jej było podzielić się swoimi obserwacjami.

- Wdziałeś, jaką minę miał Griff, kiedy mówił o Maddy? Wygląda na to, że nasz

przyjaciół zakochał się.

- Słucham? - Luke pokręcił głową ze śmiechem. - Wykluczone, Maddy nie jest w jego typie. Griff to facet, który nie chce się angażować emocjonalnie, nie chce się uzależniać. Uciekłby, gdzie pieprz rośnie, na widok kobiety, która pragnie czułości, a Maddy bardzo jej potrzebuje.

Ciągle kręcąc głową, Luke nachylił się, objął żonę i zbliżył usta do jej warg.

Dzwonek telefonu obudził Maddy z pierwszego niespokojnego snu. Jeszcze zaspana, sięgnęła po słuchawkę.

- Maddy, to ja, Griff.

Na dźwięk jego głosu ocknęła się w jednej chwili. Z policzkami zaróżowionymi z podniecenia, rozradowana usiadła na łóżku i podciągnęła kołdrę pod brodę, chociaż wiedziała, że Griff nie może jej przecież widzieć.

- Wróciłem właśnie z kolacji u Luke'a i Bobbie. Ogarnęła mnie taka zazdrość na myśl, że on spędzi noc u boku ukochanej kobiety, że nie mogłem się oprzeć i wykręciłem twój numer.

Maddy drżała tak bardzo, że z trudem mogła utrzymać słuchawkę w dłoni.

- Boże, nie mogę uwierzyć, że przytrafiło mi się coś podobnego - jęknął Griff. - Powiedz, że ty też czujesz to samo? Maddy, powiedz, proszę, bo inaczej pomyślę, że kompletnie zwariowałem.

- Griff... - zaczęła, chcąc zaprotestować.

Zamierzała powiedzieć, że nie powinien opowiadać takich rzeczy, przypomnieć mu, że jest przecież mężatką, matką, że to niemożliwe, by pokochał taką nudną, banalną kobietę jak ona.

Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. W łagodnej poświacie księżyca, która zalewała sypialnię, widziała swoje odbicie w lustrze toaletki. Być może sprawiały to wpadające przez okno srebrzyste promienie, ale miała wrażenie, że jej oczy błyszczą jakimś niezwykłym światłem, skóra lśni tajemniczo, nowa fryzura podkreśla delikatne rysy twarzy. Tak, wyglądała jak kobieta, która niecierpliwie oczekuje kochanka, i wiedziała, że on pragnie jej równie mocno, jak ona jego.

- Powiedz, tak - prosił schrypniętym, nabrzmiętym emocjami głosem.

- Och, Griff - odparła, uśmiechając się do siebie i zwijając na palcu sznur telefonu.

- Zadzwoń do ciebie jutro - obiecał. - A tymczasem śnij o mnie, proszę.

Maddy po odłożeniu słuchawki długo jeszcze siedziała na łóżku zapatrzona w przestrzeń i rozmyślała o sekrecie odnalezionej właśnie miłości.

Griff nie mógł usnąć. Czuł niemal krążącą w żyłach adrenalinę, czuł zapach rozbudzonych hormonów, przyspieszone bicie serca i przyprawiające o dreszcz, pełne tęsknoty pożądanie.

Z ciężkim westchnieniem odrzucił kołdrę, wstał z łóżka, podszedł do okna i zapatrzył się w rozgwieżdżone nocne niebo.

Wiedział, że zachowuje się jak szaleniec. Maddy nie była kobietą dla niego, nie mógł wybrać gorzej, na domiar wszystkiego miała męża.

Odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy: jabłko Adama poruszało się nerwowo, wyraźnie widoczne pod napiętą skórą. Przełknął z wysiłkiem ślinę, próbując opanować targające nim emocje.

Maddy była taka, jaka była. Taką pokochał i nigdy już nie zamierzał przestać kochać. Cały czas miał jej obraz przed oczami: jej drobną sylwetkę, czujne, nieco smutne spojrzenie, delikatne rysy twarzy, ciemne włosy. Jęknął i uniósł powieki.

Boże, dałby wszystko, żeby teraz była tutaj, obok niego, w jego sypialni, na wyciągnięcie ręki. Poczul gęsią skórkę na myśl, jak by się z nią kochał, jak by pokazywał jej wszystkie możliwe...

Wyobrażał sobie, że ją całuje, rozchyła językiem jej miękkie, nieśmiałe usta, przełamuje powoli barierę wstydu. Opierałaby się, na pewno byłaby nieco zaszokowana, ale w jej oczach mógłby dojrzeć te same uczucia, tą samą miłość, która ogarnęła tak nieoczekiwanie jego samego.

Trzymałby ją w ramionach, tulił do siebie, całował, a ona oddawałaby pieśczoły zrazu z wahaniem, jeszcze pełna niepewności, lekko spłoniona, aż w końcu zrozumiałaby, Griff dałby jej do zrozumienia, jak bardzo pragnie, by go dotykała. Wtedy jej palce zaczęłyby przesuwać się po jego skórze z większą śmiałością, w coraz bardziej namiętnej pieśczoły. On podniósłby po chwili jej dłoń do ust...

Griff ponownie jęknął, tak bolesne było narastające pożądanie i tęsknota.

Miał przed oczami nagie ciało Maddy. On też był nagi, jej jedwabista skóra połyskiwała lekko w zalewającej łóżko poświacie księżyca. Maddy... ciepła, kobieca Maddy, stworzona po to, by pieściły ją dłonie mężczyzny. Wpatrywałaby się w Griffa tymi swoimi czujnymi, ciemnymi oczami, drząc od zmysłowej rozkoszy.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

Max parsknął śmiechem, widząc niezdarny strzał Jacka. Piłka, zamiast trafić w dołek, zakreśliła szeroki łuk i potoczyła się w zarośla.

- Nie odziedziczyłeś talentu po Davidzie, to pewne. On świetnie gra w golfa, potrafi zaliczyć dziewięć dołków z rzędu, a ty jesteś takim samym patałachem jak Jon - rzucił z kpiną w głosie.

Jack miał już dosyć ciągłych docinków kuzyna: spocony, czerwony ze złości odrzucił swój kij daleko w trawę.

- Myślałem, że jesteśmy na Jamajce po to, żeby szukać mojego ojca, a nie zabawiać się grą w golfa - prychnął wściekle.

- Słyszałeś chyba, co powiedzieli faceci z agencji detektywistycznej, w której byliśmy - odparł Max niespeszony uwagą chłopca. - Jamajka to specyficzna wyspa, która żyje własnym życiem i rządzi się własnymi prawami. Tutaj, jeśli człowiek chce zachować prywatność, to jego rzecz, inni to rozumieją, nikt o nic go nie pyta, nie wtrąca się do jego spraw.

- Nie kiwnąłeś nawet palcem, żeby znaleźć Davida. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to w ogóle nie zamierzałeś go szukać - mówił Jack porywczo. - Tak naprawdę to myślę, że ty...

Max przyskoczył do chłopca i chwycił go za ramię z taką siłą, że zdumiony nieoczekiwanym atakiem Jack krzyknął głośno i wykrzywił twarz z bólu, spoglądając z niedowierzaniem w pełne jadu oczy kuzyna.

- Na twoim miejscu nie marnowałbym czasu na myślenie, Jack, nie masz tego w genach - rzucił Max brutalnym tonem. - Dość popatrzeć na twoją matkę.

Jack, przed chwilą jeszcze czerwony, zrobił się blady jak płótno. Gdyby miał być szczery wobec siebie, musiałby przyznać, iż gorzko żałował wyprawy na Jamajkę, i to nie tylko ze względu na Maxa. Otóż dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo tęskni za stryjem i ciotką, a jeszcze bardziej za Jossem. Każdego ranka, kiedy otwierał oczy i uświadamiał sobie, że na łóżku obok nie śpi Joss, lecz jego starszy brat, żałował rozpaczliwie, że nie jest w Anglii razem z rodziną. Ze łzami w oczach wyrwał ramię z bolesnego uścisku.

Ojciec był jego rodziną, dlatego Jack zdecydował się go szukać, ale tak naprawdę brakowało mu nie Davida, lecz mądrości malującej się w spojrzeniu stryja Jona, matczynej dobroci i wyrozumiałości ciotki Jenny, przyjaźni Jossa, kolegów, codziennych rozrywek i domu.

W głębi duszy perspektywa spotkania z ojcem przepełniała go paniką i ten wewnętrzny lęk znajdował ujście w złości wyładowywanej na Maksie, który ani myślał wywiązywać się z obietnic składanych przed wyjazdem dziadkowi; Jack znalazł się w paradoksalnej sytuacji.

O ile wiedział, to poza jedną jedyną wizytą w małej agencji detektywistycznej w śródmieściu Kingston, Max nie poczynił żadnych innych kroków, które pozwoliłyby natrafić na ślad Davida.

Byli już na Jamajce od kilku tygodni, a Max większość czasu spędzał na basenie bądź na prywatnym polu golfowym położonym w pobliżu kompleksu hotelowego, w którym mieszkali.

Rozeźlony Jack podniósł z trawy swój porzucony kij i nie zwracając uwagi na Maxa, ruszył spieszenie w kierunku pawilonów klubowych; po drodze ukradkiem ocierał łzy złości napływające mu do oczu. Nigdy nie darzył kuzyna szczególną sympatią, ale teraz wręcz go nienawidził, jeśli nie z innych powodów, to choćby dlatego, że ten odnosił się do niego z nieskrywaną pogardą. Chociażby ta jego jadowita uwaga na temat matki.

Zatrzymał się na chwilę, zamknął oczy. Mimo iż starał się ze wszystkich sił, nie potrafił wyrzucić z pamięci bolesnych wspomnień. Obrazy matki nie przestawały go nawiedzać. Matka... piękna, wiotka, roześmiana, zalotna, zawsze ślicznie ubrana, jej jedwabiste włosy, jej twarz, zapach.

Poczuł niemiły ucisk w żołądku, oczami wyobraźni widział teraz zupełnie inny wizerunek matki: włosy sztywne, zlepione resztkami jedzenia, twarz opuchnięta, ciało wygięte, targane nudnościami... W powietrzu unosi się ciężki odór wymiotów, a Tiggy płacze i błaga go, żeby nikomu nic nie mówił, żeby zgodził się być jej cichym współnikiem i pomógł jej ukryć wstydliwą prawdę.

Takie sceny zdarzały się, zanim do domu nie wróciła Olivia i nie odkryła, co się dzieje. Ciągnęło się to tygodniami, miesiącami, latami. Jack nie pamiętał nawet, jak długo trwała choroba matki, ale miał wrażenie, że od zawsze.

Litował się nad Tiggy i kochał ją, wstydził się za nią, że jest taka słaba, czuł gniew do ojca, że nie uczynił nic, by ją powstrzymać, pomóc jej, otoczyć opieką. Dotąd nie potrafił uwolnić się od bolesnych wspomnień.

Otworzył oczy, odwrócił głowę. W oddali, nad plażą rysowały się bryły kompleksu wypoczynkowego, gdzie mieszkał z Maxem. Nagle zapragnął się tam znaleźć, paść na łóżko i ukryć głowę w poduszce. Gdyby zamiast czekać na mikrobus przed klubem golfowym, poszedł na skróty, brzegiem morza, przez plażę publiczną, w ciągu kilku minut dotarłby do hotelu. Kij mógłby oddać później.

Właściwie nie powinien decydować się na spacer plażą, nie tyle ze względu na pożyczony kij, który powinien zwrócić w klubie, ile z racji rozmieszczonych wszędzie tabliczek, ostrzegających turystów, by nie ryzykowali wędrówek po okolicy i pod żadnym pozorem nie wypuszczali się samotnie poza strzeżony teren ośrodka.

Letnicy, którzy ignorowali ostrzeżenia, padali bardzo często ofiarą złodziei, kradzieże były na porządku dziennym, a grasujące na plażach publicznych gangi młodocianych rabusiów traktowały kieszenie nierozważnych turystów jako naturalne źródło dochodów.

Jack wzruszył ramionami. Nie mógł stanowić łakomego celu dla napastników, nie był bogaty, nie miał przy sobie drogiej kamery, ubranie, które nosił, też nie przedstawiało wielkiej wartości, a na takie właśnie rzeczy polowali młodzi przestępcy, z którymi na próżno walczyła policja. Jednym słowem uznał, że nikt go nie napadnie w jasny dzień, bez żadnych powodów i perspektywy jakiegokolwiek zysku.

Max z chmurną miną rozejrzał się po polu golfowym. Ucieczka Jacka w pierwszej chwili rozbawiła go, tym bardziej że dojrzał zapowiedź łez w oczach chłopca. Teraz nigdzie nie mógł go zobaczyć, szczeniak znikł, kto wie, czy nie pobiegł do hotelu, by zadzwonić do domu i wylać przed stryjem bądź ciotką swoje żale, a to w żadnym razie nie byłoby Maxowi na rękę.

Obecność Jacka coraz bardziej go irytowała, bo w hotelu było kilka interesujących i bogatych kobiet, które już próbowały go zaczepiać, niby to pytając, czy towarzyszący mu chłopiec jest jego synem, ale w gruncie rzeczy jasno dając do zrozumienia, jakie kierują nimi intencje.

Z jedną z nich umówił się właśnie na popołudnie. Skrzywił się do własnych myśli: nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia, że wyprowadził smarkacza z równowagi rozmyślnie jadowitymi komentarzami na temat jego matki, ale Jack odszedł z kijem golfowym, za który Max zapłacił słony depozyt i który musiałby przepaść w razie niezwrócenia całego kompletu do gry.

Gniewnym gestem włożył własny kij do torby i ruszył na poszukiwanie krnąbrnego chłopaka. Jack nie mógł odejść daleko, znikł dopiero przed chwilą. Zapewne pęta się gdzieś w pobliżu.

Max szedł przez pole, w każdej chwili spodziewając się dojrzeć kuzynka zmierzającego w stronę pawilonu klubowego, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać znajomej sylwetki.

Odwrocił głowę w kierunku plaży. Eleanor Smythson, kobieta, z którą się umówił na wieczór, wspomniała, że jacht jej męża kotwiczy przy jednej z najbardziej luksusowych łodzi na wyspie.

Nagle jego uwagę przyciągnęła samotna postać zmierzająca publiczną plażą w stronę hotelu. Nie mógł się mylić, z daleka potrafił rozpoznać chód i charakterystyczne nachylenie ramion chudego wyrostka; chłopak szedł szybko, w rękę trzymał nieszczęsny kij, spuścił głowę, obojętny na otoczenie.

Max przyłożył zwinięte dłonie do ust i krzyknął na smarkacza, ale Jack albo nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy wołania.

Co też ten głupek znowu kombinuje, pomyślał ze złością, kiedy sylwetka chłopca zniknęła wśród palm w łuku wcinającej się w tym miejscu głęboko w ląd niewielkiej zatoczki.

Bez zastanowienia ruszył za Jackiem.

Jack poczuł, że wpadł w tarapaty, kiedy znalazł się na odcinku plaży niewidocznym ani z pola golfowego, ani z hotelu. Czterech młodych ludzi, trzech ciemnoskórych i jeden biały, podniosło się z grajdołka, w którym najwyraźniej czekali na ofiarę. Zrobili to tak cicho i tak szybko, że Jack nie zdążył nawet pomyśleć o odwrocie, gdy napastnicy już go otoczyli.

Cuchnęli narkotykami i pomadą, której używali do układania rastafariańskich dredów, w ich martwych oczach nie było nic ludzkiego. Jeden z nich wyciągnął dłoń, zerwał Jackowi zegarek, zerknął na nędzną zdobycz, po czym odrzucił ją z pogardą.

- Ma pecha facet, że to nie rolex - skrzywił się, spoglądając na kompanów, gdy już drugi z napastników, niby na dany sygnał, szarpnął Jacka za ramię jeszcze boleśniej niż Max przed chwilą.

- Gdzie masz kasę, frajerze? Mów no szybko i dawaj portfel, a jak nie, to pożałujesz, żeś się w ogóle urodził - warknął agresywnie zachowujący się napastnik.

Mimo że Jack trzymał w rękę kij golfowy, nie potrafił go użyć, wpojone przez stryja Jona zasady sprawiały, iż myśl, że mógłby uderzyć człowieka, nawet w samoobronie, była mu równie obca i niezwykła, jak to, co się właśnie działo.

Próbował wyjaśniać ugodowym, spokojnym tonem, że nie ma pieniędzy, jeszcze usiłował przemówić napastnikom do rozumu, ale w odpowiedzi otrzymał bolesny kopniak w splot słoneczny i padł jak długi na piasek.

- Zabijemy tego białego wieprzka - usłyszał rehotliwy głos chłopaka, który

przytrzymał go, kiedy pozostali ściągnęli mu kurtkę z pleców, nie reagując na żadne rozsądne argumenty.

Max zobaczył ich, zanim oni go dostrzegli, i odezwał się w nim jakiś pierwotny, atawistyczny instynkt. I on przecież był wychowywany przez Jona Crightona, rozważnego, łagodnego Jona, który, ku własnej rozpaczy, nie potrafił zaszcześcić starszemu synowi żadnej z wyznawanych przez siebie wartości.

Max był ryzykantem, lubił grę, lubił potyczki i zwady, przyjmował wszystkie wyzwania, jakie niesło życie, i pakował się w każde niebezpieczeństwo głową do przodu.

Kiedy zobaczył, jak czwórka opryszków kopie i okłada razami leżącego na piasku kuzyna, wyobraził sobie nagle, że to jego mały, bezbronny synek został napadnięty. To Leo leżał na piasku, to Leo krzyczał z bólu, nie mając siły bronić się przed napaścią oszołomionych narkotykami, szukających łatwego łupu wyrostków.

Dojrzał kij golfowy Jacka, odrzucony na bok z pogardą przez napastników, i skoczył miękko niby kot w jego stronę, ale w tej samej chwili został zauważony przez jednego z czterech bandytów.

Chłopak wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiechu, błyskawicznym ruchem wyciągnął zza pasa długi, ostry nóż, rzucił się w stronę intruza, przytrzymał stopą trzonek kija i podsunął Maxowi stalowe ostrze pod nos.

- Zgubiłeś tu coś, frajerze? - zagadnął z kpinią w głosie. - To się nachyl i sobie weź.

Max, podobnie jak Jack, natychmiast zorientował się, że chłopak, jedyny biały z czwórki, ale podobnie jak jego ciemni kompani noszący włosy skręcone w dredy, jest na haju narkotykowym, i postanowił zaryzykować.

Licząc na zwolniony refleks przeciwnika, nie odrywając oczu od jego twarzy, nachylił się po kij i syknął z bólu, kiedy poczuł, że stalowe ostrze przejechało mu po palcach. Rozjuszony bandyta ciął już teraz raz za razem, ciosy noża spadały na pierś bezbronnej ofiary, na ramiona, na uda, krew zabarwiła piasek na czerwono i Max zrozumiał, że tamten chce go zabić, że rozkoszuje się, upaja myślą o mordzie.

- Maddy wygląda ostatnio na taką szczęśliwą - powiedział Jon, spoglądając w ślad za odjeżdżającą synową i wnukami.

Leo i Emma spędzili cały dzień u dziadków, ponieważ Maddy była z Benem na badaniach kontrolnych w szpitalu. Jon proponował wprawdzie, że sam pojedzie ze staruszką, ale Maddy przekonała go, że to niedobry pomysł.



- Ben czułby się upokorzony - tłumaczyła łagodnie. - Nie znosi okazywać słabości przy mężczyznach. Wiesz, jak złości go, że jest niedołączony, staje się wtedy zupełnie nie do wytrzymania, zżyma się, zrzędzi i kłóci ze wszystkimi dookoła.

- Jesteś aniołem, Maddy - powiedział Jon, ale Maddy, która nieraz już słyszała to określenie z ust rodziny, pokręciła głową z błyskiem w oku.

- Tylko od czasu do czasu - skorygowała słowa teścia.

- Tak, rzeczywiście wydaje się szczęśliwa - powiedziała Jenny, nawiązując do uwagi poczynionej przez męża, ale w jej tonie zabrzmiała jakaś nuta, która zastanowiła Jona.

- Coś nie w porządku? - zagadnął, odgadując zaniepokojenie żony.

- Tak i nie - odparła Jenny. - Cieszy mnie, że Maddy jest ostatnio znacznie pogodniejsza, ale... - Przerwała na chwilę, po czym dodała z troską w głosie: - Z tego, co mówiła mi niedawno Bobbie, wywnioskowałam, że powodem jej dobrego nastroju może być Griff Owen.

- Griff Owen, ten doradca finansowy? - zasępił się Jon. - Co właściwie masz na myśli, Jenny, mówiąc „powodem”? Przyznasz, że to dość enigmatyczne określenie.

- Nie przypuszczam, żeby mieli romans, w każdym razie jeszcze nie, ale Bobbie twierdzi, że Griff zakochał się w Maddy po uszy. Wiesz, że on od lat przyjaźni się z Lukiem, często bywa u nich w domu i zanudza Bobbie, żeby zaprosiła Maddy na kolację, kiedy on tam będzie.

Widząc zdziwione spojrzenie męża, Jenny wyjaśniała dalej:

- Z opowiadań Bobbie wynika, że Griff bez przerwy mówi o Maddy. Sam widzisz, że dziewczyna ostatnio rozkwitła, wreszcie zaczęła się uśmiechać. Oczywiście chciałabym bardzo, żeby była szczęśliwa, ale... Ona jest taka bezbronna, Jon, tak łatwo ją zranić. Martwię się o nią bardzo. Po tym, w jaki sposób traktował ją Max, inny mężczyzna, nawet gdyby okazał się czuły i troskliwy...

- Rozmawiałaś z Maddy na ten temat? - zapytał Jon cicho.

Jenny pokręciła głową.

- Nie. Jakżeby mogła? W końcu Max...

Jon podszedł do żony, objął ją czułym gestem i uśmiechnął się.

- Rozumiem, co masz na myśli, ale Max nigdy nie był dobrym mężem i musimy to sobie jasno powiedzieć, mimo że jest naszym synem. Maddy zasługuje na szczęście, Jen, tak jak dzieci zasługują na to, żeby wychowywać się w szczęśliwym, pełnym miłości domu. Jeśli jest mężczyzna, który potrafi dać miłość i jej, i naszym wnukom, a Maddy potrafi go pokochać, to pod żadnym pozorem nie powinniśmy się wtrącać.

- Nie, oczywiście że nie - obruszyła się Jenny i z ciężkim westchnieniem oparła głowę o pierś męża. - Rzecz w tym, że martwię się o nią, Jon. Co my w końcu wiemy o tym człowieku? Czy mamy jakąkolwiek gwarancję, że jej nie zrani?

- Aha i to twoje macierzyńskie uczucia przyczyniają ci tyle strapienia, tak? - zagadnął Jon z łagodną kpinią w głosie. - Powinienem był wiedzieć. Jeśli to cię tak martwi, to nic prostszego, możemy postarać się poznać tego pana trochę lepiej, tym bardziej że zalicza się do przyjaciół Bobbie i Luke'a.

- Tak bardzo bym chciała, żeby wszystko ułożyło się inaczej i żeby Max...

- Max jest głupcem - burknął Jon, całując żonę w czoło. - Nikt bardziej niż Maddy nie zasługuje na odrobinę szczęścia.

- Mamusiu, czy wujek Griff przyjedzie dzisiaj wieczorem? - niecierpliwie dopytywał się Leo, gdy całą trójką wracali do domu.

Pytanie synka wywołało rumieniec na policzkach Maddy.

- Nie, chyba nie - odparła zdławionym głosem, szczęśliwa, że może bodaj myśleć o Griffie, słyszeć jego imię.

Tak, czuła się szczęśliwa, a jednocześnie nie mogła się uwolnić od wyrzutów sumienia, obwinała się za to, co czuje, chociaż nie zrobiła dotąd niczego, co mogłaby sobie wyrzucać. Nie została kochanką Griffa, na razie jeszcze nie...

Tego wieczoru była umówiona z nim na kolację w Chester. Zamierzała zostawić Leo i Emmę u Bobbie i Luke'a, u nich też miała spędzić dzisiejszą noc.

Griff poznał dzieci z własnej inicjatywy. Któregoś popołudnia, kiedy odbierała właśnie obydwójce z przedszkola, pojawił się niespodziewanie w Haslewich.

Z lekką tremą dokonała wówczas wzajemnej prezentacji. Szczególnie lękała się reakcji Leo, ale chłopiec, tak wrogo nastawiony do własnego ojca, ku jej zaskoczeniu i wielkiej radości, natychmiast przylgnął do Griffa.

- Widzę, że Griff zupełnie oszalał na twoim punkcie - żartobliwie powiedziała Bobbie kilka dni wcześniej.

Maddy, oczywiście, próbowała udawać, że nie wie, o czym mowa, ale próżny był to wysiłek!

Przygotowując się do wieczornego spotkania z Griffem, podniecona, podekscytowana jak każda kobieta szykująca się do sam na sam z ukochanym mężczyzną, Maddy, co charakterystyczne, nie potrafiła wzbudzić w sobie najmniejszych skrępowań wobec Maxa.

Być może działo się tak dlatego, że tak naprawdę nigdy nie czuła się mężatką, myślała, analizując trzeźwo swoje reakcje. Z Maxem nie łączyło jej przecież żadne

dobre i ciepłe wspomnienie, żadne więzy uczuciowe, żadna wspólnota.

Owszem, sypiali ze sobą, ale nigdy nie byli sobie bliscy, nigdy nie zwierali się sobie nawzajem ze swoich myśli, swoich planów, nadziei, radości i smutków.

Do Griffa początkowo odnosiła się z lekką nieufnością i dystansem. Pochlebiało jej zainteresowanie, jakim ją obdarzał, ale nie traktowała tego zainteresowania zbyt poważnie. W końcu Griff był przystojnym, zadowolonym z życia mężczyzną, podczas gdy ona...

Wszystko zmieniło się przed kilkoma dniami, kiedy pocałowali się po raz pierwszy. Poczowała wtedy drżenie jego ciała, zobaczyła bolesne pożądanie w jego oczach, zrozumiała, jak silne targają nim emocje, a gdy powiedział jej, że nigdy nie czuł do żadnej kobiety tego, co czuje do niej, wiedziała, że mówi prawdę i że chociaż wydawało się jej to nieprawdopodobne, musiał ją pokochać.

Dotąd nie zastanawiała się nad przyszłością. Nie było po temu czasu ani potrzeby. Przekonana, że los dał jej więcej, niż kiedykolwiek mogła oczekiwać, żyła dniem terażniejszym, cieszyła się każdą chwilą.

Ciągle nie miała odwagi uczynić decydującego kroku, oddać się całkowicie uczuciu i przekroczyć Rubikon, zapewne dlatego, iż wiedziała, że decyzja związania się z Griffem przekreśliłaby na zawsze, w sposób jednoznaczny i nieodwracalny, jej związek z Maxem.

Griff zdawał się odgadywać jej myśli, nie nalegał, niczego od niej nie żądał, do niczego nie przynaglał, chociaż czuła, jak bardzo jej pragnie, ile wysiłku kosztuje go powściągnięcie własnej namiętności.

Któregoś dnia na pewno będą razem, ale jeszcze nie dzisiaj wieczoru. Dzisiaj mieli po prostu spotkać się na kolacji, porozmawiać, spędzić wspólnie kilka godzin, a potem...

- Ubierz się wytwornie - prosił przez telefon. - Dzisiaj mamy święto.

- Jakie święto? - zdziwiła się rozbawiona.

- Święto życia - odparł z powagą. - Święto życia, święto miłości, twoje święto.

Aby spełnić prośbę, musiała kupić nową suknię. W garderobie dawnej, zaniedbanej Maddy nie znalazłaby nic, w czym mogłaby „świętować”. Kiedy pojechały z Tullah po zakupy do Londynu, skoncentrowały się na strojach „służbowych”, stosownych dla bizneswoman.

Nawet gdyby miała w szafie coś odpowiedniego, to w ostatnich miesiącach tak bardzo zeszczuplała, że niezależnie od wszystkiego musiałyby postarać się o nową kreację.

Znalazła w eleganckim butik w Chester suknię, która jej się spodobała:

z połyskliwego dżerseju, prostą, gładką, ale bardzo seksowną.

Dobre samopoczucie było doznaniem dla niej tak nowym, że uśmiechnęła się do własnego odbicia w lustrze, wpięła jeszcze małe, złote kolczyki w uszy i nucąc cicho, zeszła na dół lekkim krokiem.

Jutro Luke i Bobbie mieli zabrać ją i Griffa do Ericsonów. Maddy zdążyła już przygotować listę osób, które powinny zostać zaproszone na spektakl dobroczynny, sporządziła także wykaz firm, do których zamierzała zwrócić się z prośbą o sponsorowanie nowych mieszkań budowanych przez fundację.

Minęło zaledwie kilka krótkich tygodni, od chwili kiedy Max zawiadomił ją, że wyjeżdża na Jamajkę, a ona miała wrażenie, że tamte wydarzenia należą do innej epoki, do innego świata, tak bardzo zatarło się w pamięci ich wspomnienie.

Po południu, gdy pojechała do teściów po dzieci, Jon zauważył z ciepłym uśmiechem:

- Dobrze widzieć cię wreszcie szczęśliwą.

- Dobrze jest czuć się wreszcie szczęśliwą, tato - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Jeszcze tylko kropla perfum i była gotowa do wyjścia. Leo obserwował z zainteresowaniem, jak Maddy krząta się, sprawdzając, czy o niczym nie zapomniała.

- Lubię, kiedy się dużo uśmiechasz, mamusiu - oświadczył z powagą.

Mały bardzo się zmienił od chwili pojawienia się Griffa w życiu rodziny. Maddy raptem posmutniała. Gdyby znajomość z Griffem nie spełniła jej nadziei, jakoś zniosłaby ból zawodu, ale byłoby jej bardzo ciężko ze względu na dzieci, szczególnie na Leo.

Chłopiec zdążył przywiązać się do wujka, wpatrywał się w niego jak w obraz, usiłował we wszystkim naśladować, jednym słowem zachowywał się tak, jakby znalazł w nim ojca, którym Max nigdy, prawdę powiedziawszy, nie umiał być.

Jedyną osobą, której nie w smak były wizyty Griffa, okazał się oczywiście, jak łatwo zgadnąć, Ben. Zawsze z uporem trzymający stronę Maxa, jak zwykle kostyczny i zaczepny, zapytał Griffa, ledwie zdążył go poznać, dlaczego on, trzydziestokilkuletni mężczyzna, nie ma żony ani dzieci.

- Widocznie nie spotkałem odpowiedniej kobiety - odparł Griff spokojnie, ignorując uszczypliwość starszego pana.

Leo nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ruszą w drogę, szczęśliwy, bo Griff obiecał zabrać go na przejażdżkę po rzece.

Upewniwszy się po raz ostatni, że Ben ma wszystko, czego mu trzeba, Maddy

wpakowała dzieci do samochodu i uruchomiła silnik.

- Gdyby Leo...

- Dobrze, dobrze, o nic się nie martw. Wiem, będziesz w hotelu Grosvenor, w razie czego zadzwonię tam i wyciągnę cię z kolacji - śmiała się Bobbie, uspokajając zatroskaną po matczynemu Maddy. - Nie pamiętam, o której Griff ma przyjechać po ciebie?

- Około wpół do dziewiątej.

- Dochodzi dopiero ósma, mamy mnóstwo czasu, zdążysz jeszcze wypić kieliszek wina przed wyjściem z domu. To powinno uśmierzyć twoje matczyne niepokoje - pokpiwała dobrodusznie Bobbie, patrząc, jak Maddy całuje dzieci na dobranoc.

Griff z chmurną miną spoglądał na swoje odbicie w lustrze. Zbyt wcześnie, żeby jechać po Maddy. Gdyby nie to, że prowadził, mógłby zrobić sobie drinka. Tak wiele zależało od dzisiejszego wieczoru.

- Obiad, święto... - Tak powiedział przez telefon i rzeczywiście miało to być święto, tyle że nie uprzedził Maddy, o czym chciał z nią rozmawiać.

Zamknął oczy i jej obraz natychmiast pojawił się pod powiekami, tak wierny, tak realny, że Griff słyszał niemal jej cichy śmiech, czuł zapach jej skóry, jej oddech. Potrząsnął głową, jakby chciał się uwolnić od bolesnej tęsknoty.

Gdyby była teraz z nim... gdyby była tutaj, na pewno nie dotarliby do restauracji. Powątpiewał, czy udałoby się im dotrzeć do drzwi sypialni, o łóżku już nie wspomniawszy. Jęknął cicho. Nie, dzisiaj nie zamierzał rozpraszać naturalnych zahamowań i wątpliwości Maddy, przekonywać jej, że to w jego ramionach, w jego łóżku, w jego miłości znajdzie szczęście i spełnienie. Dzisiaj chciał...

Zanim jeszcze poznał Leo i Emmę, wiedział, jak wiele dla Maddy znaczą dzieci, jak bardzo je kocha i jak ważne miejsce zajmują w jej życiu. Był przygotowany na to, że dzieciaki go odrzucą i nawet poczuł do nich, jeśli miał być szczery, pewne uprzedzenie, szczególnie do Leo.

Maddy tyle opowiadała o synku, że Griff, na podstawie tego, co usłyszał, a reszty mógł się domyślać, stworzył sobie obraz trudnego, bardzo rozpieszczonego i upartego kilkulatka. Nie był przygotowany na jedno: nie przypuszczał, że widok Maddy razem z synkiem i córeczką przepełni go tak gwałtownym, niepohamowanym smutkiem, żalem, tęsknotą za nieosiągalnym.

Jej dzieci, ale nie jego.

Uderzyło go też, że Leo, który, inaczej niż Griff oczekiwał, odniósł się do niego bez najmniejszego śladu wrogości, okazał się dzieckiem wrażliwym i w tej

wrażliwości bezbronny.

Patrzył owego popołudnia na malca i chciało mu się płakać nad widocznym cierpieniem chłopca, jego lękiem, niepewnością.

Głęboko poruszony postanowił zaskarbić sobie powoli zaufanie malca. Maddy, nawet gdyby zdecydowała się z nim związać, nigdy nie zostawiłaby Leo i Emmy. Należała do tych kobiet, które przedkładają szczęście swoich dzieci nad własne.

Dostrzegając niepokój, z jakim obserwowała jego zadzierzgującą się więź z synem, jej lęk, że małemu może stać się krzywda. Dzisiaj wieczorem Griff miał powiedzieć Maddy, że nigdy, ale to nigdy nie skrzywdzi jej córki ani syna, bo poza jej dziećmi nigdy nie będzie miał żadnych innych. W przeciwieństwie do Maxa nie będzie w stanie dać jej dziecka, które byłoby ich wspólnym dzieckiem! Jego dzieckiem!

Dowiedział się o tym przez czysty przypadek. Jego dziewczyna, którą poznał na uniwersytecie i z którą zamierzał się ożenić, kiedy już oboje osiągną względną stabilizację zawodową, wspomniała w rozmowie, że jej starsza siostra właśnie się zaręczyła.

- Bardzo się ucieszyliśmy, ale mama i ojciec zażyczyli sobie, żeby Kate i Alex zrobili badania genetyczne. W naszej rodzinie bardzo dużo osób chorowało na włókniaki i chociaż żadne z nas nie zostało dotknięte tą przypadłością, to jeśli partner albo partnerka będzie mieć ten sam gen, schorzenie się uaktywni. - Tu dziewczyna skrzywiła się. - My też powinniśmy się przebadać. Może jeśli pójdziemy w czwórkę, dostaniemy specjalną zniżkę - zażartowała.

Griff, który myśli zajęte miał czekającą ich wakacyjną wyprawą w Pireneje, zgodził się. Był wtedy nieopierzonym dwudziestoletnim smarkaczem, uważał się za tęgiego chwata, chełpił się zdrowiem i z niejaką pogardą spoglądał na różne fizyczne niedomagania czy ułomności, przekonany, że dotyczą one innych, nigdy jego.

Badanie wypadło dobrze, nie nosił genu odpowiedzialnego za powstawanie włókniaka, niemniej po powrocie z beztroskich wakacji we francuskich Pirenejach zastał w domu list od swojego lekarza, który pilnie wzywał go na rozmowę.

- Słucham, co pan u mnie znalazł? - pytał oszołomiony, gdy lekarz prosił, żeby jednak zechciał usiąść.

Doktor kilka razy przemierzył nerwowym krokiem niewielki gabinet, wreszcie oznajmił, że Griff jest genetycznie obciążony płasawicą Huntingtona, i że tę groźną chorobę odziedziczą jego dzieci, jeśli zdecyduje się je mieć.

- Panu nic nie grozi - tłumaczył cierpliwie. - Pan jest tylko nosicielem, ale dzieci urodzą się z tą odmianą padaczki.

Było to ponad dziesięć lat temu, zanim jeszcze psychoterapia stała się powszechną normą, i Griff sam musiał znaleźć sposób uporania się ze swoim nieszczęściem. Jego rodzice od dawna nie żyli, obydwójce zginęli w katastrofie kolejowej, kiedy był jeszcze małym chłopcem, babcia, która go wychowywała, umarła rok wcześniej.

Pierwsza rzecz, jaką uczynił, to zerwał ze swoją dziewczyną. Wcześniej wielokrotnie rozmawiali o dzieciach i wiedział, jak ważne było dla niej posiadanie rodziny. Zaraz potem poddał się sterylizacji.

Od tamtego czasu unikał angażowania się w poważne związki, które mogłyby prowadzić do małżeństwa i planowania dzieci. Bał się odrzucenia i cierpienia: zbyt boleśnie przeżył rozstanie z ukochaną, która wkrótce potem wyszła za mąż za miłego człowieka, osiadła gdzieś na prowincji i była teraz szczęśliwą matką trójki dzieci.

Istniały oczywiście kobiety, które nie mogły albo nie chciały mieć dzieci, wiedział o tym doskonale, ale choć ktoś mógłby nazwać go męskim szowinistą i człowiekiem staroświeckim, z tego typu kobietą nigdy nie chciałby się związać. Uznał przeto, że trwały związek i miłość nie są dla niego.

Trwał w tym przekonaniu, dopóki nie spotkał Maddy i nie zakochał się w niej od razu, od pierwszego wejrzenia niczym sztubak. Maddy, która miała już dwoje dzieci. Maddy, która, czuł to instynktownie, chciałaby na pewno urodzić jego dziecko.

Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło. Stawał przed trudną decyzją.

Dzisiaj miał powiedzieć Maddy, że to niemożliwe, i wyjaśnić dlaczego.

Spojrzał na zegarek. Była najwyższa pora, by wyjść z domu i jechać po Maddy.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czysty przypadek zrządził, że obydwaj nie zostali zabici. Tak powiedzieli Jackowi policjanci i lekarze, gdy odrętwiały poddawał się zabiegom pielęgniarki, opatrującej mu ranę na głowie.

Napastników wystraszył biegnący plażą sportowiec, gwiazda miejscowej lekkoatletyki, darzony tak powszechnym uwielbieniem, że młodociane rzezimieszki pierzchły na jego widok jak niepyszne, młody człowiek zaś wezwał policję i ambulans.

Jack odzyskał przytomność wkrótce po przywiezieniu do szpitala.

- Mój kuzyn, co z moim kuzynem? - dopytywał się chłopiec niespokojnie.

Widział, jak Max schylał się po odrzucony kij golfowy, gdy on sam leżał na ziemi przytrzymywany przez jednego z bandytów. Widział połyskujące w słońcu stalowe ostrze, krew płynącą z rany Maxa i zaraz potem został ogłuszony potężnym uderzeniem w głowę.

Pytania o stan Maxa, którymi nękał personel szpitala, pozostawały bez odpowiedzi. Natomiast on musiał odpowiadać pielęgniarkom i lekarzom, jak sam się czuje, oraz relacjonować po raz kolejny dociekliwym policjantom z Kingston zajście na plaży.

- Proszę mi powiedzieć, co z moim kuzynem - podjął Jack kolejną próbę, gdy przy jego łóżku pojawił się chirurg, by sprawdzić, jak wygląda rana głowy.

Zadowolony z wyniku oględzin, lekarz posłał uśmiech dyżurującej pielęgniarce i odwrócił się już ku drzwiom.

Jack zauważył niepewne spojrzenia, które wymienili zebrani wokół niego, i serce zaczęło walić mu jak młotem, a całe ciało ogarnęła dziwna słabość.

- Coś się stało, tak? Powiedzcie mi. Powiedzcie zaraz co z Maxem! - zaczął krzyczeć ochrypłym głosem.

Znowu te same niepewne spojrzenia, wymieniane ponad jego głową, i wreszcie głos policjanta:

- Twój kuzyn, chłopcze... Pytasz, jak rozumiem, o pana Crightona?

- Tak, tak. Jestem Jack Crighton, a Max to mój stryjeczny brat.

- Zatrzymaliście się w hotelu Paradise Beach, prawda? - ciągnął policjant, obojętny wobec widocznego niepokoju Jacka.

- Tak, byliśmy...

- Napastnicy zabrali wszystkie osobiste rzeczy, które znaleźli przy ciele twojego



kuzyna. Ty byłeś nieprzytomny, ustalenie waszej tożsamości zabrało nam trochę czasu. Niestety, dopiero niedawno udało się nam potwierdzić dane. Ja...

- Przy ciebie? - przerwał mu ostro Jack. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, z trudem łapał oddech. - Czy to ma znaczyć, że...

- Twój kuzyn żyje, tyle mogę powiedzieć - wtrącił lekarz, widząc, co się dzieje z chłopcem. - Jest na oddziale intensywnej opieki. Obawiam się, że minie sporo czasu, zanim będziemy w stanie określić zakres odniesionych przez niego obrażeń. Jeśli przeżyje... - Lekarz przerwał i pokręcił bezradnie głową. - Stracił mnóstwo krwi, ale zrobiliśmy już transfuzję. Jeśli chodzi o inne obrażenia... - Zamilkł ponownie. - Wygląda na to, że będziemy musieli usunąć mu śledzionę. Został bardzo mocno pobity, co oznacza... - Ponowna brzemienna niepewnością pauza. - Ma też rozległą ranę nogi.

- Czy mógłbym go zobaczyć? - wykrztusił Jack przez ściśnięte gardło, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Nie, jesteś jeszcze za słaby, nie możemy cię ruszać. Obydwaj mieszkacie w Anglii, tam też mieszka wasza rodzina?

- Tak - odparł głucho Jack.

- Zatem trzeba ich poinformować, co zaszło.

- Max nie umrze, prawda? - Ogarnięty paniką Jack domagał się zapewnień, ale lekarz zamiast dodać mu otuchy, pokręcił głową.

- Za wcześnie na jakiegokolwiek rokowania. Na razie żyje. Jeśli chcesz, żebyśmy skontaktowali się z waszą rodziną...

Zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć, Jack skinął potakująco głową. W obecnym stanie nie potrafiłby rozmawiać ze stryjem Jonem czy z ciotką Jenny. W całym swoim dotychczasowym życiu nie był jeszcze tak przerażony jak teraz, nawet wtedy, gdy matka była chora i zniknął ojciec, nawet wówczas, kiedy zaatakowała go grupa wyrostków i poczęła okładać na oślep bezlitosnymi ciosami. Gdyby stryj mógł być teraz przy nim. Jego zawsze spokojny, rozsądny, trzeźwo myślący stryj. On wiedziałby, co robić. Na pewno by wiedział. Jack rozplakał się nagle niczym zagubione dziecko.

- Chłopiec jest jeszcze w szoku - usłyszał słowa lekarza skierowane do inspektora policji, kiedy obaj mężczyźni odeszli na bok. - Czy domyśla się pan może, kim byli sprawcy?

- Nie, ale jeśli ich złapiemy, zostaną oskarżeni o usiłowanie zabójstwa. Ech, ci turyści, kiedy oni wreszcie nauczą się rozumu? Jakie szanse przeżycia ma ten drugi? - zapytał inspektor lekarza, ale stali za daleko i Jack nie był w stanie

usłyszeć odpowiedzi.

Jon i Jenny siedzieli właśnie w kuchni i zastanawiali się, czy będą mieli w tym roku czas, by wyjechać gdzieś na wakacje, a jeśli tak, to gdzie, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

Odebrał Jon. Jenny z jego wyrazu twarzy i tonu głosu natychmiast wywnioskowała, że musiało stać się coś strasznego.

- Był wypadek na Jamajce - oznajmił Jon głucho, odkładając słuchawkę.

- Jack - szepnęła Jenny. - Co mu się stało, na litość boską. Czy on...?

- Nie, to nie Jack, chociaż on też ucierpiał. Chodzi o Maxa.

- Max! - Jenny spoglądała na męża z niedowierzaniem.

Dziwna rzecz, ale zawsze myślała, że jej syn jest niepokonany, że nic go nie może dotknąć i to nie dlatego, że uważała go za nadczłowieka, ale z tej racji, że był tak nieludzki. Nikt nigdy nie przypuszczał, że Maxowi może stać się krzywda, to on przecież był tym, który nieustannie krzywdził innych. Przeszedł ją dreszcz. Dobry Boże, co też za myśli ją nachodzą? Max jest przecież jej dzieckiem, jej synem.

- Co się właściwie stało? - zapytała Jona drżącym głosem.

- Nie umiem ci powiedzieć. Wiem tylko tyle, że Max i Jack zostali napadnięci na plaży. Zostali ciężko pobici, ale Max... Chcą, żebym tam poleciał. Boją się, że... - Jon nie mógł mówić.

Zbyt wstrząśnięty i oszołomiony, by zadawać jakiegokolwiek pytania, słuchał w niemym niedowierzaniu, co mówił mu przedstawiciel szpitala: jego syn Max jest ciężko ranny, leży na oddziale intensywnej opieki w szpitalu w Kingston, lekarze uważają, że...

- Muszę zadzwonić na lotnisko, sprawdzić, jakie mam połączenia.

Jon miał wrażenie, że otacza go gęsta, ciężka maź, jakaś nieprzyjazna siła, która krępuje ruchy, uniemożliwia wszelkie działanie. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał: spiesz się, spiesz się, zanim będzie za późno, ale mięśnie, głos, całe ciało odmawiały posłuszeństwa, nie chcąc poddać się nakazom woli.

- Tak, tak - szepnęła Jenny. - Och, Jon, to niemożliwe, to nie może go spotkać.

Nagle poczuła lodowaty chłód, zaplotła ręce wokół ramion, jakby chciała ukołysać samą siebie w bólu. Raz już straciła dziecko, przeszła przez niewyobrażalne cierpienie, doznała uczucia straszliwej bezradności, klęski. Takiego cierpienia nigdy się nie zapomina.

- Maddy... Trzeba zawiadomić Maddy - przypomniała Jonowi, widząc, że mąż sięga po słuchawkę telefonu. - Pojechała z dziećmi na weekend do Bobbie

i Luke'a. – Przyłożyła dłoń do ust i wykrztusiła łamiącym się głosem: – Och, Jon.

– Maddy, muszę z tobą porozmawiać. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Maddy oderwała spojrzenie od par tańczących na parkiecie, napominając się w duchu, że nie jest już nastolatką, tylko dojrzałą kobietą. Fakt, iż dzisiaj po południu strawiła bez mała godzinę, wyobrażając sobie, jak znajdzie się w ramionach Griffa, jak będą razem wirować po parkiecie hotelu Grosvenor, jak będą poruszać się w tym samym doskonale zgodnym rytmie, oznaczał raczej chwilowy brak dojrzałości i nie powinien być powodem, by spoglądała zazdrosnym wzrokiem na inne pary, poruszające się przy dźwiękach sentymentalnej melodii.

Zapominając o swoich pensjonarskich rojeniach, spojrzała na Griffa; na jego twarzy malowało się napięcie i zdenerwowanie, które mówiły, że miał jej coś naprawdę ważnego do zakomunikowania.

Czekała w milczeniu, aż zacznie mówić. Kątem oka dojrzała, że w kierunku ich stolika zmierza szybkim krokiem szef sali. Oczekiwała, że podejdzie do Griffa, tymczasem on stanął przed nią, skłonił sztywno głowę.

– Pani Crighton, jest telefon do pani. Gdyby zechciała pani odebrać w recepcji – oznajmił cicho i skłonił się ponownie.

Maddy podniosła się bez słowa, zerknęła niepewnie na Griffa, ale on, uprzedzając wszelkie słowa, zerwał się już z krzesła, gotów jej towarzyszyć i służyć wsparciem. Skoro ktoś, ktokolwiek to był, zdecydował się szukać jej w restauracji, mogło to oznaczać tylko jakiś problem w domu, coś złego musiało stać się z dziadkiem albo z dziećmi.

Czując, jak serce tłucze się jej gwałtownie w piersi, przeszła po wyściełanej miękkimi dywanami podłodze do recepcji.

– Może pani odebrać telefon w naszym biurze, tutaj na lewo, proszę. – Uprzejma recepcjonistka wskazała jej właściwe drzwi.

Maddy skinęła głową w podzięcie, weszła do skromnie umeblowanego pomieszczenia i nerwowym ruchem podniosła słuchawkę.

Griff zatrzymał się w progu, gotów w każdej chwili służyć jej pomocą, ale nie narzucając się ze swoją obecnością.

– To ty, Maddy? Mówi Jenny.

Na dźwięk dziwnie zmienionego, przepełnionego lękiem głosu teściowej, który zazwyczaj brzmiał tak ciepło i spokojnie, Maddy poczuła dławiący ucisk w gardle. Wyobraziła sobie Jenny stojącą w swojej przestronnej, wygodnej kuchni i ściskającą w dłoni słuchawkę.

- Tak, tak, to ja. Czy stało się coś złego? Chodzi o dziadka? - domyślała się Maddy.

- Nie, nie o dziadka.

Teraz w głosie Jenny wyraźnie dało się słyszeć łzy. Maddy już miała pytać o dzieci, gdy usłyszała z trudem wymawiane słowa:

- Jack i... i Max. Zdarzył się wypadek. Och, Maddy - szlochała Jenny. - Max jest w bardzo ciężkim stanie, lekarze nie wiedzą, nie potrafią na razie nic powiedzieć. Jon zarezerwował już bilet na najbliższy samolot z Manchesteru na Jamajkę. Wylatuje za kilka godzin. Maddy...

- W porządku, Jenny, już dobrze, uspokój się. - Maddy słyszała własny, zmieniony głos. - Natychmiast wracam do domu.

Powoli odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Griffa.

- Chodzi o Maxa - powiedziała spokojnie. - Miał wypadek. Nie wiem nic więcej. I Max, i Jack są ranni, ale Max...

Zamilkła na moment i mówiła dalej, opanowanym, cichym głosem, tak przy tym obcym, jakby należał do kogoś innego, pomyślała zdziwiona, że potrafi się kontrolować do tego stopnia:

- Jon jeszcze dzisiaj w nocy leci na Jamajkę. Ja... - Podniosła wzrok i spojrzała w twarz Griffa po raz pierwszy od chwili, kiedy odebrała telefon. - Z głosu Jenny mogę się domyślać, że mnie oczekują. Muszę wracać do domu, Griff. Jenny będzie mnie teraz potrzebowała, nie powinna być sama.

Griff wiedział bez słów, że wiadomość, którą Maddy przed chwilą otrzymała, zmienia wszystko między nimi. W jednej dramatycznej chwili prysło to, co ich łączyło, co mogło i miało łączyć. Trzeba było zapomnieć o nadziejach, planach, bo Maddy była teraz przede wszystkim żoną Maxa, w swoich decyzjach w najmniejszym stopniu nie kierowała się hipokryzją, lecz oczywistym dla niej, tak głęboko wpojonym, że naturalnym odruchem, który kazał jej trwać tam, gdzie była potrzebna.

Ale on też jej potrzebował. Z goryczą myślał o tym, co by się stało, gdyby, tak jak wcześniej zamierzał, powiedział jej, zanim jeszcze odebrała telefon z domu, że nie może mieć dzieci, gdyby wyjaśnił przyczyny, dla których nigdy nie będzie miał dzieci. Czy walczyliby w niej wtedy o lepsze współczucie dla niego i dla męża, poczucie odpowiedzialności wobec przyjaciela i wobec rodziny Crightonów? Na pozór zdrowy, czuł się przecież kaleką, mógł być dla Maddy takim samym ciężarem, jakim kto wie czy nie miał się okazać Max. Nie chciał przecież zerować na jej współczuciu, poczuciu obowiązku.

- Co zamierzasz? - zapytał. - Chcesz jechać do Bobbie i Luke'a po dzieci?

Maddy pokręciła głową.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Przede wszystkim muszę zająć się Jenny.

- Odwiozę cię do Haslewich - zaofiarował się, ale Maddy ponownie pokręciła głową.

- Dziękuję. - Kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, położyła mu dłoń na ramieniu przepaszającym gestem. - To nie byłoby w porządku. Nie w tej sytuacji. Zostawię Leo i Emmę u Bobbie. Może zajrzałyś do nich jutro - poprosiła cicho. - Ucieszą się, a i odciążysz trochę Bobbie, ma dość pracy z własną rodziną, a ja nie wiem, kiedy będę mogła przyjechać do Chester, żeby odebrać dzieci. Dopóki nie dowiemy się, co z Maxem, dopóki nie będziemy wiedzieli, co się tam naprawdę wydarzyło... Ja nie potrafię... - Łzy napłynęły jej do oczu, zwiesiła głowę.

- Przestań, proszę - jęknął Griff. - Wiem, co chcesz powiedzieć.

Zamknął zdecydowanym ruchem drzwi biura, podszedł do Maddy, wziął ją w ramiona i przytulił do siebie gestem bardziej przyjaciela czy pocieszyciela niż kochanka.

- To niczego nie zmienia między nami, Maddy, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, ale znam cię i wiem, że nie będziesz chciała. Jedź do Jenny. Rób to, co uważasz w tej chwili za słuszne. Kiedy uznasz, że jesteś w stanie, że ty i ja... Na razie pozostanemy przyjaciółmi.

- Och, Griff, jesteś taki dobry, za dobry.

- Nie, to ty jesteś dobra.

Maddy uśmiechnęła się słabo.

- Czuję się taką egoistką, że chciałam, żebyś miał miejsce w moim życiu. Mam uczucie, że cię wykorzystałam, podczas gdy...

- Nie wykorzystałaś mnie i nie jesteś egoistką. Nie pomyślałaś, że ja też mam coś do powiedzenia, że chciałem być z tobą? - zapytał Griff schrypniętym głosem. - Nie widzisz, jak bardzo ja... - przerwał. - Pewnego dnia, kiedy to wszystko będzie już za nami... - szepnął, ujmując jej twarz w dłonie.

Maddy wiedziała, że Griff chce ją pocałować, wiedziała też, że powinna go powstrzymać, ale nie mogła, nie potrafiła.

Przywarła do niego całym ciałem i poddała się namiętnej pieszczocie, w której zawierały się tak długo hamowana tęsknota i pragnienie. Dzisiejszego wieczoru, mimo że nie znaleźli się w łóżku, uczynili kolejny krok w tę stronę. Maddy była na to przygotowana, pragnęła tego, chciała być z Griffem. Telefon Jenny przeciął wszystko, przywrócił jej poczucie rzeczywistości.

Na myśl o teściowej odsunęła się od Griffa z ociąganiem.

- Powinnam już jechać - powiedziała cicho, spoglądając mu w oczy ze smutnym wyrazem twarzy. - Jenny na mnie czeka.

Dojechali w milczeniu do Bobbie i Luke'a. Maddy wyskoczyła z samochodu, ledwie Griff zaparkował przed ich domem, i pobiegła do drzwi.

W kilku słowach wyjaśniła Bobbie, co się stało, gdy w progu pojawił się również Luke.

- Mówisz, Maddy, że Max jest ranny? - dopytywał się porywczo.

- Obydwaj są ranni - sprostowała Maddy - ale lekarze mówią, że Max jest w znacznie cięższym stanie. Jon leci na Jamajkę. Bobbie, czy mogłabym na razie zostawić dzieci u ciebie?

- Oczywiście - zapewniła Bobbie pospiesznie. - Jak tylko będziesz wiedziała coś więcej, natychmiast daj nam znać, dobrze?

Maddy uścisnęła ją serdecznie i chciała już odejść.

- Jesteś pewna, że wolisz jechać sama?! - zawołał jeszcze Luke. - Może jednak odwiózłbym cię?

Pokręciła głową na znak odmowy. Była wdzięczna, że troszczyli się o nią, że chcieli jej pomóc, nade wszystko zaś, że nie oczekiwali po niej smutku, którego nie była w stanie z siebie wykrzesać. Prawda, była żoną Maxa, ale nie miała pojęcia, co powinna czuć na jej miejscu kochana i kochająca żona. Martwiła się głównie o rodziców Maxa, szczególnie o Jenny, którą serdecznie kochała.

- Nie, poradzę sobie - zapewniła.

Jeszcze jeden serdeczny uścisk, szybka wymiana spojrzeń z Griffem i już jej nie było.

Jechała szybko, ale ostrożnie, skupiając uwagę na drodze i wyprzedzanych samochodach.

Z tonu głosu Jenny domyślała się, że stan Maxa musiał być bardzo poważny, ale nie potrafiła wyobrazić sobie męża na szpitalnym łóżku, zupełnie samotnego, opuszczonego, bezradnego. Przed oczami widziała ciągle tę samą twarz, pełną jadowitej złości do całego świata, wykrzywioną w grymasie pogardy, wrogą i odpychającą. A teraz on, gnany zawsze jakąś fatalną energią, miał leżeć gdzieś ma OIOM-ie w szpitalu na drugim końcu świata, podłączony do aparatury, unieruchomiony, bliski śmierci?

Machinalnie nacisnęła pedał gazu. Wkrótce powinna być w Haslewich. Podjechała pod dom Jenny i Jona, zaparkowała na podjeździe i pobiegła do drzwi kuchennych, których zwykle używała cała rodzina. Pomimo chłodnej zimowej nocy

były szeroko otwarte. Zobaczyła Jona, który stał przy telefonie i z kimś rozmawiał. Wydawał się starszy, niższy, miała wrażenie, że przez tych kilka godzin, kiedy widziała go po raz ostatni, przybyło mu siwych włosów na głowie.

Kiedy weszła do kuchni, odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

- Dzwoniłem do szpitala na Jamajce. Nie potrafili powiedzieć mi nic nowego, Maddy.

- W porządku, tato, w porządku, zobaczysz, wszystko będzie dobrze. - Objęła go serdecznie, przytuliła i przemawiała doń uspokajająco, tym samym tonem, którym zwykła pocieszać swoje dzieci.

- Kto by przypuszczał... nigdy nie pomyślelibyśmy, że akurat coś takiego przydarzy się właśnie Maxowi - powiedział zgnębionym, zdławionym tonem. - On był zawsze taki...

- O której masz samolot? - zapytała Maddy, cofnęła się o krok, opuściła ręce, ale nie przestawała mówić jak do dziecka. - Jesteś już spakowany? Gdzie Jenny?

- Samolot? Ja... on wylatuje o czwartej rano. - Jon posłał jej zmęczony uśmiech. - Muszę być na lotnisku o drugiej, nieludzka pora. Jeszcze się nie spakowałem. Jenny i Joss poszli na spacer.

- Chcesz, żebym cię spakowała?

- Zrobiłabyś to? Świetnie, kochana jesteś, jak zawsze. Zaparzę tymczasem herbatę, napijemy się, chcesz? Ja nie powiedziałem jeszcze nic ojcu. Nie mogłem.

- Mówił bardziej do siebie niż do Maddy, krzątając się po kuchni jak somnambulik.

- Bardzo się boję, jak on zareaguje. Najpierw stracił Davida, teraz Max...

W oczach Jona zalśniły łzy. Podobnie jak Bobbie i Luke nie poczynił najmniejszej uwagi na temat spokojnej, wręcz obojętnej reakcji Maddy, ale też orientował się znacznie lepiej niż oni, czym było jej małżeństwo. Jak okrutnie traktował ją Max.

- Może nie jest tak źle, jak przypuszczasz - powiedziała, dotykając delikatnie jego ramienia. - Max nie poddaje się tak łatwo.

- Zrobili mu już operację, musieli usunąć śledzionę - ciągnął Jon martwym głosem. - Nawet jeśli przeżyje, a lekarze nie dają mu wielkich szans, wręcz przeciwnie, może się okazać, że będą musieli amputować mu nogę. Odniósł ciężkie rany od noża i teraz...

Przerwał, słysząc stłumiony jęk Maddy.

- Och, przepraszam cię, kochanie. Tak mi przykro, wybacz, proszę - powtarzał. - Ja... tak jakbym zapomniał, że ty jesteś...

- Wszystko w porządku - zapewniła Maddy drżącym głosem. - Nie będę udawać, że coś czuję, bo to nieprawda, nie umiem wskrzesić w sobie żadnych uczuć, ale

myśl, że Max miałby... On się z tym nigdy nie pogodzi.

- Tak, wiem - przytaknął Jon.

Obydwoje pomyśleli w jednej chwili o tym samym: dobrze znali Maxa i wiedzieli, że wolałyby raczej umrzeć, niż zostać kaleką.

Kiedy godzinę później, spakowawszy rzeczy Jona, Maddy zeszła do kuchni, okazało się, że Jenny i Joss jeszcze nie wrócili ze spaceru.

- Robi się mroźno, a ona nie wzięła kurtki, Joss zresztą też nie, wyszli w samych swetrach - niepokoił się Jon.

- Pójdę po nich - zaproponowała Maddy.

- Wiesz, gdzie ich szukać, prawda?

- Tak, wiem - odparła, spoglądając ze smutkiem na teścia.

Stary normański kościół z szarego kamienia, posadowiony w sercu Haslewich, pamiętał początki miasteczka. Oszroniona ścieżka wiodąca na maleńki cmentarz iskrzyła się w poświacie bijącej z wysokich, wąskich okien nawy. Aż tutaj dochodziły stłumione głosy nastolatków, którzy jak co wieczór wylegli na rynek. Gdzieś w oddali strzelił tłumik samochodu. Maddy przystanęła, podniosła wzrok i spojrzała na majaczący za cmentarnym murem szereg przylegających do kościółka pięknych georgiańskich kamieniczek; jedna z nich należała do ciotecznej babki Maxa, zwanej w rodzinie po prostu ciotką Ruth.

Gdyby Ruth była na miejscu, wiedziałyby, co robić, co powiedzieć, jak się zachować, ale los zrządził, że wyjechała z mężem do córki do Stanów i miała wrócić dopiero latem. Trzeba będzie do niej zadzwonić, poinformować, co się stało, pomyślała Maddy i zwiesiwszy ramiona, ruszyła przed siebie.

Wiedziała doskonale, dokąd zmierza, nie zdziwiła się przeto na widok swojego młodziutkiego szwagra i Jenny. W mroku styczniowej nocy rysowały się dwie samotne sylwetki klęczące z pochylonymi głowami przy jednej z tablic nagrobnych.

- Maddy! - zawołała Jenny na widok zbliżającej się synowej. - A co ty tutaj robisz?

- Pora wracać do domu, Jenny. Jon już niedługo powinien wyjeżdżać na lotnisko, potrzebuje cię i niepokoi się o was. - Maddy stanęła obok grobu i położyła dłoń na ramieniu Jossa.

Tak bardzo wyrósł ostatnio, że zapewne będzie wyższy od Maxa, myślała Jenny, ale kiedy spoglądała z czułością na szczuplutkiego syna, na jego ściągniętą bólem twarz, nie widziała w nim dorosłego mężczyzny, w którego powoli się zamieniał.



Dla niej ciągle jeszcze był bezbronnym wobec przeciwności świata dzieckiem.

- Przemarzliście, noc jest chłodna - tłumaczyła łagodnie Maddy.

- Straciłam już jedno dziecko - szepnęła Jenny głucha na słowa synowej. - Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stracić następne. Och Max, Max - załkała, ukrywając twarz w dłoniach.

Maddy poczuła, że i jej napływają do oczu łzy. Wiedziała, co czuli Jenny i Jon wobec starszego syna, jak bardzo boleli nad tym, że nie potrafi być inny, i ile przez niego wycierpieli, ale pomimo wszystko Max był ich dzieckiem, Jenny nosiła go kiedyś w swoim łonie. Przeżywała tragedię matki i rozpaczała, jak tylko matka może rozpaczać w obliczu zagrożenia życia własnego dziecka. Maddy sama była matką i doskonale rozumiała, co w tej chwili dzieje się w sercu teściowej.

Jenny przez wszystkie lata małżeństwa była wsparciem nie tylko dla swoich najbliższych, ale i dla wszystkich wokół, którzy tylko potrzebowali pomocy. Była też zawsze wsparciem dla synowej, darzyła ją miłością i serdeczną opieką, której Maddy nigdy nie zaznała od własnej matki. Teraz na Maddy przyszła kolej, by służyć wsparciem, okazać hart ducha, odplacić za całe dobro, jakiego zaznała, i stać u boku Jenny w potrzebie.

Ujęła teściową pod ramię i zwróciła się do pogrążonego w milczeniu Jossa:

- Pomóż wstać matce.

A do Jenny:

- Max nie umarł, Jenny - oznajmiła mocnym głosem. - On żyje.

- Umrze - szepnęła Jenny drętym głosem, ale ku ogromnej uldze Maddy podniosła się jednak z klęczek i wsparta na ramieniu Jossa pozwoliła wyprowadzić się z cmentarza.

- Tego nie wiemy. Na razie nic nie wiemy - mówiła Maddy. - Max jest bardzo silny i bardzo uparty. Zawzięty. Będzie walczył o życie.

- To wszystko moja wina, to przeze mnie. - Pogrążona we własnych myślach Jenny zdawała się nie słyszeć pokrzepiających słów synowej. - Gdybym tylko bardziej go kochała. Kochałam go, kiedy był maleńki. Tak bardzo go pragnęliśmy, ale on okazał się... był taki...

- Joss, biegnij przodem i uruchom silnik, niech się trochę rozgrzeje, dobrze? - poprosiła Maddy, wręczając chłopcu kluczyki do samochodu. - Zaparkowałam na placyku przed kościołem.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak źle układały się stosunki między Maxem a jego rodzicami, Maddy uznała jednak, że Joss nie powinien słuchać zwierzeń matki na ten temat.

- Oczekiwałam, tak mi się teraz wydaje, że Max zastąpi mi Harry'ego. - Jenny zatrzymała się na chwilę i spojrzała na synową udręczonym, a przy tym pełnym trwogi wzrokiem. - On tymczasem w niczym nie przypominał Harry'ego. Był tak bardzo niepodobny do niego. Większy, o wiele głośniejszy, taki...

- Był po prostu Maxem - dokończyła Maddy zaczęte przez teściową zdanie.

- Był bardzo trudnym dzieckiem. Nie chciał ssać piersi. Czułam się zupełnie bezradna, zagubiona. Położna przekonywała mnie, że niemowlęta czasami odrzucają mleko matki, ale sama nie wiem. Czasami patrzył na mnie w jakiś dziwny sposób. Miałam wrażenie, że w ogóle nie sypia. Zaczął chodzić, kiedy skończył dziewięć miesięcy, mówił w wieku osiemnastu miesięcy. Nie gaworzył, nie pieścił się, od razu wymawiał całe słowa. Kiedy próbowałam brać go na ręce, sztywniał, jakby za chwilę miał dostać ataku hysterii. Był to dla mnie bardzo trudny czas. Jon nie miał dla nas czasu, całymi dniami musiał przesiadywać w kancelarii, prawie go nie widywałam. On i ja... - Przygryzła wargę. - Nie układało się wtedy między nami najlepiej. Jedyną osobą, którą Max zdawał się akceptować, był David. On bardzo chciał mieć syna i chyba trochę nam zazdrościł. Pierwszy chłopiec w rodzinie. Czasami zastanawiałam się, czy David rozmyślnie nie nastawiał Maxa przeciwko Jonowi, czy nie wkładał się w łaski bratanka, ale Jon, jak to Jon, nigdy nie postawił sprawy otwarcie, nigdy się z nim nie rozmówił, a i Maxa nie próbował do niczego zmuszać. Wolał się wycofać i pozwolić Davidowi robić swoje.

Maddy słuchała słów teściowej z niepokojem, ale nie przerywała jej, chciała, by ona wyrzuciła z siebie ból nagromadzony przez te wszystkie lata.

- Max zrobił się zupełnie nieznośny po urodzeniu dziewczynek. Kiedy zobaczył je po raz pierwszy, powiedział, że wyglądają jak dwa ślepe kociaki i że najchętniej wrzuciłby je do worka i utopił. Tyle było w nim nienawiści, stał się tak strasznie, wręcz chorobliwie zazdrosny, że bałam się zostawiać go samego z bliźniaczkami. Pamiętam, jak kiedyś zaczął mi robić wyrzuty, że go nie kocham. Zaprzeczyłam, ma się rozumieć, i zapytałam, dlaczego tak uważa. Odpowiedział, że podsłuchał, jak David mówił coś na ten temat. Ja naprawdę go kochałam, Maddy. Nadal go kocham - dodała drżącym głosem, gotowa za chwilę ponownie się rozszlochać.

- Chodź, Jenny - poprosiła Maddy, obejmując teściową ramieniem. - Jon na pewno się niepokoi, że tak długo nie wracamy.

- Chciałam polecieć z nim na Jamajkę - ciągnęła Jenny - ale nie było biletów. Jon cudem zdobył ten jeden. Czy myślisz, że Max...

- Jestem pewna, że zrozumie - zapewniła Maddy.

Wychodziły już, na szczęście, z cmentarza, na placu przed kościołem zaś

czekał Joss w samochodzie, pomogła więc wsiąść przemarzniętej teściowej do ciepłego wnętrza. Patrząc z niepokojem na drżącą z zimna Jenny, pomyślała smutno, jak gwałtownemu odwróceniu uległy ich wzajemne relacje. Jutro z samego rana powinna zadzwonić do lekarza, który opiekował się całą rodziną. Ludzie bardzo różnie reagują na wstrząs, a ona bała się nie tylko o Jenny, ale i o to, jak Ben zareaguje na tragiczne wiadomości z Jamajki.

Jon z niepokojem wyczekiwał powrotu żony. Kiedy zobaczył jej ściągniętą cierpieniem, pobladłą twarz, jej szkliste, martwe oczy, przeraził się nie na żarty.

- Nie martw się - szepnęła Maddy, chcąc go jakoś pocieszyć. - Jenny jest wytracona z równowagi, zszokowana, ale będę nad nią czuwała. Jutro z samego rana zadzwonię do lekarza, poproszę, żeby natychmiast tu przyjechał i obejrzał ją, przepisał coś na uspokojenie. Joss, wstaw wodę na herbatę, dobrze? - zwróciła się do szwagra.

Joss skwapliwie usłuchał prośby, rad, że może się czymś zająć, czymkolwiek, byle tylko nie widzieć zrozpaczonej twarzy matki. Ciągłe jeszcze nie docierało do niego w pełni to, co się stało. Z racji dużej różnicy wieku i bardzo odmiennych charakterów nigdy nie łączyły go bliskie więzy z Maxem, wstrząsnął nim natomiast rozmiar cierpienia matki wobec nieszczęścia kogoś, kto tak naprawdę nigdy nie należał do rodziny. Joss nie przypuszczał, że Jenny, zawsze spokojna, zrównoważona, silna, spiesząca wszystkim z pomocą Jenny, na której w każdej sytuacji mógł polegać, szukając u niej wsparcia, jest w gruncie rzeczy tak bardzo podatna na ciosy.

Teraz, podobnie jak Jon, wiedziony instynktownym odruchem szukał pokrzepienia u rzeczowej, zorganizowanej, praktycznej Maddy, obserwował ją z podziwem i czerpał siłę z jej opanowania.

- Jenny, może poszłabyś na górę, położyła się na chwilę? - zaproponowała Maddy łagodnie, ale Jenny pokręciła głową przecząco.

- Nie, nie mogę. Muszę odwieźć Jona na lotnisko. Powinnam...

- Ja odwiozę Jona - oznajmiła Maddy stanowczym głosem.

Widząc, że w oczach Jenny znowu pojawiły się łzy, pomyślała, że musi zająć czymś Jossa, dotknęła ramienia szwagra i zapytała:

- Pomożesz mi przy manewrach samochodem? Na waszym podjeździe jest mało miejsca, nie chciałabym otrzeć lakieru.

Nikt nie zauważył nic niezwykłego w jej prośbie, mimo iż prawie codziennie przyjeżdżała do teściów i wielokrotnie przecież wykonywała przed ich domem

manewry samochodem.

Kiedy Jenny została sama z mężem, poczuła, jak jej ciałem zaczynają wstrząsać zimne dreszcze. Nie mogła opanować drżenia.

- Och, Jon, ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć w to wszystko - załkała, szukając schronienia w jego ramionach. - Boże drogi, nie chcę, żeby on umarł - szlochała bezradnie. - Proszę, nie pozwól mu umrzeć. Myślisz, że to moja wina? - pytała męża. - Czy ja...

- Cicho, cicho - pocieszał ją Jon, sam z trudem hamując łzy.

Kiedy Maddy i Joss wrócili, Jenny była już trochę spokojniejsza, z jej oczu zniknął ten wyraz obezwładniającej rozpacz, który tak przeraził Maddy, kiedy tego wieczoru zobaczyła teściową na cmentarzu przy grobie Harry'ego.

Gdy Jenny oznajmiła pełnym determinacji tonem, że nie chce sama zostać w domu i pojedzie na lotnisko, Maddy nie próbowała z nią dyskutować. Mogła sobie wyobrazić, jak sama by się czuła, gdyby to jej ukochany synek, mały Leo, leżał gdzieś w szpitalu umierający, a ona nie mogła być przy nim.

Pojechały razem odprowadzić Jona, a potem w milczeniu stały na tarasie widokowym lotniska i spoglądały na startujący samolot. Srebrzysty ptak wznosił się w niebo, by po kilku minutach zniknąć w granatowym, aksamitnym przestworzu chłodnej styczniowej nocy.

W drodze powrotnej i po powrocie do domu Maddy rozmyślała ze zdziwieniem, że nic nie czuje, tak jakby wokół niej wznosił się ochronny mur, który odgradzał ją od rzeczywistości i sprawiał, że przynajmniej na razie nie docierała do niej cała groza sytuacji. Wiedziała oczywiście, że Max jest ciężko ranny, bliski śmierci, ale pomimo to w żaden sposób nie była w stanie pojąć, iż może nigdy więcej go nie zobaczyć. Czy to możliwe, pytała w duchu siebie, że jej mąż nie przekroczy już progu Queensmead, nie spojrzy na nią w ten swój pełen arogancji i pogardy sposób, nie będzie już straszył i drażnił Leo, roztaczał wokół siebie owej, tak bardzo kojarzącej się z nim, typowej i trudnej do zniesienia atmosfery napięcia oraz wrogości. Jego obecność wprowadzała niepokój, zwiastujące niebezpieczeństwo podniecenie, dzięki któremu Maddy nieomylnie rozpoznawała, że Max jest w pobliżu. Lubił wzniecać chaos, rozkoszował się tym, że jego najbliżsi żyli w stanie ciągłej niepewności.

Maddy zamknęła oczy. Max był zbyt żywotny, zbyt wiele posiadał energii, nawet jeśli była to zła energia, by teraz miał umrzeć. Poczuła bolesne dławienie w gardle, zaczęła drżeć na całym ciele. Odstawiła kubek z herbatą, którą przed chwilą sobie przygotowała, przeszła przez kuchnię i stanęła przy oknie. Jenny

i Joss poszli już spać. Przed chwilą była na górze, by sprawdzić, czy zasnęli, sama jednak nie była w stanie położyć się do łóżka. Zaczynało świtać, rozpoczynał się nowy dzień. Wkrótce nastanie ranek i będzie musiała pojechać do Queensmead. Przekáže dziadkowi wiadomość o wypadku Maxa, potem weźmie prysznic, przebierze się i pojedzie do Chester po Leo i Emmę.

W zadumie spoglądała na oszroniony, spowity w zimową szatę ogród Jenny.

Na Jamajce panuje zapewne upał. W pokoju Maxa klimatyzator chłodzi powietrze, a sam Max... Boże, nie pozwól mu umrzeć, modliła się w duchu. Nie ze względu na mnie, ale przez wzgląd na Jenny. Nie, Max nie może przecież umrzeć. Próbowwała wyobrazić sobie męża, trupio bladego, leżącego nieruchomo na szpitalnym łóżku, otoczonego podtrzymującą funkcje życiowe aparaturą, ale nie była w stanie zobaczyć go w takim stanie. Miała go natychmiast przed oczami takim, jakim go zapamiętała podczas pierwszej spędzonej wspólnie nocy. Obudziła się wówczas nad ranem i przyglądała się kochankowi oczami bezgranicznie zakochanej kobiety.

Leżał na plecach, miał zamknięte powieki, jego gęste ciemne włosy były zmierzwione, jedno ramię odrzucił daleko. Miała wówczas ochotę pochylić się i całować jego połyskującą lekko w mroku skórę i te palce, które jeszcze niedawno ją pieściły, dając nieznaną dotąd, niewyobrażalną rozkosz.

Pijana szczęściem, oszołomiona, wsparła się na łokciu i spoglądała na niego, nie dowierzając jeszcze, że ten wspaniały, piękny jak bożek mężczyzna należy do niej. W pewnej chwili Max otworzył oczy, zobaczył, że Maddy mu się przygląda.

- Dotknij mnie - powiedział cicho, a jej na samo brzmienie jego głosu zrobiło się gorąco. - Ach, prawda - dodał kpiąco. - Nie wiesz jak. Mam ci pokazać?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, krew uderzyła jej do głowy. Tymczasem Max instruował ją rzeczowym, wypranym z emocji tonem, ale ona wówczas nie czuła, nie rozumiała jeszcze jego obojętności, reagowała namiętnie, żarliwie, zatracając się bez reszty w pieszczotach.

Jego zapach na jej skórze, jego smak na języku to były doznania, które miały na zawsze wryć się w jej pamięć, pozostać z nią do końca życia.

Maddy podniosła kubek z herbatą do ust i nagle zdała sobie sprawę, że po policzkach spływają jej gorące, gorzkie łzy.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Tędy, proszę iść za mną.

W klimatyzowanym szpitalu panował przyjemny chłód, a jednak Jon czuł, że na czoło występują mu krople potu, gdy szedł korytarzem za młodą pielęgniarką. Ubrana w biały, sztywny fartuch dziewczyna, zgrabna i schludna, przywodziła mu na myśl Maddy.

W pierwszej chwili zaskoczył go spokój i pewność siebie, z jaką Maddy przejęła kontrolę nad całym domem. Przywykł do tego, że zazwyczaj niepewna i pełna wątpliwości, woli się trzymać na uboczu, musiał jednak przyznać, że bardziej podobała mu się w nowym wcieleniu, osoby, która wierzy we własne siły.

Pielęgniarka zatrzymała się przed gabinetem ordynatora oddziału intensywnej terapii, otworzyła drzwi i przepuściła Jona, któremu serce podeszło do gardła na widok zasępionej twarzy lekarza.

- Mój syn Max - wykrztusił, ledwie zdążył się przedstawić i przywitać. - Czy on...?

- Pański syn odniósł, niestety, bardzo poważne obrażenia.

- Ale żyje? - Zdławiony głos Jona przeszedł w ledwie słyszalny szept.

- Tak, tak, żyje - przytaknął lekarz. - Muszę jednak uprzedzić pana. Stracił mnóstwo krwi, jest naprawdę w bardzo ciężkim stanie.

- Czy mógłbym go zobaczyć? - zapytał Jon ze ściśniętym gardłem, z trudem wymawiając słowa.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Syn nie rozpozna pana. Jest na silnych lekach przeciwbólowych. Być może za godzinę...

Jon odwrócił głowę, by ukryć cisnące się do oczu, piekące łzy. Zrozumiał, co lekarz chciał powiedzieć: Max umierał.

- Może chce pan odwiedzić swojego bratanka? - zaproponował ordynator.

Zamrugnął gwałtownie, zdjęty nagłym poczuciem winy. Jak mógł zapomnieć o Jacku?

- Tak, naturalnie - przytaknął pospiesznie.

Chłopiec leżał w małej separacie na końcu korytarza. Kiedy zobaczył stryja, na jego bladej, wymizerowanej, zapadłej twarzyczce w pierwszej chwili odmalowała się ulga i radość, ale zaraz posmutniał, wyraźnie wylękniony i przygnębiony.

- Jak Max? Co z nim? Widziałeś go? - zaczął się dopytywać, z trudem unosząc zabandażowaną głowę, ledwie Jon stanął przy jego łóżku. - Chciałem, żeby mnie

do niego zawieźli, ale lekarz się nie zgodził. To wszystko przeze mnie, to moja wina.

Widząc, jak bardzo strapiony, zrozpaczony jest Jack, Jon zapomniał o własnych odczuciach.

- Nie opowiadaj głupstw, Jack. Nie ma w tym żadnej twojej winy - zapewnił łagodnie bratanka. - Obydwaj padliście ofiarą okrutnej, bezmyślnej napaści i proszę, nie mów mi, chłopcze, że ty jesteś temu winny.

- Gdyby nie przyszło mi do głowy wracać do hotelu na skróty, plażą, nic by się nam nie przydarzyło. - W oczach Jacka pojawiły się łzy.

Jon, nie mogąc przytulić chorego, położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Teraz żałuję, że tutaj przyleciałem. Max był strasznie zły, kiedy mnie zobaczył.

Jack zamknął oczy. Leżąc samotnie w szpitalu w Kingston, tysiące kilometrów od domu, z dnia na dzień coraz bardziej tęsknił za Jonem, niczego w tej chwili tak nie potrzebował, jak ujrzeć stryja, usłyszeć od niego słowa otuchy i pociechy. Dziwne, ale ojciec, dla którego odważył się na tę szaloną i ryzykowną wyprawę, przestał w ostatnich dniach zaprzętać myśli Jacka; jego postać zatarła się, rozplynęła, przestała mieć znaczenie. Albo inaczej, miała nie większe znaczenie niż pierwszy lepszy człowiek napotkany przypadkiem na ulicy. Gdyby zdarzył się cud i David wszedł nieoczekiwanie do szpitalnej separatki, jego pojawienie się nie wywarłoby na Jacku żadnego wrażenia.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że znacznie dojrzalej patrzył na swoje życie. Zrozumiał wreszcie, że jedynymi ludźmi, którzy w tym życiu się liczą, są stryj Jon i ciotka Jenny. Wychowując go przez lata, troszcząc się o niego i otaczając miłością, stali się jego prawdziwymi rodzicami.

Dom stryjostwa w Haslewich był jego domem... najważniejszym, centralnym miejscem na ziemi. Dawał poczucie bezpieczeństwa, był spokojną przystanią, gniazdem rodzinnym, tym wszystkim, co kształtuje tożsamość, zanim człowiek wyruszy w świat i podejmie samodzielną egzystencję. Jack w tej chwili, zarzuciwszy myśl o poszukiwaniu ojca, dałby wszystko, żeby jakaś opiekuńcza ręka przeniosła go tam, do domu, gdzie czuł się najlepiej.

Przypominał sobie wszystko, co powtarzał mu po wielokroć Jon, a czasem też Joss: łagodne napomnienia, by uwierzył wreszcie, że jest kochany, i zaczynał pojmować, że tracąc ojca, zyskał, paradoksalnie, ogromną miłość i czułość.

Kiedy dowiedział się od lekarzy, że Jon zdecydował się przylecieć do Kingston, liczył godziny, kwadransy i minuty dzielące go od pojawienia się stryja, ale teraz, kiedy stryj stał przy jego łóżku, myślał z bólem, że obecność Jona zawdzięcza nie

tyłe miłości, co nieszczęściu: gdzieś za zamkniętymi drzwiami OIOM-u leżał przecież umierający Max.

Jeśli Max rzeczywiście miałby umrzeć... Jack nie potrafił znieść przygniatającego ciężaru tej myśli. Gdyby nie pokłócił się z Maxem, gdyby nie wszedł na niestrzeżony, publiczny pas plaży, gdyby przede wszystkim nie wyprawił się na Jamajkę zdjęty obsesją szukania ojca... gdyby, gdyby, gdyby. Gdyby tylko Max jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu zdołał umknąć śmierci.

- Chciałem, żeby mnie do niego zawieźli, ale lekarz się nie zgodził - powtórzył słabo.

- Mnie też do niego nie wpuścili - odparł Jon.

- Jak się czuje ciocia Jenny?

- Bardzo się martwi o was obu. Przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia i czeka na was w domu.

Wymienili krótkie spojrzenia i natychmiast odwrócili od siebie wzrok, zdjęci tą samą straszną myślą, że Max może już nigdy nie wróci do domu.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi separatki, wszedł lekarz, z którym Jon rozmawiał wcześniej, i oznajmił cicho:

- Myślę, że powinien pan zobaczyć się teraz z synem.

Zanim nie będzie za późno, dopóki Max jeszcze żyje, pomyślał Jon i zwiesiwszy z rezygnacją głowę, ruszył posłusznie za lekarzem w stronę OIOM-u. Oblewał go na przemian to gorący pot, to znowu lodowate dreszcze.

Dziesiątki, ba setki seriali telewizyjnych, dokumentalnych i fabularnych, które oglądał, a które wykorzystywały scenerię szpitala, powinny były go przygotować, pomóc w jakiś sposób, a jednak wstrząs okazał się ogromny. Z pozoru wszystko zdawało się znajome z ekranu: sterylne sala, cichy szum aparatury, poważne, zatroskane twarze pielęgniarek, przeraźliwie nieruchomy, bezbronny pacjent leżący na wąskim szpitalnym łóżku, cień człowieka podłączony do kroplówek, respiratorów, monitorów. Tyle tylko, że ów człowiek, co Jon uświadamiał sobie z bólem, broniąc się jednocześnie przed ową bolesną świadomością, nie był aktorem, obcą osobą wprzęgniętą w sceniczny dramat, który oczom zdjętych współczuciem widzów ukazywać ma cichą walkę między życiem i śmiercią. Dramat, który toczy się w dekoracjach zbudowanych z aparatury podtrzymującej żywotne funkcje organizmu.

Podtrzymującej żywotne funkcje... Jak łatwo wypowiadamy owe słowa, jak zwyczajne i oczywiste się wydają, gdy dramat jest tylko inscenizacją albo gdy dotyczy kogoś obcego, kiedy od pracy skomplikowanej szpitalnej aparatury nie



zależy ratowanie osoby nam bliskiej i drogiej.

Raz już Jon był świadkiem podobnej sceny, kiedy David trafił do szpitala z ciężkim zawałem serca i jego życie wisiało na włosku, ale lęk, który wtedy odczuwał, patrząc na nieprzytomnego brata, był niczym w porównaniu z przytłaczającymi go teraz doznaniem.

Usiadł ciężko na krześle obok łóżka i odwracając wzrok od woskowej twarzy Maxa, spojrzął na lekarza. Był przerażony, że nie dostrzega u syna żadnych oznak życia, nic poza doprowadzającym do obłędu szumem maszyneryi podtrzymującej funkcje organizmu. Max leżał zupełnie nieruchomo. Był to tak straszny widok, że Jon uczył spazmatyczny, szarpący ból serca, jakby i ono miało za chwilę znieruchomieć.

- Czy on...? - zaczął niepewnie, ale lekarz przerwał mu i pokręcił głową:

- Żyje, ale nie powinienem pana łudzić nadziejami. Robimy, co w naszej mocy, chociaż szanse są naprawdę znikome.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnął Jon, bardziej do siebie niż do lekarza. - Zawsze był taki silny, pełen życia, energii.

- Odniósł wyjątkowo ciężkie rany. To był bestialski atak, chyba nie zetknąłem się jeszcze w swojej praktyce z tak strasznymi obrażeniami odniesionymi w wyniku napadu i bójki. Jego rany...

Przerwał. Nie chciał opowiadać przygnębionemu ojcu, że kiedy pierwszy raz zobaczył skrwawione ciało Maxa, myślał, że pacjent nie żyje, tak jak nie chciał rozwodzić się nad tym, że Max już dwa razy był w stanie śmierci klinicznej. Przemilczał również słowa doświadczonej siostry oddziałowej, która przepracowała w szpitalach wiele lat i była świadkiem niejednej tragedii, a która nie dalej niż przed kwadransiem powiedziała mu, że nie wierzy, by Max przeżył najbliższą noc.

- Stracimy go - oznajmiła. - Wiem, że go stracimy. Wystarczy tylko spojrzeć na pewne... - Nie dokończyła zdania, ale doktor wiedział, co miała na myśli.

Dotknął teraz lekko ramienia Jona i wskazał dzwonek umieszczony koło łóżka.

- Kiedy będzie pan chciał stąd wyjść, proszę zadzwonić, przyjdzie siostra, która wyprowadzi pana z oddziału.

- Jak długo mogę tu zostać? - zapytał Jon.

Głos miał ochrypy, jakby sforsował gardło krzykiem lub długim mówieniem, czuł się obolały, śmiertelnie zmęczony, ale nie był to wcale efekt długiego, wyczerpującego lotu i szoku wywołanego zmianą strefy czasowej.

Gdy lekarz w odpowiedzi pokręcił tylko głową, pierś Jona przeszył rozdierający

ból. Bronił się rozpaczliwie przed tym, co zobaczył w oczach człowieka w białym fartuchu, szukał w nich iskierki pociechy, potwierdzenia, że Max będzie żył, ale takiego zapewnienia nikt nie mógł mu dać.

Max umierał i Jon mógł z nim zostać do chwili, kiedy... Do chwili, kiedy ktoś wyłączy monitory, a pielęgniarki zabiorą ciało jego syna.

Siedząc tak przy łóżku, z nisko pochyloną głową, Jon zrobił coś, na co nie potrafił się zdobyć, od momentu gdy Max, jeszcze jako kilkuletni chłopiec, odrzucił miłość rodziców. Wyciągnął rękę i dotknął bezwładnej dłoni syna.

Kiedy po śmierci maleńkiego Harry'ego urodził się zdrowy, silny, żywotny Max, pierwszym, nieodpartym pragnieniem Jona było otoczyć niemowlę opieką, hołubić je, zapewnić mu absolutne bezpieczeństwo, zamknąć w ramionach i tulić do piersi. Ale Max nigdy nie był dzieckiem, które lubiłoby pieszczoty, które umiałoby odpowiadać na okazywaną mu czułość. Jon nagle poczuł przemożną chęć, by teraz wziąć w objęcia dorosłego już człowieka i okazać mu w ten sposób całą swoją miłość.

Max był jego synem, jego potomkiem, krwią z jego krwi, i nie mógł go nie kochać, dziwił się tylko, że dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak głębokie jest to wcześniej nieujawniane uczucie.

Łzy napłynęły mu do oczu.

Max śnił niezwykle barwne, wyraziste sny o swoim dzieciństwie, sny, w których wracały dawno zapomniane wspomnienia; wypływały z głębi świadomości niczym wezbrany wiosenny strumień. Wdzykał kolor matczynej sukni, czuł zapach jej perfum, ciepło promieniujące z jej ciała. W pamięci ożywało tysiące drobiazgów, zagubionych w miarę dojrzewania, odrzuconych przez pamięć niczym zbyteczny balast w drodze przez dorosłe życie.

W snach pojawiał się też ojciec, wysoki, surowy, zdawałoby się nieprzystępny mężczyzna. Kiedy jednak Max podnosił głowę, by spojrzeć w jego oczy, nie widział w nich tak dobrze sobie znanej niechęci, rozczarowania połączonego z obrzydzeniem, z jakim, tak czuł, Jon zwykł na niego patrzeć. Nie, oczy ojca promieniowały ciepłem. Była w nich miłość, miłość i łzy.

Ojciec cierpiał. Max chciał wyciągnąć dłoń, dotknąć go, pocieszyć, ale znajdował się bardzo daleko od rodziców, w jakimś specjalnym miejscu, do którego oni nie mieli dostępu. Skąpane w jasnym, czystym świetle, było zupełnie odmienne od wszystkiego, co znał dotychczas. Nigdy nie doznał czegoś podobnego. Czuł się tutaj bezpieczny, nic mu nie zagrażało, po raz pierwszy w życiu ogarniał go

niezwykły spokój, spokój spełnienia, kiedy człowiek niczego już nie pragnie, kiedy ma poczucie, że wszystko się dopełniło, spełniło, zamknęło.

Dotarł do punktu, który był samym blaskiem i samą miłością, i nagle pojął, że zdolny jest nie tylko przyjmować miłość, ale też ją dawać. Tak, chciał dawać miłość, pragnął obdarzyć nią rodziców, całą rodzinę, wszystkich bliskich sobie ludzi, chciał podzielić się z nimi tym, czego właśnie doznawał, marzył, żeby i ich przepełniło uczucie wiecznej miłości, i smucił się, że nie ma ich z nim, że nie mogą uczestniczyć w cudownym święcie serca.

Słyszał, że gdzieś z oddali przywołuje go ojciec. Jego głos płynął z końca długiego, ciemnego tunelu, który teraz otworzył się przed Maxem, i zapragnął on po raz ostatni spojrzeć na człowieka, który dał mu życie. Czuł się tak zmęczony, ciało zdawało się tak ciężkie, było niczym niepotrzebna, niechciana zawada, ale mimo wszystko wiedział, że musi zdobyć się na wysiłek, musi opuścić świetliste, pełne blasku miejsce, gdzie było mu tak dobrze, musi dotrzeć do ojca, pocieszyć go.

Widział jego twarz daleko na końcu tunelu, ale jakże inną, niż ją zapamiętał. Jego ojciec – opuszczony, zbolący, samotny i zrozpaczony – płakał. Tak, Max, mimo że pragnął pozostać w cudownym miejscu, koniecznie musiał znaleźć się przy Jonie, ukoić cierpienie i rozpacz, będące źródłem ojcowskich łez.

Po raz ostatni obejrzał się za siebie, by nasycić oczy blaskiem, jeszcze przez chwilę napawać się wszechogarniającą miłością, i zagłębił się w ciemnym tunelu, przez który wiodła męcząca, trudna, bolesna droga powrotna. Z każdym krokiem ciało ciążyło mu coraz bardziej, słyszał głucho bicie własnego serca, czuł każdą ranę i krzyczał nie tyle z powodu fizycznego udręczenia, co z wielkiej tęsknoty za blaskiem, który zostawiał za sobą.

Ale na końcu tunelu był przecież ojciec, pełen lęku, samotny, potrzebujący wsparcia. Max czuł już dotknięcie ojcowskiej dłoni, czuł słone łzy spływające z ojcowskich policzków na jego dłoń i chciał mu powiedzieć, że tam, gdzie był, nie ma miejsca na łzy, ból, cierpienie i że nie trzeba rozpaczać, ale wiedział, że ojciec nie może go usłyszeć.

Uczył ostatni wysiłek, odwrócił głowę i otworzył oczy, by spojrzeć na twarz ojca.

- Jenny, tu Jon. Max czuje się nieco lepiej. Kryzys minął. Było bardzo źle, lekarze już myśleli, że... Jenny, on z tego wyjdzie. Tak, tak. Nie, nie wiem, kiedy pozwolą wrócić mu do domu. Na razie leży jeszcze na oddziale intensywnej terapii. Ciągłe

jest bardzo słaby, ale rokowania są dobre, jest nadzieja. Tak, tak zadzwonię natychmiast, jak tylko będę wiedział coś nowego.

Spędził przy łóżku Maxa ostatnie sześć godzin i czuł się śmiertelnie zmęczony. Nie powiedział Jenny czegoś bardzo ważnego, ale nie wiedział, jak to przekazać, jak wytłumaczyć coś, czego sam jeszcze nie rozumiał.

- Jenny, Max się zmienił - szepnął do słuchawki drżącym głosem.

Zamknął oczy. Widział żonę, jak stoi w kuchni w ich domu w Haslewich, a na ten obraz nakładał się inny: twarz Jenny zaraz po urodzeniu się Maxa, jeszcze ze śladami niedawnego wysiłku, ale już promienna, rozświetlona miłością i dumą.

- Zmienił się? - dobiegło go pełne niepokoju pytanie.

Był tak wyczerpany, że nie miał siły wyjaśniać znaczenia swoich słów. Wiedział tylko, że do końca życia nie zapomni tego wyrazu, który dojrzał w oczach syna, kiedy ten podniósł wreszcie powieki.

W oczach Maxa było coś tak niezwykłego, że on, ojciec, poczuł się jak dziecko pod czułym, troskliwym, pełnym miłości rodzicielskim spojrzeniem. To Max chciał pocieszyć jego, Max chciał ukoić jego ból, to Max był zaniepokojony, strapiony. Już sama zmiana ról była zaskakująca, ale jeszcze bardziej zaskakujące było to, że w Maksie mogły obudzić się serdeczne, ciepłe uczucia. Nadal nie pojmował tej przemiany, nie mieściło mu się w głowie, że to właśnie jest jego syn.

- Muszę już kończyć - powiedział do Jenny. - Nie zamartwiaj się już, proszę. Aha, byłbym zapomniał, Max całuje was wszystkich z całego serca. Ciebie, Maddy, dzieci... Prosi, żeby Maddy przysłała jak najszybciej ostatnie zdjęcia Leo i Emmy.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

- O co Max prosił? - Maddy spoglądała na teściową z niedowierzaniem.

Kiedy tylko otworzyła drzwi kuchenne, domyśliła się, że Jenny musiała otrzymać dobre wiadomości, ale żeby Max przesyłał ucałowania jej i dzieciom, mało, domagał się ich najnowszych zdjęć? Maddy zmarszczyła powątpiewająco czoło, gotowa przypisać zasłyszane rewelacje taktowi teściowej.

- Naprawdę - zapewniła Jenny, zgadując, co Maddy musi myśleć. - Posłuchaj, kochanie... - Położyła dłoń na ramieniu synowej, chcąc oderwać ją od wypakowywania przywiezionych zakupów i zmusić, by podniosła głowę. - Jon mówi, że Max jest inny, zmienił się.

- Zmienił się?

Wyraz powątpiewania nie zniknął z twarzy Maddy, ale nic nie powiedziała, nie chcąc sprawiać Jenny niepotrzebnej przykrości. Była oczywiście gotowa wysłać Maxowi najnowsze zdjęcia dzieci, w głębi duszy podejrzewała jednak, że jego prośba wypływała nie z potrzeby serca, ale z chęci wywarcia wrażenia na jakiejś ładniutkiej i sentymentalnej pielęgniarce. Po co byłyby mu te zdjęcia, skoro jasno dawał do zrozumienia, że nigdy nie chciał mieć dzieci.

- Muszę jechać do Chester odebrać dzieciaki - powiedziała, zmilczawszy własne myśli. - Bobbie jest kochana, że zgodziła się nimi zająć, ale nie mogę nadużywać jej uprzejmości.

- Jedź - zgodziła się Jenny. - Ja dam sobie radę. Teraz, kiedy już wiem, że on będzie żył. To śmieszne. Czulałam... sądziłam, że dawno, dawno temu zerwała się wszelka więź emocjonalna między mną a Maxem. Owszem, był naszym synem, ale...

Przerwała i pokręciła głową.

- Na samą myśl, że Max mógłby umrzeć... - Zakręciły jej się łzy w oczach.

Maddy podeszła i objęła ją serdecznym gestem.

- Rozumiem - zapewniła.

Tak, była to w stanie zrozumieć, powtarzała sobie godzinę później, jadąc do Chester, ale fakt, iż rozumiała odczucia Jenny i że z ogromną ulgą przyjęła wiadomość o tym, że Max będzie żył, w niczym nie zmieniał narastającego z każdym dniem poczucia pustki i niespełnienia, jakie niosło ze sobą nieudane, wyniszczające emocjonalnie małżeństwo.

Znajomość z Griffem uświadomiła jej w dojmujący sposób, czego brakowało

w związku z Maxem, związku zabójczym nie tylko dla niej, ale i dla jej dzieci. Owszem, Max miał udział w ich poczęciu, urodziły się z jego nasienia, ale na tym koniec. Ojciec przyczynił się tyle do ich szczęścia, do ich emocjonalnego i umysłowego rozwoju, co byk, którego doprowadzają do krowy i którego zadanie sprowadza się do zapłodnienia, myślała Maddy ze złością i smutkiem.

Max nigdy nie przytulił dzieci, nie bawił się z nimi, nie martwił o nie, nigdy nie okazał im choćby cienia zainteresowania, nie mówiąc już o autentycznej miłości rodzicielskiej. Maddy ciągle jeszcze słyszała tę niepewność w głosie teściowej pomieszaną z nadzieją, kiedy Jenny mówiła: „Max się zmienił”.

Zmienił się. Nieważne, jak bardzo Max się zmienił, ciągle był dla Maddy zupełnie obcym człowiekiem, może innym, ale ciągle obcym. Ten, za którego wyszła za męża, w którym się zakochała, istniał tylko w jej marzeniach. Powodowana miłością, tęsknotą i potrzebą stworzyła sobie mityczną postać. Ileż razy usiłowała przekonywać siebie, że pełen okrucieństwa cynizm, stanowiący nieodłączną cechę charakteru Maxa, po prostu nie istnieje, ba, obwiniła siebie, przekonana, że to ona prowokuje tak bezlitosne zachowania męża. Tak czy inaczej żyła złudzeniami, ustawicznie i bezsensownie się oszukiwała.

Dzięki temu, że poznała Griffa, uświadomiła sobie jasno wiele spraw. Najboleśniej było to, że przez całe życie przyciągała ludzi, którzy odzierali ją z dumy i szacunku do siebie. Kiepskiego o sobie mniemania, zaczynała wierzyć, że widać zasługuje, by ją źle traktowano. Tak było do tej pory, ale wreszcie uświadomiła sobie, że jeśli jej życie było klatką, to zamknęła się w niej z własnej woli, a klucz wyrzuciła.

Skoro Max był złym mężem i fatalnym ojcem, dlaczego się z tym godziła, dlaczego dawno już nie uczyniła nic, by uwolnić się od jego destrukcyjnego wpływu, dlaczego biernie i apatycznie trwała w tym małżeństwie, które unieszczęśliwiało nie tylko ją, ale i dzieci?

Zdjęta nagłą myślą nacisnęła gwałtownie na hamulec i zatrzymała się na środku pustej drogi. Jeśli ona sama odmieniła się tak bardzo za sprawą radykalnej metamorfozy, dlaczego powątpiewała, że i w Maksie mogła dokonać się zasadnicza przemiana? Cóż, Max był Maxem, lubił siebie, a lamparty, jak mówi nam historia, nie zmieniają cętek.

Nie chciała przyjąć do wiadomości, że Max mógł się zmienić, ani zastanawiać się nad konsekwencjami tego faktu, szczególnie teraz, kiedy...

Szybkim ruchem przekręciła kluczyk w stacyjce, włączyła bieg i nacisnęła gaz.

- Maaamusia, maaamusia! - zawołała uradowana Emma, wyrywając się z ramion Bobbie na widok matki, kiedy ta weszła do kuchni.

- Jak Max? - zapytała Bobbie z troską.

- Z tego, co mówi Jon, najgorsze minęło, ale ciągle jeszcze leży na oddziale intensywnej terapii. Jon chciałby jak najszybciej przewieźć Maxa i Jacka do domu, ale lekarze uważają, że za wcześnie cokolwiek planować. Musimy poczekać, aż Max na tyle wydobrzeje, że będzie można mówić o podróży samolotem. Jon opowiadał też, że Jacka przesłuchiwała policja. Chcieli się dowiedzieć, jak doszło do napadu, jednak nie bardzo wierzą w to, że uda się im ująć sprawców.

- Hmm, z tego, co mówisz, wynika, że Max cudem uniknął śmierci.

- Tak, lekarz powiedział Jonowi dokładnie to samo. Nikt w szpitalu nie wierzył, że przeżyje.

- Nie będzie ci łatwo, kiedy Max wróci do domu.

Maddy gwałtownie podniosła głowę na te słowa.

- Co masz na myśli? - zapytała ostro.

- Chciałam powiedzieć, że spadną na ciebie dodatkowe obowiązki, będziesz musiała zajmować się nie tylko Benem i dziećmi, ale jeszcze pielęgnować chorego. W każdym razie ja chętnie zaopiekuję się twoimi dziećmi, kiedy tylko będzie trzeba. Chociaż w ten sposób ci pomogę.

Maddy zaczerwieniła się. Było jej bardzo głupio, bo przez krótki moment pomyślała, że Bobbie czyni aluzję do jej zażyłości z Griffem.

- Dziękuję, rzeczywiście będzie mi łatwiej, jeśli od czasu do czasu będę mogła przywieźć dzieci do ciebie - odparła cicho, nie podnosząc oczu na Bobbie.

- Gdzie Leo? - zapytała.

- Griff zabrał go na spacer.

Teraz z kolei Bobbie odwróciła wzrok.

- Dzwonił rano do Luke'a, a kiedy się dowiedział, że dzieci są jeszcze u nas, przyszedł tutaj i zaraz po śniadaniu poszli do zoo.

- Leo na pewno szalał z radości. Uwielbia zwierzęta. Bardzo chciałby mieć jakiegoś zwierzaka w domu, najchętniej psa, ale Ben się nie zgadza, a i Max...

- Byłabym zapomniała - wtrąciła Bobbie. - Luke mówił, że Ericsonowie umówili cię z kilkoma osobami na rozmowy w sprawie fundacji. Bardzo się zapalili do twoich pomysłów. Sue twierdzi, że trudno o bardziej zbożny cel i że nie rozumie, dlaczego wcześniej nikt nic nie robił w tej sprawie. To tacy mili ludzie. Sue ciągle komuś matkuje, pomaga.

- Nie mają rodziny?

Maddy wiedziała tyle tylko o Ericsonach, że obydwójce są po pięćdziesiątce, ale nigdy nie słyszała, by ktoś wspominał coś na temat ich dzieci czy wnuków.

Bobbie pokręciła głową.

- Nie. Wydaje mi się, że Lewis ma syna z pierwszego małżeństwa, ale nie utrzymuje z nim chyba zbyt bliskich kontaktów. Podejrzewam, chociaż nigdy o tym wprost nie mówili, że nie mogli mieć wspólnych dzieci. Ale wracając do fundacji... Teraz, po wypadku Maxa, będzie ci trudno zabiegać o wsparcie, bo to jednak wymaga sporo czasu.

- Udało mi się już nawiązać pierwsze kontakty z kilkoma firmami - powiedziała Maddy. - Wiesz, wstępne rozmowy, nic określonego. Najpierw chciałabym spotkać się z Ericsonami, prosić ich o radę, potem zacznę poważne pertraktacje. Pomyślałam, że warto byłoby zaprosić na spektakl dobroczynny kilku ludzi z dużych korporacji.

- Uhm. Dobry pomysł. Aha, byłabym zapomniała, Ruth dzwoniła wczoraj wieczorem, prosiła, żeby przekazać ci serdeczne pozdrowienia i uściski.

- Mam nadzieję, że jej nie zawiodę. Tyle wysiłku włożyła, by uczynić fundację tym, czym jest teraz.

- Na pewno jej nie zawiedziesz. Griff jest zachwycony twoją robotą, twierdzi, że marnujesz się, pracując tylko na rzecz fundacji, i że przy twojej inicjatywie i talentach mogłabyś rządzić krajem.

Obydwie wybuchnęły śmiechem, ale wesołość Maddy zaprawiona była smutkiem. Jej sympatia dla Griffa, jego dla niej, rozwijające się uczucie, wszystko to trzeba było odsunąć na bok, dopóki Max nie wyzdrowieje. Gdyby nie zdarzył się wypadek...

Gdyby nie zdarzył się wypadek, byłaby wolna, wtedy znajomość z Griffem mogłaby przerodzić się w...

No właśnie, w co? W romans? Maddy otrząsnęła się na tę myśl. Nie, tylko nie to. Co zatem? Separacja, rozwód z Maxem, by odzyskać wolność i ułożyć sobie życie od nowa z Griffem...

- Griff i Leo wrócili. - Głos Bobbie przerwał jej rozmyślenia.

Ciągle jeszcze z pałającą twarzą, trochę nieobecna, Maddy cofnęła się o krok, wpuszczając do kuchni obydwu spacerowiczów.

- Mamo, mam, widziałem żyrafy i hipopotamy, i prawdziwego siebie - mówił Leo, ledwie łapiąc oddech i jeszcze nie mogąc ochłonąć z nadmiaru wrażeń.

- Prawdziwego siebie? - zdziwiła się Maddy i podniosła pytający wzrok na Griffa, szukając u niego wyjaśnień.



- Lwa - odpowiedział Leo z uśmiechem. - On się nazywa Leo, zupełnie tak jak ja - dodał z dumą.

Maddy zaśmiała się i przytuliła synka, ale Leo wykręcił się czym prędzej z matczynej objęć.

Przestał być już dzieciuchem, stawał się małym chłopcem, ale ciągle był zależny emocjonalnie od matki i znacznie podatniejszy na zranienie niż Emma.

Przymknęła na moment oczy. W przeciwieństwie do oczekującej syna z niecierpliwością Jenny, ją perspektywa powrotu Maxa napełniała lękiem. Już teraz było jej trudno, kiedy przychodziło do pogodzenia wymagań zrzędliviego i samolubnego starca z potrzebami dwojga małych dzieci, a Ben, kiedy go coś naszło, potrafił być zazdrosny i rozkapryszony w tym samym stopniu, co Emma czy Leo. Opieka nad chorym Maxem oznaczała nie tylko dodatkowe obciążenie i jeszcze większy brak wolnego czasu, ale też niosła ze sobą stres oraz ciągłe napięcie.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Maddy zaczynała się zastanawiać, czy Max nie powinien zamieszkać u Jenny, tym bardziej że ta zdawała się święcie wierzyć w cudowną przemianę, jaka dokonała się w charakterze syna.

- Jakies niedobre wiadomości? - zapytał Griff, przerywając jej rozmyślenia. - Czyżby stan Maxa się pogorszył? Nastąpił kryzys?

Maddy przecząco pokręciła głową.

- Nie, wręcz przeciwnie, Max czuje się coraz lepiej... - zaczęła, ale Leo nie dał jej dokończyć, ciągnąc niecierpliwie za rękaw.

- Mamo, co to takiego ten kry... krytys? O czym Griff mówi?

- Kryzys - powtórzyła Maddy wyraźnie. - To znaczy, że ktoś się źle czuje, Leo.

Do tej pory nie powiedziała dzieciom o wypadku Maxa. Nie widziała powodu. Obydwoje byli jeszcze za mali, żeby zrozumieć, a Max znajdował się daleko. Leo miał jednak doskonałą intuicję i świetnie orientował się w sytuacji, bo zapytał:

- Tatuś źle się czuje, prawda? Czy to znaczy, że on umrze?

Maddy wymieniła znaczące spojrzenia z Bobbie i wyjaśniła synkowi:

- Tak, Leo, tatuś rzeczywiście źle się czuje, ale nie umrze.

- To znaczy, że wróci do domu? - zaniepokoił się malec.

Maddy zawahała się.

- Tak, ale nieprędko - odpowiedziała po chwili i szybko zmieniła temat: - Powiedz mi, jakie jeszcze zwierzęta widziałeś w zoo.

W godzinę później dzieci siedziały już w samochodzie, gotowe do drogi. Żegnając Maddy, Bobbie przypominała sobie, że musi wykonać niecierpiący zwłoki

telefon, i taktownie zniknęła, zostawiając kuzynkę samą z Griffem.

- Wiem, jak musi ci być ciężko - powiedział, dotykając delikatnie jej ramienia, po czym pokręcił głową, jakby chciał odgonić jakąś natrętną myśl. - Nie pora teraz, żebym zwierzał ci się ze swoich uczuć, ale jeśli mogę tylko w czymkolwiek pomóc jako przyjaciel, to zwracaj się do mnie bez wahania. Przyrzeknij mi, proszę.

Bliska łez Maddy uściskała go serdecznie i poczuła przygniatający serce ciężar, kiedy zobaczyła, jaki straszny smutek i tęsknota malują się w pociemniałych raptem oczach Griffa. Max nigdy tak na nią nie patrzył.

Max... Max... Max...

- Dziękuję, Griff. - To wszystko, co zdołała wykrztusić, po czym odwróciła się szybko i wsiadła do samochodu.

To działo się tak niedawno, minęło zaledwie kilka dni, tymczasem ona miała wrażenie, że minęły całe wieki od momentu, kiedy radosna i pełna nadziei stroiła się na uroczystą kolację z Griffem. Teraz musiała zatrzaskać za sobą drzwi, zamknąć ten krótki rozdział w swoim życiu, przynajmniej do chwili gdy Max będzie czuł się na tyle dobrze, żeby...

Żeby co? Żeby mogła wystąpić o rozwód?

Co za ironia losu! Po tylu jego zdradach, tylu romansach, to ona miała dać powód do zerwania małżeńskich więzów.

A cóż to za małżeńskie więzy? - szeptał jej do ucha jakiś wewnętrzny głos, gdy jechała do domu. Nie byłaś nigdy mężatką w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co masz, to akt ślubu, bezwartościowy strzęp papieru. Oto twoje małżeństwo.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jon przystanął przed otwartymi drzwiami separatki Maxa, zaskoczony fragmentem dialogu, który właśnie usłyszał, a w który wdali się jego syn i Jack, zapomniawszy o rozłożonej na kołdrze grze planszowej.

- Nie, Jack, nie wolno ci tak myśleć - przekonywał kuzyna Max. - Ojciec nie wyjechał z twojego powodu. Nie ponosisz najmniejszej winy za jego zniknięcie. Nikt nie ponosi winy za jego decyzję, jestem tego pewien. David powiedziałby ci to samo, gdyby tu był.

- Ale... - próbował wtrącić Jack.

- Był bardzo dumny, że ma ciebie i Olivię - dodał łagodnie. - Często rozmawiał ze mną o was. Miałem okazję właśnie się przekonać, że sami ponosimy odpowiedzialność za nasze czyny i reakcje. Jeśli David napytał sobie biedy, to dlatego, że postępował tak, a nie inaczej. Sam sobie przysporzył problemów. Myślę, że kiedy się z nimi upora, zaczniesz się zastanawiać nad powrotem do domu. Jeśli jednak uważasz, że powinieneś zostać na Jamajce i nadal go szukać, zostanę oczywiście z tobą i będę ci pomagał.

- Nie, nie - doszedł Jona cichy głos Jacka. - Ja wolę wracać do domu. Pewnie, że chciałbym odnaleźć ojca i móc z nim porozmawiać, zadać mu kilka pytań, ale boję się spotkania z nim.

- Nie masz czego się bać, ale to dobrze, że chcesz wrócić do domu, bardzo się cieszę, że to słyszę - mówił Max łagodnie. - Szczerze ci powiem, że sam już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wypiszą mnie ze szpitala i znajdę się znowu w Haslewich, ale najpierw niech cię pobiję w tę okropną grę!

Obydwaj nadal zanosili się od śmiechu, gdy do pokoju wszedł Jon. Ciągle jeszcze nie mógł się oswoić ze zmianą, jaka zaszła w sposobie bycia i charakterze Maxa, niemniej teraz, w kilka tygodni po napadzie, miał już pewność, że nie był to efekt lęków, które miały utrzymać syna przy życiu, lecz autentyczna, głęboka metamorfoza.

- Doktor Martyne mówi, że gotów jest wypisać was ze szpitala pod koniec tygodnia - powiedział, oddając serdeczny uścisk Jacka, i usiadł na podsuniętym mu przez bratanka krześle.

- Hmm, tak szybko - mruknął Max, zerkając spod oka na rozłożoną grę, czym wywołał śmiech ojca i kuzyna.

Jon w rozmowach telefonicznych ciągle opowiadał Jenny, jak bardzo Max się

zmienił, ale zdawał sobie sprawę, że żadna relacja nie jest w stanie oddać istoty dramatycznej metamorfozy, jaka zaszła w synu. Niekiedy, mimo iż obserwował go codziennie w różnych sytuacjach i okolicznościach, sam nie był w stanie uwierzyć, że ten ciepły, serdeczny, pełen czułości i zrozumienia dla innych człowiek to jego syn Max. Ten sam Max, który z zamkniętego w sobie, nieufnego chłopca wyrósł na cynicznego, zimnego i często okrutnego mężczyznę, czerpiącego rozkosz z manipulowania innymi ludźmi i rozmyślnego zadawania cierpienia.

Jon przyglądał mu się, dostrzegał zmianę, ale nie mógł się nadziwić i samemu przeistoczeniu, i temu, jak ludzie reagowali na Maxa. Wystarczyło spojrzeć, jak znakomity kontakt udało mu się nawiązać z Jackiem, jak potrafił się wczuć w pogmatwane, mroczne uczucia kilkunastolatka wobec zaginionego przed laty ojca, z jak ogromną wrażliwością podchodził do bolesnych spraw i jak potrafił zachęcić chłopca, by zaczął opowiadać o tym, co go trapi, by wreszcie zwerbalizował swoje problemy.

- Czy mogę zadzwonić do cioci Jenny i powiedzieć jej, że już niedługo wracamy?  
- zapytał Jack, zrywając się z krzesła, gotów, otrzymawszy zgodę stryja, natychmiast biec do aparatu.

Jon skinął głową, a kiedy bratanek zniknął, spojrzał uważnie na syna.

- Doktor Martyne powiedział też, że zgodzi się na wypis, ale najpierw musi się upewnić, że jesteś już w dobrym stanie i zniesiesz długą, męczącą podróż samolotem do Anglii.

- Jestem gotów - zapewnił Max i dodał: - Nie mówię tego tylko przez wzgląd na ciebie, chociaż wiem, jak bardzo chciałbyś być już w domu, z mamą. Z wielu powodów musi być jej znacznie trudniej niż nam tutaj. Myślę też o Maddy. A właśnie, co u niej, tato?

Pytanie zostało zadane tak ostrożnym i niepewnym tonem, że Jon spojrzał na syna z niejakim frasunkiem.

- Maddy dzwoni do mnie codziennie, pytając, jak się czujesz - odparł po chwili. - Byłem pewien, że rozmawiała także z tobą.

- Pewnie boi się, że dziadek zacznie zrzędzić, kiedy zobaczy rachunki za telefon, dlatego rozmawia tylko z tobą.

Max uśmiechnął się niefrasobliwie, ale Jon miał zasępioną minę. Nie zdawał sobie sprawy, że syn dotąd nie rozmawiał z żoną.

- Wracając do twojego wypisu, doktor Martyne uważa, że jesteś w na tyle dobrym stanie, iż możesz wracać prosto do domu i nie musisz być już hospitalizowany w Anglii - powiedział pocieszającym tonem.

- To dobrze - westchnął Max z ulgą, oparł głowę o poduszki i zamknął oczy.

- Jesteś zmęczony - zmartwił się Jon. - Pójdę już, a ty odpocznij trochę.

Kiedy ojciec zamknął za sobą drzwi, Max uniósł powieki. Nie był wcale zmęczony, ale perspektywa szybkiego powrotu do domu budziła w nim rozmaite lęki, z którymi musiał się uporać.

Widział, jak bardzo Jon zdumiony był metamorfozą, która się w nim dokonała po wypadku. Początkowe niedowierzanie, obawa, że Max dla jakichś sobie tylko wiadomych powodów w okrutny sposób bawi się jego kosztem, zmieniło się w miarę upływu dni w ostrożną akceptację, wreszcie w otwartą radość. Mimo bliskości nawiązującej się między synem i ojcem Max nie odważył się zwierzyć Jonowi ze swoich problemów, bo też jak miał wytłumaczyć tak radykalną i dramatyczną zmianę w swoim stosunku do świata i ludzi? Nie potrafił tego uczynić.

Wiedział tylko, że czuje inaczej, że jest inny; tak jakby wszystko to, co stało się w jego życiu, zostało wytarte przez jakąś współczującą dłoń na znak, że otrzymał jeszcze jedną szansę i powinien zacząć od nowa, stać się człowiekiem, którego przecucie obudziło się w nim, kiedy oniemiały z zachwyty kapał się w cudownym blasku czystej, wszechogarniającej miłości.

A jednak pomimo niezwykłego doznania, jakie było jego udziałem, gdy leżał nieprzytomny po wypadku, walcząc o życie, w jego świadomości zachowały się mroczne, bolesne wspomnienia. Pamiętał aż nazbyt dobrze, w jaki sposób traktował Maddy, i zdawał sobie sprawę, że winien jest jej zadośćuczynienie za wszystkie okrucieństwa i że musi zastanowić się nad przyszłością ich związku.

Ten nowy Max, którym właśnie się stał, nie byłby w stanie skrzywdzić żony, to wiedział z całą pewnością, ale wiedział też, że musi być absolutnie szczery wobec siebie. Ożenił się z wyrachowania i odnosił się do Maddy tak strasznie, że teraz nie pojmował, jak mogła z nim tak długo wytrzymać. Miał świadomość wyrządzonych krzywd, żałował za nie, ale...

Ale poczucie winy nie jest równoznaczne z miłością, a on, poślubiając Maddy, nie kochał jej. Trudno byłoby mu teraz opuścić ją, zostawić nieszczęśliwą i cierpiącą, ale trwanie nadal w związku, w którym brakowało miłości, mogłoby być jeszcze bardziej okrutne. Pozostawała też kwestia dzieci. Jego dzieci. Spojrzał na zdjęcie Emmy i Leo, które przysłała mu żona. Z fotografii spoglądał na niego chmurnym wzrokiem synek, spięty i czujny. To on, jego ojciec, powinien sprawić, aby w oczach chłopca zagościła wreszcie radość i beztroska, a na jego buzi pojawił się pogodny uśmiech.

Będzie musiał porozmawiać z Maddy, odbyć z nią szczerą rozmowę. Być może uda mu się dojść z nią do porozumienia, wytłumaczyć swoje stanowisko, może obydwójce uznają, że najlepszym wyjściem dla nich i dla dzieci będzie rozwód.

- Czy miałaś ostatnio jakieś wiadomości od twojego... od Maxa? - zapytał Griff, gdy w towarzystwie Maddy wracał z zaaranżowanego przez Luke'a spotkania z Ericsonami.

Dotąd nie rozumiał, jakim sposobem udało mu się opanować i nie porwać jej w ramiona, kiedy pojechał po nią do Queensmead i zobaczył ją w drzwiach wejściowych. Zerknął teraz na nią kątem oka.

Ubrana w elegancki kostium, z małymi złotymi kolczykami w uszach, wyglądała tak ślicznie, a przy tym wydawała się tak krucha i delikatna, że Griff zatęsknił, by przytulić ją do piersi, zamknąć w ramionach.

- Nie rozmawiałam z nim, tylko z Jonem - odparła Maddy, odwracając głowę tak, że Griff nie mógł dojrzeć wyrazu jej twarzy. - Lekarz, który opiekuje się Maxem, twierdzi, że wypisze go ze szpitala pod koniec tygodnia i Max będzie mógł wrócić do domu.

- Do domu, tak szybko? - zdziwił się Griff. - Czyżby to znaczyło, że...

- Że przyjedzie do Queensmead - odparła cicho Maddy, nadal nie odwracając głowy.

Nie chciała, by Griff dojrzał niepokój, smutek i cierpienie, malujące się w jej oczach na myśl o powrocie Maxa.

Gdyby zamiast do domu, Max trafił do sanatorium gdzieś w Anglii, miałyby czas przywyknąć do nowej sytuacji, przygotować się do pełnienia roli, jakiej się po niej spodziewano.

Ze swoich odczuć, szczególnie tych, które dotyczyły Jenny, nie zwierzała się nawet najbliższemu przyjaciółkom: Olivii, Tullah czy Bobbie.

Przed wypadkiem czuła, nawet jeśli nigdy nie mówiły o tym wprost, że Jenny jest po jej stronie, rozumie ją i współczuje jej, że małżeństwo z Maxem jest nieudane. Teraz zachowywała się przede wszystkim jak matka: zatroskana, jak każda matka, o zdrowie własnego dziecka, stawiała jego dobro i jego potrzeby na pierwszym miejscu. Maddy nie mogła podzielić się z nią swoimi obawami, wyznać, jak bardzo boi się powrotu Maxa.

Nie mogła też rozmawiać o tym z Griffem, bo ten, zaślepiiony miłością, stanąłby bez wahania po jej stronie, tak jak Jenny stawiała po stronie Maxa.

Na szczęście nie domyślał się, jak wielką miała ochotę opowiedzieć mu o swoich

lękach, przyjął jego wsparcie, ale wiedziała, że raz przekroczywszy ów most, nie miałyby już odwrotu. Bardzo ceniła Griffa jako człowieka i podobał się jej jako mężczyzna, ale jej uczucia dla niego były przytłumione przez przykre doświadczenia, jakie wcześniej były jej udziałem w małżeństwie z Maxem.

Jakże łatwo byłoby powiedzieć sobie, że kocha Griffa. Było po temu dość powodów, choćby fakt, że dzieci, szczególnie Leo, bardzo go polubiły.

Instynkt, a także budząca się niezależność przestrzegały Maddy, by nie angażowała się, dopóki nie będzie absolutnie pewna swoich uczuć, i nie uciekała przed problemami w ramiona Griffa. Bardziej rozsądnie będzie odczekać, nabrać dystansu do Maxa, małżeństwa, przeszłości, przyjrzeć się sobie i dopiero decydować się na nowy związek.

To, że musi wystąpić o rozwód, nie ulegało najmniejszej kwestii. Zaangażowanie w sprawy fundacji przekonało Maddy, że stać ją na samodzielność i że potrafi ułożyć sobie życie. Skończyła przecież studia, była wykwalifikowanym prawnikiem. Mimo że nigdy nie odbyła aplikacji i nie praktykowała w zawodzie, mogłaby bez trudu znaleźć pracę, zarabiać na siebie i dzieci. A i bez tego była niezależna finansowo, miała własny fundusz powierniczy.

Coraz częściej myślała o tym, by kupić w Chester jeden z tych uroczych domów z widokiem na rzekę i wieść samodzielne życie.

Były oczywiście sprawy, których żałowała. Zgodziła się przecież zamieszkać w Queensmead między innymi dlatego, by dzieci wychowywały się w najbliższej rodzinie Maxa, ale nie sądziła, by Jenny i Jon zapomnieli o wnukach, tylko dlatego że Maddy zdecydowała się odejść od Maxa. Również Olivia, Tullah i Bobbie nie powinny odwrócić się od niej z powodu rozwodu.

Tak, mogła stworzyć szczęśliwy dom dla siebie, Leo i Emmy. Miała na to dość siły, miała też motywację, by to zrobić. Spojrzała dyskretnie na Griffa.

Tak, miała motywację, lecz zasady moralne, które wyznawała, nie pozwoliły jej zwierzać się ze swoich planów Griffowi, zanim nie rozmówi się z Maxem, ale to mogła uczynić dopiero po powrocie męża do domu, upewniwszy się, że już wyzdrowiał.

Och, jak żałowała, że nie umie zdobyć się na odwagę i zaproponować Jenny, by Max na czas rekonwalescencji zamieszkał u rodziców, wiedziała jednak, że takie rozwiązanie byłoby chowaniem głowy w piasek.

Samolot niczym srebrzysty ptak płynął po błękitnym bezchmurnym przestworzu. Mężczyzna podniósł na moment głowę znad czytanego artykułu i zerknął w niebo.

Gazeta nosiła datę sprzed tygodnia. Ojciec Ignatius przywiózł ją kilka dni wcześniej z Kingston. Czasopisma i dzienniki były luksusem w małym, zagubionym pośród wzgórz hospicjum, które prowadził Ignatius i które stanowiło ostatnią nadzieję, a czasami ostatnią ziemską przystań dla narkomanów i przeróżnych wyrzutków z wyspy w ich drodze do wieczności. Utrzymujące się wyłącznie z datków hospicjum miało do zaoferowania żałośnie nędzne warunki, ale miłość i opieka, jaką ksiądz otaczał swoich podopiecznych, nie miały ceny.

Mężczyzna wiedział o tym z własnego doświadczenia. Ksiądz wydobył go z rynsztoków Kingston, pijanego, poobijanego, brudnego i przywiózł go tutaj, do tej górskiej przystani, gdzie czuwał nad jego rehabilitacją.

Kiedy wreszcie przestał przeklinać ojca Ignatiusa, że nie pozwolił mu umrzeć ani nie chciał dostarczyć upragnionego alkoholu, zaczął obserwować w milczeniu jego codzienną posługę przy chorych.

Ignatius marzył niegdyś, by pójść w ślady sławnych misjonarzy, poświęcać się jak oni, jak oni gorliwie szerzyć wiarę. Jednak z wiekiem przyszła mądrość i refleksja, że skoro Bóg nie obdarzył maluczkich swoją miłością, kimże był on, nędzny śmiertelnik, by zastępować Stwórcę? Przez pewien czas pracował w stworzonej przez Francuzów organizacji Lekarze bez granic i niósł pomoc głodującym Etiopczykom, później zdecydował się przenieść na Jamajkę i stworzyć tutaj skromną misję.

Trudno było powiedzieć, ile lat miał Ignatius, zapewne przekroczył już siedemdziesiątkę, kto wie, czy nie dobiegał osiemdziesiątki.

Z ponurą miną po raz kolejny mężczyzna przebiegał wzrokiem artykuł. Dwóch turystów, napadniętych przez bandę wyrostków i ciężko poranionych, uszło z życiem tylko dzięki interwencji sławnego sportowca. W gazecie zamieszczono zdjęcia: Max na szpitalnym łóżku, twarz znacznie szczuplejsza, niż ją zapamiętał, oczy starsze, mądrzejsze, przygarbiony, posiwiały Jon... Jack...

Serce zabiło mu mocniej. Nie poznał Jacka i zapewne chłopiec nie rozpoznałby jego. Schudł bardzo na księżym garnuszku. Schudł, ale pracując codziennie w hospicjum, ćwiczył mięśnie; malował sale, dokonywał najróżniejszych napraw, przenosił pacjentów. Zapuścił też brodę, bo tak było taniej, niż golić się codziennie. Ojciec Ignatius fukał na zachodnioeuropejski styl życia. Z ogorzałą twarzą, z rozjaśnionymi w słońcu włosami, nadal przecież był uderzająco podobny do człowieka, który spoglądał na niego zmęczonym wzrokiem z niewyraźnego zdjęcia w gazecie.

Słońce przesłoniła chmura. Odwrócił głowę i spojrzał na obserwującego go



księdza.

- To twój brat? - zapytał staruszek, wskazując na zdjęcie Jona.

Nie mieli przed sobą tajemnic. To, czego nie wyznał w alkoholowym amoku, opowiedział Ignatiusowi później.

- Tak, to mój brat - przyznał David cicho.

Mój brat, mój bliźniak, źródło wyrzutów sumienia, pomyślał, ale nie wypowiedział jednak tych słów. Ksiądz i posługa, którą teraz wspólnie czynili, nie dopuszczała możliwości rozczulania się nad sobą. David wskazał na Jacka i powiedział cicho:

- A to mój syn.

- Świetny chłopak. - Ksiądz uśmiechnął się nieco ironicznie. - Ma oczy twojego brata. Jestem pewien, że są bardzo do siebie podobni, powiedziałbym, że mają ze sobą wiele wspólnego.

- Owszem, w rodzinie wszyscy zawsze uważali, że Jack powinien być synem Jona, a Max moim - przyznał David.

Nawet ojcu Ignatiusowi, swojemu najbliższemu i jedynemu przyjacielowi, a także powiernikowi, nie wyznałby, że zszedł z gór do Kingston, do szpitala, gdzie leżeli ranni jego syn i bratanek.

Stał przy łóżku Jacka i patrzył na pogrążonego we śnie syna. Chłopiec wydawał się taki młodziutki, taki bezbronny, że Davidowi serce się ścisnęło na jego widok. Spędził w szpitalu tyle czasu, że wzbudził podejrzenia pielęgniarki, która zdecydowanym tonem kazała mu opuścić oddział.

Widział też Maxa, który był w o wiele gorszym stanie niż Jack; zobaczył też, na krótko przed wyjściem ze szpitala, swojego brata. Przycisnął się za drzwiami i patrzył na przechodzącego Jona; był tak blisko, że mógł go dotknąć.

Jon...

David zamknął oczy.

Jon był człowiekiem, którego Jack teraz potrzebował, do którego teraz się zwracał, który szedł mu teraz naprzeciw. Jon zaskarbił sobie miłość Jacka, podczas gdy on...

Ksiądz spoglądał w zadumie na Davida, który starannym gestem składał właśnie gazetę. Wiedział doskonale, że nie powinien pytać o rodzinę i że David wróci do domu dopiero wtedy, kiedy uzna, że jest gotowy, i będzie czuł, że odpokutował już za swoje winy.

Ignatius myślał o tym z żalem, brakowałoby mu towarzystwa tego inteligentnego, czytanego, miłego człowieka. Na początku, gdy wyprowadzał

David z ciężkiego alkoholizmu, zapytał, czy jego podopieczny nie zamierza wrócić do domu ze względu na dzieci.

- Moja córka ma własne życie - odparł wówczas. - Jeśli zaś chodzi o syna, to zapewniam księdza, że lepiej mu beze mnie. Mój brat jest dla niego znacznie troskliwszym ojcem, niż ja mógłbym być.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, David raz jeszcze przeczytał artykuł, w którym dziennikarz drobiazgowo relacjonował, jakie rany odnieśli napadnięci turyści spędzający wakacje na Jamajce, na tyle nierozważni, by zlekceważyć ostrzeżenia rozmieszczone wokół hotelu.

Luksusowe ośrodki wypoczynkowe należały do zupełnie innego świata niż ten, w którym żył obecnie, pomyślał David, słysząc gniewne pomruki i przekleństwa jednego z pensjonariuszy Ignatiusa. Po tym, co zrobił, nie mógł już wrócić do tamtego świata.

Nie chodziło o konsekwencje prawne dawnych czynów, nie chodziło nawet o gniew ojca. David czuł, że nie byłby w stanie spojrzeć w oczy swojemu bratu.

Jon! Nie przypuszczał, że tak bardzo będzie za nim tęsknił, że tak będzie mu go brakowało. Pomruki nowego pensjonariusza przeszły w zwierzęce wycie. David odrzucił koc i wstał z łóżka.

- Prosiłem Jenny, żeby nie wyjeżdżała po nas na lotnisko, bo sami dotrzemy do domu - powiedział Jon, widząc, że syn rozgląda się po twarzach oczekujących w sali przylotów.

Max skinął głową. Był zmęczony po długim locie, znacznie bardziej, niż przypuszczał, pomyślał smętnie, wspierając się na ramieniu Jona. Rana na nodze od czasu do czasu nadał mu dokuczała, teraz zaś przyprawiała o nieznośny ból. Chociaż nie myślał o spotkaniu z rodziną i marzył tylko o tym, żeby znaleźć się w łóżku, w chłodnej, mrocznej sypialni, zażyć silne środki przeciwbólowe i zasnąć, to jednak rozglądał się, szukając w tłumie twarzy Maddy.

Wiedział, że jej nie zobaczy, skoro Jon prosił, by nikt z rodziny nie wyjeżdżał na lotnisko. Maddy była zawsze przewidywalna, posłuszna i pokorna niczym małe dziecko.

Zmierzchało już i pierwsze krople deszczu zaczęły spadać z pociemniałego nieba, gdy szli w stronę postoju taksówek. Max zadrżał z zimna. Schudł bardzo i osłabł w czasie rekonwalescencji.

Jazda do Queensmead trwała wieki, ale wreszcie dotarli do rezydencji Bena: w reflektorach taksówki pojawiły się znajome zarysy domu.

Wóz zatrzymał się, Jon uregulował rachunek i Max wysiadł, wzdrygając się przed chłodem; w drzwiach wejściowych stała już matka i dziadek.

Od chwili wypadku Jack trzymał się Maxa niczym pies, gotów chronić go przed każdym zagrożeniem, wysiłkiem czy niewygodą. Teraz też nie pozwolił kuzynowi dźwigać bagaży.

Na widok zbliżającego się syna Jenny postąpiła niepewnie kilka kroków w jego kierunku.

„Zmienił się”, powtarzał Jon przez telefon, ale nie miała pojęcia, jak radykalna była zmiana, która się dokonała w synu. Dopiero kiedy spojrzała w oczy Maxa i dojrzała w nich to, czego nie spodziewała się już nigdy w nich zobaczyć, zrozumiała, co mąż miał na myśli, opowiadając o metamorfozie.

Ze łzami, zdumiona i szczęśliwa, otworzyła szeroko ramiona i podeszła do Maxa, zapominając o wcześniej przygotowanych słowach powitania i pełnych niepokoju pytaniach dotyczących zdrowia.

- Och, Max, Max - wykrztusiła ze ściśniętym gardłem, tak wzruszona, że nie była w stanie powiedzieć nic innego.

Mówiąc o ludziach umysłowo niedorozwiniętych, opóźnionych w rozwoju, niepełnosprawnych, używa się niekiedy określenia „boże dzieci”. Otóż Max, aczkolwiek w pełni sprawny umysłowo, wydał się Jenny również „bożym dzieckiem”, tyle że w innym znaczeniu słowa, niż chciało ludowe powiedzenie. Ruth na pewno zrozumie, o czym myślała Jenny, nawet jeśli na odległość nie do końca będzie mogła zdać sobie sprawę, jak głęboka była metamorfoza, która dokonała się w Maksie. Tak, Max przed wyjazdem na Jamajkę był człowiekiem, którego matka częstokroć nie lubiła, nawet nim gardziła, ten nowy nappełniał ją trwożną miłością.

Kiedy uwolniła się z jego objęć i spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że Max doskonale wie, co czuje w tej chwili jego matka.

W holu rozległy się szybkie kroki. Max wstrzymał oddech, zeszywniał na widok synka i maleńkiej Emmy. Leo podniósł wzrok na ojca, niepewny, czujny, gotów w każdej chwili odwrócić się i uciec.

Max zostawił Jenny, wszedł do holu i przyklęknął na jedno kolano, ignorując ból w nodze.

- Witaj, Leo - powiedział cicho.

Później, gdy Jenny próbowała opisać reszcie rodziny tę scenę, nie mogła znaleźć właściwych słów na opisanie tego, co się stało.

- To było zupełnie jak w jakimś filmie. Myślałam, że Leo ucieknie, ale kiedy Max

do niego przemówił, chłopiec rozpromienił się niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Spojrzał na Maxa, uśmiechnął się. Nigdy wcześniej nie widziałam u niego takiego uśmiechu. Podbiegł do ojca i rzucił mu się w ramiona.

- Tato - szepnął uszczęśliwiony, tuląc się do Maxa. - Tato - powtórzył drżącym głosem, gdy Max odwrócił głowę i pocałował go serdecznie.

Niepewna, w jakim Max wróci nastroju, Maddy kazała zostać dzieciom w kuchni. Kiedy zobaczyła, że obydwójce wybiegli do holu, wpadła w popłoch. Teraz przyglądała się Maxowi, który klęczał na podłodze, obejmując czule synka, a drugą rękę wyciągnął, by przygarnąć małą Emmę. Scena ta tak wstrząsnęła Maddy, że zamarała w drzwiach.

Z córką na ręku, z synem uczepionym spodni Max podniósł się i postąpił krok w stronę Maddy. Coś do niej mówił, ale była tak zaszokowana, że nie docierało do niej znaczenie słów.

Czuła na sobie wyczekujące spojrzenie Jenny, nie była jednak w stanie zdobyć się na żadną reakcję, odpowiedzieć na serdeczność, którą widziała w oczach męża. Całkiem odrętwiała, nie potrafiła odegrać roli stęsknionej żony witającej męża w progach domu, jak wszyscy oczekiwali. Odwróciła się na pięcie, przebiegła szybko hol i zniknęła w kuchni.

Zanim zatrzasnęła za sobą drzwi, usłyszała jeszcze płaczliwy głos Leo:

- Gdzie mamusia?

- Poszła do kuchni wstawić wodę na herbatę - uspokoił synka Max i nisko schylił głowę, aby ani rodzice, ani dziadek nie widzieli wyrazu jego twarzy.

Wstrząsnął nim widok Maddy. Wiedział, że to ona, Maddy, ale nie rozpoznawał jej. Straciła na wadze, miała inną fryzurę, ale nie w tym tkwiła zmiana. Wyczuwał w żonie jakąś nową stanowczość, siłę, dystans wobec siebie. Poczuł się tak, jakby go przed chwilą fizycznie odepchnęła. Jeszcze bardziej zdumiała go jednak i zaniepokoiła własna reakcja na widok Maddy.

Zamiast spojrzeć na nią z mieszaniną skruchy i obojętności, jak oczekiwał, miał ochotę porwać ją w ramiona i ponieść na górę do sypialni.

Pragnął jej z całego serca, tak jakby jego ciało i umysł rozpoznały w Maddy bratnią duszę, choć nie miało to nic wspólnego z nowym, bardzo atrakcyjnym wizerunkiem żony. Max nigdy dotąd nie doświadczył podobnego uczucia, podobnej tęsknoty i pożądania, choć wiedział, że zawsze musiał tak pragnąć Maddy, tak ją kochać, aczkolwiek dotąd sobie tego nie uświadamiał.

- Tatusiu - pisnęła Emma, gdy Max bezwiednie przygarnął córeczkę mocniej do siebie.

- Przepraszam, maleńka - powiedział z uśmiechem, ucałował dziewczynkę i postawił ją na ziemi.

- Musisz być bardzo zmęczony po podróży - odezwała się Jenny. - Chodź na górę, do sypialni, powinienes się położyć.

- Nie jestem inwalidą, mam - zaproponował Max, ale rzeczywiście czuł się wyczerpany, noga dokuczała mu bardziej niż zwykle.

Widząc, że kuzyn porusza się z trudem, Jack przyskoczył do Maxa, jak zwykle skory do pomocy i opieki.

Eskortowany przez matkę, dziadka, dzieci i kuzyna, otoczony troską i miłością, Max powoli wspinał się po schodach. Odprowadzali go wszyscy z wyjątkiem Maddy, jego żony, jego miłości.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Rozumiem, że odpowiada ci data, którą wyznaczyli Ericsonowie na spektakl dobroczynny, tak, Maddy?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie Griffa, Maddy zapatrzyła się w okno i obserwowała Maxa spacerującego po trawniku w towarzystwie Leo i Emmy.

Max był w domu prawie od miesiąca i przez ten czas stosunek Maddy do niego zmienił się z pełnego dystansu i ostrożności w... Właśnie, w co?

Kiedy Griff przyjechał tego dnia na spotkanie, zastał Maddy w ogrodzie razem z mężem i dziećmi. Podszedł przywitać się, delikatnym gestem zdjął bazię, która zaplątała się w jej włosy, i wtedy dostrzegł ostrzegawcze, zaborcze spojrzenie Maxa, mówiące wyraźnie: nie dotykaj mojej żony.

- Maddy - powiedział nieco cierpko Griff, chcąc, by odwróciła się od okna.

- Przepraszam, zamyśliłam się, nie dosłyszałam, o czym mówiłeś.

- Pytałem, czy odpowiada ci zaproponowany przez Ericsonów termin spektaklu?

- Termin? Tak, oczywiście - zgodziła się Maddy, ale myślami była zupełnie gdzie indziej.

Griff wolał, by spotykali się w jego biurze w Chester, miał wtedy Maddy wyłącznie dla siebie, nie musiał tak rozpaczliwie zabiegać o jej uwagę.

- Max bardzo dobrze wygląda - powiedział nieoczekiwanie.

- Tak, rzeczywiście - przytaknęła Maddy.

- Musi być ci ciężko - ciągnął Griff.

Maddy ponownie spojrzała na Maxa, który wysoko podrzucał córeczkę. Rozradowane twarze całej trójki wyraźnie mówiły, że mąż i dzieci świetnie się bawią i dobrze czują ze sobą.

Zachowanie Maxa zmieniło się w sposób zasadniczy. Odnosił się inaczej nie tylko do dzieci, ale do wszystkich wokół. Maddy czasami miała ochotę się uszczypnąć, by nabrać pewności, że nie śni. Max przejął część obowiązków domowych, zawoził i przywoził dzieci z przedszkola, jeździł z Benem do szpitala na badania kontrolne.

Zmiana była tak wyraźna, że wszyscy, którzy stykali się teraz z Maxem, nie mogli się powstrzymać od komentarzy. Nawet Luke, który nigdy niczego dobrego nie powiedział o Maksie, przyznawał, że w nagłej przemianie kuzyna jest coś niemal biblijnego, co napawa trwogą.

- Nie sądzisz, że on bawi się naszym kosztem? - zapytała Maddy.

Luke zasępił się, przez chwilę rozważał coś w myślach, wreszcie odparł,

wprawiając Maddy w zdziwienie swoją odpowiedzią:

- Nie, nie przypuszczam, żeby się nami bawił. Trudno mi to pojąć, ale Max rzeczywiście przeszedł głęboką metamorfozę. Jest teraz zupełnie innym człowiekiem niż przed wyjazdem na Jamajkę.

Maddy rozumiała, o czym Luke mówi: chociaż Max wyglądał tak jak dawniej, jego charakter uległ całkowitej przemianie.

Od chwili powrotu do Queensmead codziennie odwiedzał rodziców, rozmawiał z nimi całymi godzinami na temat przeszłości, ale nie tylko, mówił również o teraźniejszości i o przyszłości.

Zbliżył się bardzo do Jona, nawiązał bliski kontakt z własnymi dziećmi, stał się dobrym synem i czułym, kochającym ojcem. Leo zdawał się rozkwitać otoczony serdeczną ojcowską opieką.

Tylko ona jakby była wyłączona z tego kręgu miłości, pomyślała, czując bolesny ucisk w gardle.

Nie, Max nie był wobec niej opryskliwy czy niemły, wręcz przeciwnie, tyle tylko że...

Szybko odwróciła głowę od okna i spojrzała nieco smutno na Griffa.

- Dzieci są zachwycone, że Max spędza z nimi tyle czasu - odparła na jego wcześniejsze zastrzeżenia, jak zawsze stawiając dobro Emmy i Leo na pierwszym miejscu i przemilczając własne odczucia.

Griff w zamyśleniu spoglądał na scenę rozgrywającą się w ogrodzie. Max z taką serdecznością odnosił się do dzieci, że na pewno nie zgodziłby się na rozstanie z nimi, walczyłby o nie. Był ich ojcem, co jeszcze dobitniej uświadamiało Griffowi, że on nigdy nie będzie nim mógł zostać. Nigdy nie będzie bawił się z własnymi dziećmi, tak jak Max. Nie da dzieci ani Maddy, ani żadnej innej kobiecie.

- Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś przyjechać do Chester w przyszłym tygodniu, wybralibyśmy się razem na lunch - zaproponował cicho, pełnym wahania głosem.

Maddy spojrzała na niego bezradnie. Chciała powiedzieć tak, ale sumienie jej nie pozwalało. Serce ją bolało, że musi sprawić Griffowi ból, ale dopóki nie wyjaśni sytuacji z Maxem, nie rozmówi się z nim na temat przyszłości ich małżeństwa, nie czuła się wolna, by nawiązywać bliższe kontakty z Griffem.

Jak na ironię teraz, kiedy była na tyle silna, niezależna, przekonana o własnej wartości, że mogła myśleć o rozwodzie i życiu bez wsparcia rodziny Maxa, nie potrafiła zdecydować się na rozłączenie małego Leo z ojcem, gdyż wiedziała, że wyrządziłaby chłopcu krzywdę nie do naprawienia.

Każdy dzień przynosił kolejne dowody tego, jak bardzo synek spragniony był ojcowskiej serdeczności, jak silna, męska więź zadzierzgnęła się w ostatnich tygodniach między nim a Maxem.

Emma też, ma się rozumieć, kochała ojca, bawiła się z nim, dokazywała, ale była znacznie silniejsza emocjonalnie niż jej brat, nie potrzebowała tak ogromnej aprobaty i tyle miłości, co Leo.

Maddy opuściła głowę. Czasami miała wrażenie, że jest jedyną osobą wykluczoną z ciepłego kręgu, który Max stworzył wokół siebie, jedyną, która nie wierzyła do końca w trwałość metamorfozy męża.

- Co się dzieje, Maddy?

Podniosła wzrok, pokręciła głową i uśmiechnęła się z przymusem do Griffa.

- Nic - zapewniła pospiesznie, gdy Griff podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

Max przestał sznurować bucik synkowi i spoglądał na scenę rozgrywającą się w salonie. Nie było w niej żadnego podtekstu seksualnego, ale uczucia łączące Griffa i Maddy zdawały się dość czytelne. Nie musiał nawet słyszeć, o czym tych dwoje rozmawia, wiedział instynktownie, że Griff jest zakochany w jego żonie. Czy Maddy również była zakochana w Griffie?

Tego nie był pewien. Nowa, pewna siebie, zadbana, elegancka Maddy, która przywitała go po powrocie z Jamajki, bardzo go intrygowała. Znalazł się w paradoksalnej sytuacji. Świadomość, że kocha lekceważoną dotąd, poniżaną i poniewieraną żonę, stanowiła nie byle problem, a na dodatek Maddy bardzo się zmieniła, stała się taka samodzielna i niezależna. Po wszystkim, co wycierpiała przez niego, nie mógł jej winić, że odnosi się do niego z chłodnym dystansem.

Nie chciał jej teraz do niczego zmuszać, przyspieszać decyzji, wywierać jakiegokolwiek nacisku. Odkrył, że nie tylko ją kocha, ale też szanuje, o czym teraz musiał przekonać Maddy. Uznał, że zamiast narzucać się jej, ciągnąć na siłę do łóżka, jak by to uczynił dawny Max, najlepiej będzie spokojnie czekać, aż żona dostrzeże zmianę w jego stosunku do niej.

Droga, którą obrał, była jednak niezwykle frustrująca. Widząc teraz sylwetkę Maddy ze smutno pochyloną głową, miał ochotę pobiec do salonu, odepchnąć Griffa i porwać ją w ramiona. Pragnienie to okazało się tak silne, że zanim zdążył się zreflektować, szedł już szybkim krokiem w stronę domu.

Co stało się z człowiekiem, który wracając do domu, obiecywał sobie, że jego obowiązkiem powinno być uwolnienie żony z oków nieudanego małżeństwa, ale teraz myślał ze smutkiem, że na tyle ma jeszcze cech starego Maxa, iż nie chciał



oddawać Maddy bez walki. Widział, że Griff ją kocha, i współczuł mu serdecznie, gdyż dobrze rozumiał, jakim cierpieniem jest kochać kobietę, której nie można mieć. Maddy jednak była jego żoną i Max zamierzał wykorzystać tę przewagę nad rywalem.

Miał jeszcze inne atuty, myślał, patrząc na dzieci, ale zanadto je kochał, zbyt ważne było dlań ich dobro, by wykorzystywać je w swojej batalii o zdobycie uczuć żony.

Serce ścisnęło mu się na myśl, jak łatwo mógł stracić cud, jakim była miłość dzieci. Teraz zaczynał rozumieć, że jego rodzice mówili prawdę, twierdząc, iż zawsze go kochali.

- Nigdy, przenigdy nie traktowaliśmy cię jak kogoś, kto miał nam zastąpić Harry'ego - zapewniała go Jenny z mocą, kiedy opowiedział jej, co czuł, kiedy był dzieckiem. - Bardzo pragnęłam cię mieć, kochałam cię dla ciebie samego, Max, ale po porodzie chorowałam, minęły trzy długie dni, zanim mogłam cię przytulić. Teraz, gdy wiadomo, jak ważne są te pierwsze wspólne chwile dla matki i dziecka, coś podobnego byłoby nie do pomyślenia - dodała z żalem.

- Żyłem dotąd w przekonaniu, że mnie nie chcieliście i że powinienem być dzieckiem Davida - zwierzał się Max rodzicom.

- Ja zaś czułem, że nie byłem dla ciebie dobrym ojcem - wyznał z kolei Jon.

Stare rany zostały oczyszczone i zaczęły się powoli zablizniać. Max otoczył troskliwą miłością rodziców, którzy wiele wycierpieli we wczesnych latach swojego małżeństwa z racji zaślepienia Bena, jego zainteresowania tylko Davidem i odrzucenia Jona.

- Udało się spotkanie?

Maddy zeszywniała na to nieoczekiwane pytanie Maxa i dopiero po chwili obróciła ku niemu twarz.

Wrócił do domu z dziećmi, gdy Griff właśnie się zegnał, ale mimo że zachowywał się wobec gościa bez zarzutu, Maddy wręcz fizycznie czuła, że odnosi się do niego nieufnie, i gotowa była bronić przyjaciela przed ewentualnymi docinkami męża.

Dawny Max bez wątpienia pozwoliłby sobie na jakąś złośliwość, ale nowy Max z uśmiechem uściskał dłoń Griffa i odprowadził go do samochodu.

Teraz wszedł za Maddy do salonu, gdzie zostawiła dokumenty fundacji, które chciała uprzątnąć po odjeździe Griffa.

- Chyba tak - odparła lekko zdławionym głosem. - Ericsonowie wyznaczili już datę dobroczynnego przedstawienia.

Max podszedł do stołu i zaczął zbierać dokumenty, pomagając żonie.

- Wiesz, myślałem, że wprowadzie wasza fundacja zajmuje się zapewnianiem bezpiecznych, tanich mieszkań samotnym matkom, ale może byłoby dobrze w każdym z waszych domów stworzyć wspólną bawialnię, gdzie ojcowie mogliby odwiedzać dzieci.

Maddy była tak zdumiona słowami Maxa, że upuściła trzymane w dłoni papiery.

- Wiem, o czym myślisz - ciągnął Max, nie czekając na odpowiedź. - Większość tych mężczyzn nie interesuje się swoimi dziećmi, co należy przypisać faktowi, że są to na ogół młodzi, lekkomyślni chłopcy, ale gdyby mieli szansę odwiedzać je, z czasem może zrozumieliby swój błąd, zaczęli myśleć o opiece nad opuszczonymi maluchami i o założeniu rodziny. Warto chyba pokusić się o coś takiego. To oczywiście tylko sugestia - dodał z wahaniem. - Nie chcę się wtrącać. Wszyscy widzą, że robisz świetną robotę, Maddy. Moja matka nie dalej jak wczoraj mówiła, jak znakomicie funkcjonuje wasza fundacja, od kiedy weszłaś do zarządu.

- Przekażę twój pomysł innym członkom naszej rady - odparła Maddy, pomijając pochwały pod swoim adresem. Musiała przyznać, że koncepcja Maxa, zrodzona z troski o dobro dzieci i z chęci dania szansy młodym ojcom, brzmiała sensownie i powinna rozważyć ją rada fundacji.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział cicho Max, podnosząc rozrzucone papiery.

Od czasu wypadku bardzo urosły mu włosy, Maddy nagle poczuła przemożną ochotę, by wyciągnąć dłoń i odgarnąć opadające na czoło, jedwabiste kosmyki. Przestraszona tym atakiem czułości, cofnęła się o krok.

- O niczym nie myślałam - powiedziała szybko, zbyt szybko, wnosząc ze spojrzenia, jakie posłał jej zdziwiony Max.

Wytrącało ją z równowagi to, że w dalszym ciągu czuła pociąg do Maxa, mimo że mąż od powrotu z Jamajki zachowywał się wobec niej z kurtuazją i nie wspominał o seksie, jakby ta sprawa w ogóle nie istniała.

Kiedy zaraz po przyjeździe odkrył, że przygotowała mu jeden z pokoi gościnnych, spojrzał na nią badawczo, ale nie skomentował jej decyzji, gdy speszona tłumaczyła, że na czas rekonwalescencji, dopóki rany nie zabliznią się całkowicie, powinien mieć oddzielną sypialnię.

Mijał właśnie tydzień, od chwili gdy lekarz w Haslewich uznał go za zupełnie zdrowego, i Maddy oczekiwała, że w każdej chwili Max oznajmi, jakby to uczynił przed wypadkiem, że przenosi się do ich wspólnej sypialni.

Nie poruszał jednak tej kwestii, a ona coraz częściej spoglądała na niego jak na mężczyznę. Pod tym względem nic się nie zmienił; należał do mężczyzn, którzy przyciągają pełne uznania, zafascynowane spojrzenia kobiet, przekonanych, że

mają przed sobą uosobienie kochanka doskonałego. Tymczasem Max, w każdym razie Maddy miała takie doświadczenia, był wyjątkowo samolubnym kochankiem, jeśli w ogóle można było nadać mu miano kochanka.

Instynktownie wiedziała, że w ramionach Griffa znalazłaby czułość, opiekuńczość, bezinteresowność, których nie potrafił dać jej Max, ale Griff, mimo że był przystojny, mimo że ją kochał, nie wzbudzał w niej tych emocji, które budził Max.

Budził? Szybko odwróciła wzrok od męża.

Życie jak zakonnica było łatwe, kiedy Maxa nie było w Queensmead, ale teraz, kiedy miała go na co dzień, sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Na przykład tego dnia rano krzyknęła na Emmę, tylko dlatego, że miała wesoło tuliła się do ojca, a ją zdjęła tak straszna zazdrość, tak ogromne pragnienie, by znaleźć się na miejscu córki, że uciekła do kuchni, zanim Max zdążył się zorientować, jakie rozterki dręczą żonę, co myśli, co czuje.

- Może chcesz, żebym wymienił dzisiaj książki dziadka w bibliotece? Po południu będę w Haslewich, umówiłem się z ojcem - zaproponował Max, kiedy odkładała uporządkowane starannie papiery na biurko.

- Znowu umówiłeś się z Jonem? To już trzeci raz w tym tygodniu. Wczoraj byłeś u nich na kolacji.

- Możesz pojechać ze mną - powiedział Max, patrząc zdziwionym wzrokiem na żonę.

- Tak nagle, bez uprzedzenia? A co zrobię z Leo i Emmą?

- Wiesz, że mama się ucieszy, jeśli zabierzemy ich ze sobą.

Przyglądał się Maddy uważnie.

- Znowu zeszczuplałaś - odezwał się. - Muszę porozmawiać z mamą. Teraz, kiedy pracujesz dla fundacji, powinnaś mieć kogoś do pomocy w Queensmead. Wydaje mi się, że Guy Cooke ma jakąś daleką krewną, która mogłaby zamieszkać u nas.

Maddy oniemiała na chwilę. Nikt, nawet Griff nie zwrócił uwagi, że zeszczuplała. Nikt też nie sugerował, że powinna zatrudnić kogoś do pomocy. Zamiast wzruszenia troską Maxa poczuła złość.

- Nie zdaje ci się, że przesadzasz z tą dobrocią? Jeszcze nie tak dawno nic a nic cię nie obchodziło, jak sobie radzę z obowiązkami i co się dzieje w Queensmead. A że straciłam kilka kilogramów, to chyba lepiej, niż gdybym przybrała na wadze.

- Lepiej? - burknął Max, unosząc brew i zanim zdążyła zareagować, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie, drugą ręką obejmując w talii. - Jesteś

drobniutka i krucha jak wróbelek. Żebra można ci policzyć.

Policzyć! Dobrze sobie. Serce tłukło się jej w piersi tak gwałtownie, że jeszcze chwila, a gotowe pokruszyć biedne kości.

- Maddy...

Zerknęła niepewnie na Maksa i dech jej zapało. Jak on na nią patrzył, jak wpatrywał się w jej usta.

- Max... - zaczęła drżącym głosem.

On przyjął jej szept jako nie tyle przestrożę, co zaproszenie i przyciągnął ją bliżej, nachylił głowę i musnął jej wargi delikatnym pocałunkiem.

Maddy poczuła, że kręci się jej w głowie. Nie reagowała tak silnie na niego nawet na pierwszej, pamiętnej randce. Dłoń oparła na jego piersi, on przysiadł na blacie biurka, tak że stała teraz między jego nogami. Zadrżała, próbowała się odsunąć, wydobyć z pułapki.

- Max - szepnęła ponownie, ale jej nie słuchał.

Zamknął oczy, długie rzęsy rzucały wyraźny cień na opaloną skórę, upodabniając Maxa do Leo.

Drżała z podniecenia, drżała coraz mocniej i może wyzwoliłaby się z uścisku męża, gdyby w tej samej chwili nie podniósł powiek i nie spojrzał jej głęboko w oczy.

To, co dojrzała w jego twarzy, sprawiło, że wstrzymała na moment oddech. Tylko raz wcześniej widziała tę twarz tak napiętą, tak ściągniętą pożądaniem, ale nawet wtedy było to coś innego. Teraz natomiast...

- Maddy...

Usłyszała w jego głosie prośbę, wręcz błaganie, po czym rozchylił językiem jej usta i począł całować namiętnie, żarliwie.

Mój Boże, jak wspaniale jest ją całować, pomyślał Max, usiłując kontrolować gwałtowne reakcje swojego ciała. Obiecywał sobie, że nie straci panowania, że będzie cierpliwy, wyrozumiały, ostrożny i delikatny, ale porwany pragnieniem, miłością, pożądaniem, w jednej sekundzie zapomniał o dobrych, szlachetnych intencjach.

- Maddy - powtarzał niczym zadurzony sztubak i nie przestawał całować, lękając się, że jeśli zwolni uścisk, Maddy ucieknie, zniknie.

Przed oczami stawały mu obrazy jej nagiej sylwetki, jej delikatnej, połyskliwej skóry, skąpanej w księżycowej poświacie, jej ciepłych, nieśmiałych pieszczot.

Niegdyś podniecała go myśl, że potrafił rozbudzić Maddy, sprawić, by go pożądała. Teraz sytuacja się odwróciła: to on jej pragnął, pożądał, to on tracił

kontrolę nad swoimi doznaniem, chciał, by wymawiała słowa, których niegdyś, dawno, dawno temu, ona dopominała się od niego.

- Kochasz mnie? Powiedz, że tak. Powiedz, pokaż, że mnie kochasz. Maddy, proszę, kochaj mnie.

- Nie, Max, dzieci zaraz wejdą - broniła się stropiona i poruszona.

Wreszcie oderwała nabrzmiałe wargi od ust męża, wyzwoliła się z jego ramion. Drżała od stóp do głów, twarz jej pałała, zerknęła przelotnie na owczą skórę leżącą przed kominkiem, przez głowę przelatowały szalone obrazy. Gdyby Max wziął ją na ręce i zaniósł tam, położył, kochał na podłodze...

Na szczęście do salonu wtargnęły dzieci, ich skłócone głosiki dobiegały już z holu. Maddy nachyliła się i wysłuchiwała ich wzajemnych pretensji, kładąc kres sprzeczce rodzeństwa, rada, że może ochłonąć z podniecenia, o jakie przyprawiły ją pocałunki Maxa.

Max spod oka obserwował zajętą dziećmi żonę. Pragnął jej z całego serca i wiedział, że gdyby w tej chwili spojrzała na jakiegokolwiek innego mężczyznę, tak jak patrzyła wcześniej na Griffa, to gotów byłby rozerwać potencjalnego rywala na strzępy, tak pierwotne trawiło go pożądanie.

Maddy zaparkowała na jednym z parkingów w śródmieściu Chester, spojrzała na nazwę ulicy, przy której zostawiła samochód, i przeszła na drugą stronę jezdni.

Od owego popołudnia, kiedy Max ją pocałował, ich życie toczyło się tym samym, ustalonym, przewidywalnym rytmem. Max zajmował się dziećmi, pomagał jak mógł w domu i odkładał z dnia na dzień datę wyjazdu do Londynu oraz powrotu do pracy w kancelarii.

Spokojne domowe wieczory spędzali w Queensmead lub w Haslewich, co było tak odmienne od dotychczasowego stylu życia Maxa, że Maddy nadal nie mogła się przyzwyczać do zmiany.

Przed kilkoma dniami wróciła do domu późno, zmęczona i zła, że nie udało się jej przekonać sponsora, który miał wyłożyć pieniądze na kolejne mieszkania dla samotnych matek z Mums & Babes. Była przemarznięta, zmoknięta, bo rozpętała się lodowata ulewa.

Kiedy znalazła się wreszcie w zaciszu Queensmead, okazało się, że Max, nie czekając na nią, wykąpał dzieci i położył je spać. Mało tego, przygotował nawet kolację dla nich obojga. Tak ją to zaskoczyło, że zaniemówiła. Bez słowa usłuchiwała, kiedy kazał jej natychmiast iść na górę, wziąć gorącą kąpiel, przebrać się i dopiero zejść na kolację przy kominku. Było to wyjątkowo miłe, a jeszcze miłszą

nie spodziankę sprawił jej, gdy przyszedł do łazienki i sam wytarł jej mokre włosy. Kazał jej usiąść na krześle, wyjął ręcznik z rąk i wysuszył włosy.

Świadoma tego, jak musi wyglądać w samym tylko frotowym płaszczu kąpielowym, siedziała niepewnie na brzeżku krzesła, gotowa w każdej chwili czmychnąć, aż wreszcie, widząc jej spłoszoną minę, Max powiedział uspokajająco:

- Maddy, wszystko w porządku, nie denerwuj się. Pragnę cię każdym nerwem ciała, ale zapewniam, że nie rzucę się na ciebie i nie zaciągnę do łóżka. Widzę przecież, jaka jesteś zmęczona i nawet ja rozumiem, że potrzebujesz teraz talerza gorącej zupy, a nie pieszczot. Przestań więc ścisnąć tak ten szlafrok pod szyją, bo jeśli mnie nie posłuchasz, to...

Przerwał i uśmiechnął się przekornie do jej odbicia w lustrze.

- Powiedzmy, że znam cię zbyt dobrze, by podejrzewać o chęć prowokowania, ale ten osłaniany tak rozpaczliwie dekolt jest o wiele bardziej nęcący niż negliż.

Przestała szarpać i tarmosić kołnierz szlafroka, ale czuła się spłoszona i podniecona niczym szesnastoletnia pensjonarka, a nie kobieta z wieloletnim stażem małżeńskim, która we własnej sypialni pozwala mężowi wysuszyć sobie włosy.

Własnemu mężowi... Maddy drgnęła, oblała się rumieńcem. Prawdę powiedziawszy, Max był teraz znacznie bardziej jej mężem i ojcem ich dzieci niż wówczas, kiedy dzielili małżeńskie łóżko. Kłopot w tym, że jej ciało... Nie, nie wolno jej o tym myśleć.

Jej ciało rozpaczliwie pragnęło Maxa, tęskniło do nieobecnej w ich życiu, nigdy niezaznanej intymności, ale jej mózg, jej instynkt matki ostrzegały ją, że nie może dać się zranić po raz kolejny, nade wszystko zaś musi strzec przed zranieniem dzieci.

- Kiedy zamierzasz wrócić do pracy? - zapytała na początku tygodnia.

- Chcesz się mnie pozbyć? - odparował wówczas pytaniem na pytanie.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła pospiesznie. - Chodzi tylko o to, że...

Głos się jej załamał. Jak miała powiedzieć, że coraz trudniej znosi jego obecność w Queensmead, że coraz częściej śni o nim po nocach, a potem budzi się zdjeta nieprzewartą tęsknotą.

Pokręciła głową, odganiając dręczące myśli, i skupiła się na sprawach, które sprowadzały ją tego przedpołudnia do Chester. Miała spotkać się z Griffem, by omówić sprawy finansowe fundacji, potem zamierzali wybrać się na lunch. Znowu ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Prędzej czy później będzie musiała zdecydować, jakie miejsce w jej życiu zajmuje Griff. Prędzej czy później będzie musiała

rozmówić się z Maxem.

Max... Rano zszedł na dół ubrany w szary, prążkowany garnitur, uroczysty i wytworny. Po wypadku lekko posiwiiał, z czym było mu bardzo do twarzy. Paradoksalnie ze szpakowatymi skroniami wydawał się młodszy, zamiast starszy.

- Praca - oznajmił lakonicznie, kiedy zmierzyła go zdziwionym wzrokiem, ale nic więcej nie powiedział, ona zaś nie pytała, zakładając, że mąż prawdopodobnie postanowił jechać do Londynu, nie zamierza jednak omawiać z nią swoich planów.

Poczuła się zraniona, odsunięta na bok, zlekceważona, ponieważ na chwilę przed jej wyjściem z domu zadzwonił Jon i oznajmił dobrodusznie, że chciał życzyć synowi powodzenia.

A więc i Jon, i Jenny musieli wiedzieć, co Max zamierzał. Wtajemniczył rodziców, jej natomiast nie chciał nic zdradzić, nie powiedział ani słowa.

Wyszła urażona, nie pożegnawszy się z mężem. Do Chester jechała szybciej niż zwykle. Nie miała pojęcia, jak długo Max zamierza zostać w Londynie, ale była prawie pewna, że spędzi w stolicy noc, korzystając z ich mieszkania.

- Wszystko w porządku? - zatroskał się Griff, kiedy sekretarka wprowadziła ją do gabinetu.

- Tak, w porządku - odpowiedziała spiętym, nie swoim głosem.

- Coś się stało, widzę to - upierał się, ale Maddy energicznie pokręciła głową.

- Wszystko dobrze - zapewniła już zirytowana i zaraz pożałowała, widząc wyraz jego twarzy. - Przepraszam cię, Griff - wycofała się natychmiast. - Ja po prostu... - Zamilkła.

- Maddy, wiesz doskonale, co do ciebie czuję - zaczął porywczo, wyciągając ku niej dłoń, ale Maddy cofnęła rękę i ponownie pokręciła głową. - Rozumiem, rozumiem - powiedział. - Ty i Max. Chciałem tylko, żebyś wiedziała. Zawsze możesz się do mnie zwrócić w potrzebie.

Maddy poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Och, Griff, nie powinieneś tego mówić. Ty zasługujesz na kogoś, na kogoś, kto...

- Nie potrafiła go pocieszyć, dodać mu otuchy, której potrzebował.

Kiedy Maddy wyszła po krótkiej rozmowie, resztę spraw postanowili omówić później, Griff stał przez długą chwilę bez ruchu.

Maddy budziła w nim opiekuńczą, zaborczą i bardzo intensywną miłość. Nie przypuszczał, że jest zdolny do równie silnego uczucia. Może zbyt silnego. Takie uczucia łatwo się wypalają, myślał, zdumiony własnymi doznaniem.

Racjonalna, logiczna strona jego natury podpowiadała mu, że zakochał się zbyt

szybko i że jego uczucie nie przetrwa próby czasu. Gdzieś pośród cierpienia pojawiło się coś, co pewnego dnia mogło stać się rzeczywistością, przynieść mu ulgę. Tego ranka dostał list od starego przyjaciela, który kupił właśnie nowy dom w Kanadzie i teraz zapraszał go do Vancouver. Może powinien pojechać?



# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maddy wracała właśnie do samochodu po spotkaniu z Griffem, kiedy zobaczyła Maxa przed hotelem Grosvenor: stał odwrócony do niej plecami i obejmował jakąś kobietę.

Patrzyła, jak Max nachyla głowę nad twarzą jakiejś blondynki i czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Ogarnięta nagłą paniką, bliska mdłości, odwróciła się na pięcie.

Chciała uciec jak najprędzej, by mąż nie zdążył jej zobaczyć. Tak się spieszyła, że wpadła na jakąś kobietę zmierzającą w przeciwną stronę i zaczęła ją pospiesznie przeproszać.

- Dobrze się pani czuje, moja droga? Strasznie pani blada... - zatroskała się potrącona.

- Wszystko w porządku - bąknęła Maddy i umknęła.

Kiedy wracała wczesnym popołudniem do Haslewich, zza chmur wyszło słońce, ozłacając promieniami zieloną trawę i żółte żonkile w przydrożnych ogrodach. Zwykle podobny widok sprawiłby jej radość, ale dzisiaj nic nie widziała przez cisnące się do oczu łzy.

Jak mogła być taka głupia, by uwierzyć, że Max rzeczywiście się zmienił? Ma się rozumieć, że wcale się nie zmienił. Dlaczego miałby się zmienić? Był ciągle tym samym dawnym Maxem, który kłamał, zwodził ją i cynicznie oszukiwał.

Nagle opadł z niej cały stoicyzm, z jakim całymi latami znosiła kolejne zdrady i romanse męża, a w to miejsce pojawiła się zimna furia i straszliwa zazdrość. Jak on mógł? Jak śmiał?

- No i jak poszło? - zapytał Luke, kiedy Max wszedł do jego gabinetu.

- Nieźle - odparł Max. - Moim zdaniem nadal bardzo kocha męża. Zaklina się, że chce rozwodu, ale podejrzewam, że wcale jej o to nie chodzi. Bardziej przyda się jej dobra rada niż proces.

- Hmm... - Luke złożył razem palce obu dłoni. - Hmm... Pewnie masz rację, niemniej upiera się, by wnieść pozew rozwodowy. Mówiłem jej, że w naszej kancelarii nie mamy nikogo, kto specjalizuje się w rozwodach, i zasugerowałem, żeby spotkała się z tobą.

- Cóż, z prawnego punktu widzenia to ciekawa sprawa, ale nadal uważam, że powinna wstrzymać się z decyzją i dać mężowi jeszcze jedną szansę.

- Robisz się sentymentalny na starość, Max - powiedział Luke z kpiącym uśmiechem.

- Hmm, kto wie? Być może rzeczywiście robię się sentymentalny - przytaknął Max, przyjmując uszczypliwość z całym spokojem.

- Przemyślałeś to, co ci mówiłem na temat możliwości otwarcia praktyki w Chester? - zagadnął Luke.

- Owszem, zastanawiałem się nad twoją propozycją, ale mam teraz znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż kariera zawodowa.

Luke uniósł brwi.

- Tak?

- Przestań, Luke - oznajmił Max ze śmiechem. - Nic ze mnie nie wyciągniesz.

- Nie muszę niczego wyciągać. Czytam w tobie jak w otwartej księdze. Jeśli chcesz mojej rady...

- Nie chcę - uciął Max stanowczym tonem i zerknął na zegarek. - Muszę już jechać. O trzeciej odbieram Leo z przedszkola.

- Najpierw obowiązki, potem przyjemności, tak? - pokpiwał dalej Luke, ale Max pokręcił głową.

- Bycie z dziećmi to dla mnie przyjemność - odparł z powagą w głosie.

W chwilę później Luke stał przy oknie i odprowadzał wzrokiem spieszącego ulicą kuzyna. Ciągle nie mógł się nadziwić zmianie, jaka zaszła w Maksie.

Max dał mu jasno do zrozumienia, acz nie ubrał tego w słowa, że w tej chwili najważniejszą dla niego sprawą jest ratowanie małżeństwa. Luke życzył mu szczęścia, ale będąc baczny obserwatorem ludzkich charakterów, wiedział, że z Maddy nie pójdzie łatwo. W ostatnich miesiącach zaskakiwała wszystkich siłą swojej osobowości, wobec Maxa zaś zachowywała ostrożną, czujną rezerwę i trudno byłoby ją za to winić. Luke sam miał niegdyś wiele wątpliwości, jeśli chodzi o kuzyna. Dawnego Maxa szczerze nie lubił, musiał jednak przyznać, że z obecnym porozumiewał się znakomicie, do tego stopnia, iż ku własnemu zaskoczeniu zaproponował mu, by rozpoczął praktykę w jego kancelarii w Chester. Uczynił to w przekonaniu, iż ściągnięcie Maxa do pracy okaże się korzystne i to nie tylko ze względów czysto profesjonalnych. Czuł, że obydwaj nadają na tych samych falach i że z Maxem łatwiej będzie mu się dogadać niż z własnym bratem Jamesem, będącym trzecim wspólnikiem.

Spojrzał niespokojnie na zegarek. Uwaga Maxa o konieczności odebrania synka z przedszkola przypomniła mu, że obiecał Bobbie wrócić dziś wcześniej do domu. Domyślał się, co żona zaplanowała na popołudnie i odgadując jej zamiary,

z przyjemnością myślał o tych kilku godzinach spędzonych wspólnie w łóżku. Wyobrażał już sobie, jak będą się niespiesznie kochać w promieniach popołudniowego słońca. Jego piękna, wysoka Bobbie po zejściu w ciążę stała się jeszcze bardziej ekscytująca.

Sięgnął zdecydowanym ruchem po słuchawkę telefonu.

- Janet, kończę na dzisiaj, jadę do domu, nie łącz mnie z nikim - oznajmił, kiedy usłyszał pogodny głos sekretarki.

Maddy siedziała przy biurku niby to pochylona nad papierami, ale w gruncie rzeczy układała sobie w głowie, co ma powiedzieć Maxowi, gdy usłyszała, że mąż otwiera frontowe drzwi.

Dziwne, chociaż zobaczyła go na ulicy z kobietą i wróciły stare lęki, dawny ból zdrady, to nie miała najmniejszych wątpliwości, że Max dotrzyma słowa i odbierze synka z przedszkola. Rzeczywiście w tej samej chwili Leo wbiegł do pokoju i z szeroko otwartymi ramionami rzucił się w stronę Maddy. W ślad za nim w progu pojawił się Max.

- Maddy, co się stało? - zapytał pełnym niepokoju głosem, ledwie zobaczył żonę.

Fakt, iż dostrzegł, że coś jest nie w porządku, zatroskanie malujące się w jego oczach zdumiały Maddy i rozbroiły, ale zaraz przypomniała sobie scenę ujrzaną w Chester: ciemna głowa Maxa nachylona w opiekuńczym ciepłym geście nad okoloną jasnymi włosami twarzą jego towarzyszki.

Wyprostowała się po powitaniu z synkiem, stanęła za biurkiem i wzięła głęboki oddech.

- Widziałam cię dzisiaj w Chester - powiedziała pełnym determinacji tonem i dodała, na wypadek gdyby próbował zaprzeczać: - Z twoją przyjaciółką.

Max uniósł brwi. Wiedział doskonale, co Maddy chce powiedzieć, i choć zabolowało go niesprawiedliwe podejrzenie, to przecież zrobiło mu się miło, że żona jest zazdrosna o inną kobietę.

- Z przyjaciółką? - powtórzył, udając, że nie rozumie, i dopiero po chwili wyjaśnił: - Ach, prawda... myślisz zapewne o tej klientce, z którą spotkałem się na prośbę Luke'a.

- Klientce?

- Tak - mówił dalej Max. - Luke doszedł do wniosku, że potrzebny jest mu w kancelarii ktoś, kto zajmowałby się rozwodami. Pytał mnie, czy nie przeniósłbym się do Chester i nie podjął tu praktyki. Ta kobieta, z którą rozmawiałem dzisiaj na jego prośbę, upiera się przy rozwodzie, a my obydwaj uważamy, że powinna

począć, raczej zasięgnąć porady, niż składać pozew. Przypuszczam, że ona nadal bardzo kocha swojego męża, mimo że ma do niego ogromny żal, Luke natomiast twierdzi...

- Chciałbyś podjąć pracę w Chester? - przerwała mu Maddy niepewnym głosem, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na tę wiadomość.

- Zastanawiam się nad taką możliwością. Miałbym więcej czasu dla tej dwójki - powiedział, wskazując na Leo i Emmę. - A poza tym... - Przerwał, zasępiony widokiem smutnych oczu Maddy i jej zapadniętej twarzy. - Musimy porozmawiać, moja droga - powiedział łagodnie. - Zadzwońię do rodziców, poproszę, żeby zajęli się Leo i Emmą.

- Ja... - Ku własnej konsternacji Maddy poczuła łzy pod powiekami. Co się z nią dzieje? Zachowuje się jak skończona idiotka.

Nie czekając na odpowiedź, Max podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wystukiwać numer rodziców. Miał rację, powinni porozmawiać, ale Maddy bała się, czy w obecnym stanie emocjonalnym będzie w stanie wytrzymać cały wieczór sam na sam z mężem. Kiedy jednak Max ustalił z Jenny, że dziadkowie bardzo chętnie przyjmą wnuki na wieczór, i zapytał Maddy, czy nie miałyby ochoty zjeść kolacji w mieście, ta była tak stropiona i spłoszona, że pokręciła przecząco głową.

- Masz chyba rację - zgodzi się Max, zanim zdążyła zmienić zdanie. - Lepiej, żebym powiedział ci to, co mam do powiedzenia, w cztery oczy. Rodzice powiedzieli, że dzieci mogą u nich przenocować - dodał, gdy Maddy wyszła wreszcie zza biurka. - Pójdę spakować ich rzeczy, dobrze?

- Nie, ja to zrobię - zaproponowała Maddy, szukając zajęcia, które pozwoliłoby jej oderwać myśli od czekającej ją rozmowy z mężem.

- Jeszcze wina?

Maddy podniosła dłoń w odmownym geście. Wypiła już trzy kieliszki i zaczynało się jej lekko kręcić w głowie.

W innej sytuacji przygotowywanie posiłków wspólnie z mężem uznałaby za bardzo sympatyczne, tym bardziej że Max nalegał, żeby zrobili kolację razem. Była jednak tak spięta, że wszystko leciało jej z rąk, nie potrafiła się skupić i w efekcie Max sam wszystko przygotował. Jakby tego było mało, prawie nie tknęła jedzenia, oczekując początku rozmowy.

Bolało ją bardzo, że omawiał swoje plany na przyszłość ze wszystkimi wokół, jej nie wtajemniczając.

- O czym myślisz? - zagadnął nieoczekiwanie. - Nie, Maddy, nie odwracaj

wzroku – poprosił, po czym wyciągnął dłoń, dotknął jej palców i zaczął bawić się obrączką. – Masz takie śliczne oczy – ciągnął. – Są pełne wyrazu. Kiedy pierwszy raz kochałem się z tobą, widziałem w nich wszystkie odczucia, których wtedy doznawałaś.

– Nie kochałeś się ze mną – odparła Maddy sztywno, usiłując uwolnić dłoń, ale Max ścisnął mocniej jej palce. – Spaliśmy ze sobą, ale nie kochaliśmy się.

Max przez moment milczał, wreszcie powiedział cichym głosem:

– Wiem, że sobie na to zasłużyłem, Maddy, ale ty z całą pewnością nie. Ty powinnaś mieć swoje wspomnienia. Kochaliśmy się wtedy, nawet jeżeli...

– Powiedziałaś mi, że... mnie nie kochałeś.

– Kłamałem – oznajmił Max krótko. – Nie zwierzałem ci się z tego, co czułem, tak wówczas, jak teraz. Kocham cię, Maddy. Myślę, że gdzieś w głębi serca kochałem cię cały czas, ale bałem się to wyznać, bałem się przyznać do tego przed samym sobą.

– Ja... tak bardzo się zmieniłeś, Max – powiedziała w końcu Maddy, nie znajdując innej odpowiedzi.

– Tak, zmieniłem się.

Maddy spojrzała na niego niepewnie.

– Jak? Dlaczego?

– Nie wiem – odparł. – Po wypadku przeżyłem dziwne doświadczenie. Zrozumiałem wtedy raz na zawsze, że nic nie ma większego znaczenia poza miłością. Nie, nie mówię o miłości między kochankami ani o miłości rodziców do dzieci, tylko o tej, która istnieje wszędzie wokół nas, której nie jesteśmy w stanie dostrzec, a której w taki głupi sposób pozbawiałem siebie i swoich najbliższych. Przez jedną krótką, cudowną chwilę mogłem widzieć tę miłość, doznałem jej i zrozumiałem, że nie chcę już obywać się bez niej. Nie rozumiem, jak mogłem dotąd żyć na pustyni, dlaczego wcześniej odrzucałem ten wspaniały dar.

Maddy słuchała tych słów, bojąc się poruszyć.

– Wiesz... Maddy... nie chciałem wracać z tego cudownego miejsca. Było mi tam tak dobrze. Och, nie potrafię nawet opisać ci tego – powiedział zdławionym głosem i pokręcił głową. – Ja sam nie wiem. Usłyszałem nawoływanie ojca, w jego głosie było tyle rozpacz. Odwróciłem się, chciałem go pocieszyć i nagle ta cudowna światłość zniknęła, a ja zacząłem wracać.

Maddy zwilżyła spierzchnięte usta, serce biło jej mocno.

– To brzmi prawie tak jak doświadczenie śmierci – szepnęła w końcu wzruszona. – Czytałam o tym trochę. Mówią, że ludzie, którzy przez to przeszli, że oni...

- Tak - przytaknął Max cicho. - Doznali miłości. Brak na to lepszego słowa. Oni... my wiemy. Widzę, jak bardzo nieufnie odnosisz się do mnie, Maddy, rozumiem powody twojego stosunku do mnie, ale wierz mi, że ja nie udaję, nie gram. Ja to naprawdę przeżyłem. Nie zadośćuczynię za wszystkie krzywdy, jakie wyrządziłem. Nie jestem w stanie cofnąć czasu, odwołać tego, co się stało. Mogę cię tylko prosić.

- Zamknął dłoń na jej palcach, pocierając obrączkę, którą nosiła. - Nie mam prawa oczekiwać wybaczenia, Maddy, nie mogę spodziewać się, że zapomnisz o przeszłości, ale... - Przerwał, podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

Jego wzrok był tak jasny, promienisty, że Max nie mógł kłamać, to wiedziała na pewno.

- Pozwól mi, daj mi szansę. Chcę cię przekonać, że jestem innym człowiekiem, inaczej patrzę na świat. Pozwól mi uratować nasze małżeństwo. Powiedz, że nie jest za późno - prosił zdławionym głosem.

Maddy odwróciła głowę. Nie znajdowała słów, które mogłyby wyrazić, jak bardzo poruszyło ją to, co właśnie usłyszała. Kiedy powiedział, że doświadczył miłości, wiedziała, że Max mówi prawdę. Widziała to w jego oczach, w jego zachowaniu, w jego postawie wobec bliskich. Słyszała to w jego głosie. A jednak prośba dotycząca ratowania małżeństwa zdawała się Maddy czymś ponad jej siły, przyszła zbyt szybko, była zbyt nieoczekiwana, a sama Maddy zbyt niepewna, skonfundowana.

- Powiedz, że jeszcze nie jest za późno, Maddy - powtórzył cicho.

- Nie wiem. - Zagryzła wargę i spojrzała mu prosto w oczy. - Mówisz, że mnie kochasz, że się zmieniłeś, że chcesz ratować nasze małżeństwo. Rozumiem to, ale proszę, postaraj się i ty zrozumieć mnie. Wiem, wierzysz w to, co mówisz, jesteś szczery, masz dobre intencje, ale...

Przerwała, by zebrać odwagę, zanim wypowie bolesne słowa. Musiała wrócić do złych, raniących wspomnień, wytłumaczyć Maxowi, dlaczego nie może, ot tak, po prostu przystać na jego prośby.

- Kiedy się pobraliśmy, kochałam cię bardzo, za bardzo. Jeśli mnie unieszczęśliwiłeś, to stało się to nie bez mojego udziału i mojej winy. Pozwalałam, żebyś traktował mnie niegodziwie, poniżał i wykpiwał na każdym kroku. Teraz zaczynam odkrywać samą siebie, dowiaduję się, jaka naprawdę jestem i czuję, że... myślę... - Zamilkła i pokręciła smutno głową. - Potrzebuję czasu, Max. Muszę się nauczyć, jak żyć szczęśliwie w nowej skórze i...

- Czy chcesz mi powiedzieć, że kochasz kogoś innego? - przerwał jej Max. - Ja wiem, że Griff Owen cię kocha, Maddy, widzę to.

- Nie, nie - zaprzeczyła Maddy stanowczo. - Lubię Griffa, jest wspaniałym przyjacielem. Być może, gdybyśmy ty i ja zdecydowali się na separację... - Znowu zamilkła na chwilę. - Nie, to nie ma nic wspólnego z Griffem. Chodzi wyłącznie o ciebie, o ciebie i o mnie, a także o to, że...

- Także o to, że nie zasługuję na twoją miłość - dokończył Max za żonę

- Czy nic nie rozumiesz? - wtrąciła z pasją. - Tu nie chodzi o zasługiwanie, tylko o... Nie chcę, byśmy ocknęli się za kilka czy kilkanaście lat z poczuciem, że zmarnowaliśmy życie, trwając nadal w małżeństwie z zupełnie fałszywych pobudek: ty ze źle pojętego poczucia obowiązku i współczucia, w przekonaniu, że... - Westchnęła ciężko i mówiła dalej, jeszcze bardziej zduszonym głosem: - Ja natomiast...

- Ty natomiast? - ponaglił Max, kiedy głos ją zawiódł.

Zebrawszy całą odwagę, Maddy podniosła głowę i powiedziała z pełnym godności spokojem:

- A ja dlatego, że nadal bardzo cię pragnę, chociaż powtarzałeś mi dziesiątki razy, że w łóżku jestem beznadziejna. Otóż tak, pragnę cię, ale to za mało, by na takim fundamencie budować małżeństwo. Trwałe, udane małżeństwo na całe życie.

W pierwszej chwili Max czuł się zbyt przybity tym, co usłyszał, by odpowiedzieć. Zawsze wiedział, i dawniej go to bawiło, jak silnie Maddy na niego reaguje, ale nie oczekiwał, że żona, którą tak upokarzało własne pożądanie, kiedykolwiek powie o tym głośno, że przyzna się do własnych zmysłowych odczuć.

Szczerze słowa wzbudziły w nim szacunek dla Maddy i prawdziwą dumę z żony, dopełniając i pogłębiając miłość, jaką miał dla niej. Maddy, w przeciwieństwie do niego, nie musiała otrzeć się o śmierć, by zrozumieć, jak ważna jest uczciwość wobec samej siebie.

Kiedy puścił jej dłoń i podniósł się zza stołu, spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

- Nie bój się - uspokoił ją. - Tak, mówiłem ci, jak bardzo cię pragnę i jak bolesne jest to pożądanie. Miałbym ochotę zamknąć cię w ramionach i wziąć teraz, tutaj, na podłodze, pokazać ci, jak mogłoby nam być wspaniale, ale nie zrobię tego, bo to byłoby nie w porządku. Za bardzo zależy mi na tobie, na naszym małżeństwie, żebym się ważył na jakiś głupi, nieprzemyślany krok.

- Max - zaprotestowała, czerwieniąc się gwałtownie, ale widziała po jego oczach, że mówił prawdę, gdy tak otwarcie przyznał się do swojego pożądanego.

- Nie, nie teraz, Maddy. Jestem u kresu, jeszcze chwila, a nie będę mógł się

opanować. Pytam cię tylko o jedno, czy zgodzisz się spróbować jeszcze raz, czy dasz naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę.

- Ja potrzebuję czasu - zaczęła, ale Max nie skończył jeszcze mówić, wyciągnął rękę i dotknął delikatnie jej ramienia, chcąc wyartykułować głośno nurtującą go myśl.

- A przy okazji muszę ci powiedzieć, że to nie była prawda.

- Co nie było prawdą? - zapytała stropiona.

- Że byłaś beznadziejna w łóżku. - Max nachylił się i pocałował żonę w czoło. - Jeśli chcesz znać prawdę, to nawet jeśli brakowało ci doświadczenia, nadrabiałaś to szczerością, ciepłem, hojnością uczuć. Nie wiesz, ile razy omal nie zatraćłem się, nie zapomniałem całkowicie w twoich ramionach.

Maddy słuchała tego zdumiona.

- Jak inaczej mógłbym począć z tobą nasze dzieci? - dodał cicho. - Nie chciałem ich, to prawda, ale...

Maddy czuła, że płoną jej policzki.

- Mamy za sobą długi dzień, pozwolisz, że pójdę już na górę, położę się - powiedział jeszcze.

Istotnie, wyglądał na zmęczonego. Chociaż się do tego nie przyznawał, ślady napaści na jamajskiej plaży ciągle jeszcze dawały o sobie znać, szczególnie w chwilach stresu, jak teraz. Maddy patrzyła na niego i myślała, jak bliski był śmierci, jak niewiele brakowało, żeby straciła go bezpowrotnie. A jednak ciągle się przed nim broniła, bo kiedy zapytał, czy może pocałować ją na dobranoc, pokręciła przecząco głową.

- Nadal mi nie ufasz, prawda? - bardziej stwierdził, niż zapytał, westchnął smutno, odwrócił się i ruszył wolno ku drzwiom.

Patrząc za nim, myślała, że bardziej nie ufa sobie niż jemu, ale tego już nie powiedziała głośno, bo Max znikł na schodach.

Minęło sporo czasu, zanim Maddy zdecydowała się położyć spać. Zrobiła wielkie porządki w kuchni, posprzątała w szafkach, umyła naczynia, wypucowała garnki i sztucce, przetrzała nawet podłogę, wszystko w nadziei, że zmęczona pracą fizyczną zapadnie w głęboki sen bez snów, bez marzeń o Maksie, bez dręczących obrazów, które przesuwająby się pod powiekami. Nic z tego. Jeszcze godzinę później przewracała się w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka i rozmyślając o tym wszystkim.

Odrzuciła kołdrę i wstała. W domu nie było nikogo poza nimi dwojgiem



i dziadkiem, ale Ben, raz powiedziawszy dobranoc, zamykał się w swoich pokojach i nie wytykał z nich nosa aż do momentu, kiedy Maddy przynosiła mu filiżankę porannej herbaty.

Chociaż doskonale znała zwyczaje staruszka, chwilę nasłuchiwała, zanim cichutko przemknęła w narzuconym na ramiona szlafroku do znajdującej się w drugim końcu korytarza sypialni zajmowanej przez Maxa.

Max nie zaciągnął zasłon, tak że w łagodnej poświacie księżyca widziała jego wyciągniętą na wielkim małżeńskim łożu sylwetkę. Leżał na boku; kołdra lekko zsunęła się, odsłaniając ramiona i nagą, muskularną pierś.

Poczuła lekki ucisk w żołądku, jaki zawsze odczuwała na myśl o zmysłowych doznaniach.

Ile razy w przeszłości obserwowała go, gdy spał, przesuwała palcami po jego skórze, przytulała się do niego w poszukiwaniu ciepła i intymności, której zwykle jej odmawiał? Ile razy, leżąc koło niego, wyobrażała sobie, że on ją kocha równie mocno, jak ona jego?

Max spod przymkniętych powiek obserwował podchodzącą do łóżka żonę. Wstrzymał oddech, bojąc się, że najłżejszy szmer może ją spłoszyć.

Leżał w ciemnej sypialni bezsennie, gdy usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi w drugim końcu korytarza. W pierwszej chwili pomyślał, że Maddy wyszła zajrzeć do dzieci, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że Leo i Emma są u dziadków w Haslewich. Zamarł, nie śmiąc przypuszczać, mieć nadziei...

Wyciągnęła dłoń i drżącymi palcami dotknęła jego nagiego ramienia.

- Max...

Nie była pewna, czy wypowiedziała jego imię głośno, czy tylko zamierzała, ale nagle poczuła, że ręka Maxa zaciska się na jej nadgarstku.

W poświacie księżyca zobaczyła jego błyszczące oczy, poczuła jego wargi na swoich palcach, gdy przyciągnął dłoń do ust, a potem otoczyły ją ramiona Maxa.

- Maddy - szeptał między pocałunkami to jedno słowo niby refren pieśni miłości i uwielbienia, przyciągając i tuląc żonę do nagiej piersi.

Poczuła się w jednej chwili tak, jakby zanurzyła się w rozkosznie ciepłą otchłań krystalicznej wody. Oddawała się swobodnie, radośnie delikatnym, pełnym czułości pieszczotom, wsłuchiwała się w miłosne szepty, w których odczytywała tęsknotę i pożądanie. Szepty, które mówiły o cierpieniu i spełnieniu, o bliskości i nadziei. Szepty, które brzmiały jak zaklęcia.

Gdy dużo później leżeli spleceni w uścisku, wyczerpani rozkoszą, nasyceni sobą,

Max otarł łzy spływające po jej policzkach. Serce tłukło mu się jeszcze w piersi jak oszalałe, gdy Maddy wysunęła się z łóżka.

- To, co między nami zaszło, niczego nie zmienia. Ja naprawdę potrzebuję czasu - powiedziała schrypniętym jeszcze głosem. - To, co zaszło, to tylko...

- Seks? - podsunął Max.

- Nie - zaprzeczyła natychmiast.

- Dlaczego, Maddy, dlaczego to zrobiłaś? - zapytał cicho.

- Nie wiem. Chciałam się przekonać, jak będzie między nami.

Odwrócił na chwilę głowę, a kiedy znowu spojrzął z czułością w jej oczy, omal nie zapomniała o swoim postanowieniu.

- I jak było?

Teraz ona odwróciła wzrok. Jak miała mu powiedzieć, że wreszcie zrozumiała, co miał na myśli, mówiąc, że doświadczył miłości. To, czego ona teraz doświadczyła, czego wspólnie doznali, było tak nieoczekiwane, tak wspaniałe. Miała wrażenie, że to za wiele... zbyt nagle... zbyt szybko. Była taka niepewna, oszołomiona. Nie potrafiła uwierzyć całkowicie i bez zastrzeżeń.

- Potrzebuję czasu, Max - powtórzyła.

- To jeszcze nie koniec, Maddy - ostrzegł ją, kiedy szła naga ku drzwiom.

Pragnął pójść za nią, porwać ją w ramiona i przynieść na powrót do łóżka, ale wiedział, że musi teraz zostawić ją samą, z własnymi myślami i odczuciami.

Teraz dopiero, po wspólnie spędzonej nocy, w pełni zrozumiał, co by stracił, gdyby Maddy odeszła od niego. Nie mógł narażać własnego małżeństwa na przegraną, ulegając pragnieniom ciała.

Maddy przyszła dzisiaj do niego z własnej woli, może przyjdzie ponownie, a wtedy już nie pozwoli jej się wymknąć. Zamierzał jej to powiedzieć, ale jeszcze nie teraz. Poza tym...

Tak łatwo zaszła w ciążę przy Leo i Emmie. Jeśli dałby jej kolejne dziecko, może zdecydowałyby się z nim zostać. Chociaż nie chciał przecież, żeby została z nim ze względu na dziecko, powinna zostać dla niego samego. Pragnął, żeby go kochała.

Zamknął oczy i zacisnął zęby, żeby nie krzyczeć za nią, gdy wychodziła z pokoju.

Maddy drżała z zimna, wślizgując się pod kołdrę w swojej sypialni. Jej łóżko bez Maxa zdawało się puste, nieprzytulne.

Mogła z nim zostać, może powinna była z nim zostać? Jeszcze każdym nerwem odczuwała to, co razem przeżyli dzisiejszej nocy.

Dotknęła dłonią brzucha. Nie planowali ani Leo, ani Emmy. Co będzie, jeśli tym

razem...? Ogarnęła ją nagle panika. Nie chciała następnego dziecka, nie teraz. Potrzebowała czasu, żeby uporządkować własne uczucia, zrozumieć samą siebie. Jeśli Max dowiedziałby się, że jest z nim w ciąży, wywierałby na nią presję, namawiał, żeby z nim została.

Jakie to byłoby uczucie, nosić w łonie dziecko, którego obydwójce by chcieli? Rodzić, mając obok siebie Maxa? Wiedzieć, że jest tak samo szczęśliwy z powodu narodzin jak ona?

Wiedziała, jak bardzo Max kocha Leo i Emmę, ale czy to dziecko... Dziecko, które byłoby darem miłości.

To dziecko?

Maddy zaczęła drżeć. Było tyle innych spraw, którym musiała poświęcić czas i staranie - fundacja dla samotnych matek, Leo i Emma, dziadek. Nie był to dobry moment na rodzenie kolejnego dziecka. I na pewno okoliczności nie po temu.

To dziecko...

Kiedy wreszcie usnęła, na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Ten sam uśmiech, który zobaczył Max, kiedy w kilka godzin później wszedł do sypialni z tacą zastawioną śniadaniem.

Tytuł oryginału:  
*The Perfect Sinner*

Pierwsze wydanie:  
*MIRA Books, 1999*

Opracowanie graficzne okładki:  
*Robert Dąbrowski*

Redaktor prowadzący:  
*Małgorzata Pogoda*

Korekta:  
*Jolanta Spodar*

© 1999 by Penny Jordan

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 1999, 2003, 2014

Poprzednio powieść ukazała się pod tytułem *Doskonały grzesznik*.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-0614-3

Konwersja do formatu EPUB:  
Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)